



**Susanne Fröhlich**



**RODZINNY  
GALIMATIAS**

# Dzień pierwszy

Przyszedł pan Barts. Cóż to za mężczyzna! Wąskie biodra, ciemne włosy i absolutnie oszałamiający, promienny uśmiech:

- Dzień dobry pani Schnidt.

Och, jak on bosko szczerzy do mnie zęby! Całkowicie mnie to rozbraja. Miałam nosa, że umyłam dzisiaj głowę.

Ciekawe, co by było, gdybym nie powiedziała „dzień dobry”, tylko po prostu przycisnęła go ciałem do ściany, a potem... no, dalej już by poszło. Przy odrobinie szczęścia moglibyśmy pewnie zamknąć za sobą drzwi wejściowe, ale do sypialni już by się nam raczej nie udało dotrzeć. A potem robilibyśmy to dopóty, dopóki nie zabrakłoby nam sił! Do utraty przytomności!

Schnidt, twoje hormony! Jesteś nastawiona na skok w bok! Zupełne szaleństwo! - napominam się i doprowadzam do porządku swoje życie, choćby tylko w głowie. Jestem przecież kobietą zamężną, mieszkam w domku szeregowym, mój mąż właśnie pracuje, a ja, krótko przed obiadem, pozwalam się ponieść szalejącym zmysłom. Tak daleko zabrnęłam? Czy to z powodu niedoboru węglowodanów? A może tak działa powietrze w domkach szeregowych albo jakieś składniki w wodzie pitnej? Czy raczej coś nie w porządku z moim ciałem?

Myślę, że pan Barts przyszedł z elektrowni i chce odczytać stan licznika. Nie znam pana Bartsa, a mimo to jego pojawienie się dzisiaj przed moimi drzwiami jest wydarzeniem tygodnia. Przystojny mężczyzna tutaj - w krainie wygodnych legginsów. Mężczyzna, który nie mieszka w żadnym z tych małych domków. Mężczyzna, który się śmieje i wyraźnie cieszy na mój widok. Czy to aby wystarczy do zaspokojenia moich kipiących żądz?

- Dzień dobry - wyduszam z siebie po chwili i zamykam drzwi.

Teraz mam już faceta w korytarzu. Krok po kroku zbliżam się do celu.

- Gdzie jest licznik prądu, pani Schnidt? - dopytuje się pan Barts.

- W piwnicy - jąkam się nadal i mam nadzieję, że pan Barts potrafi odczytywać tylko licznik, a nie moje myśli.

O mój Boże, wolę sobie tego nawet nie wyobrażać! Z pewnością jestem czerwona jak burak! Idzie za mną do piwnicy. Ładnie pachnie i aż tryska testosteronem! Jaka byłaby moja reakcja, gdyby mnie tak teraz od tyłu złapał za wrażliwe części ciała? Rzucił na suszarkę i zsunął swoje piekielnie ciasne lewisy? Czy coś takiego zdarza się tylko w filmach? Listonosze dzwoniący do drzwi umówionym sygnałem, a potem pożerający wszystko, co niecierpliwie

czeka na nich wewnątrz. To chyba jednak tylko pozory. Bo pan Barts nie zabiera się wcale do rzeczy. W żadnym wypadku, nawet się nie przymierza. Biedak, miałby tutaj w dzielnicy spore pole do działania. Może schrupał już sąsiadkę, kto wie? Może raz zajmuje się tymi spod parzystych numerów domów, a raz spod nieparzystych? Czy moja kolej przypada ewentualnie dopiero w następnej turze? A może ktoś już porządnie zajął się panem Bartsem i dlatego on nie zauważa wygłodniałych małomiasteczkowych kur domowych?

No tak, przecież to zupełnie jasne! Pan Barts jest gejem. Prawdopodobnie elektrownia miejska zna dylemat przedmieścia i do pożądlivych pań domów wysyła tylko gejów. Coś jak ochrona pracownika. A może tylko ja mam tutaj kosmate myśli? A w ogóle - i jest to pytanie zasadnicze - dlaczego ja je mam?

- Tyle na dzisiaj, pani Schmidt - mówi pan Barts, przeciągając ręką po bujnych włosach, a ja rozmyślam, czy jego słowa mają być ukrytym przesłaniem na następny raz.

W szkole byłam przecież mistrzynią interpretowania tekstów i wyczytywałam z nich rzeczy, których oprócz mnie nikt nie potrafił wyłowić. Pan Barts żegna się tymczasem.

I tak sobie stoję. Zupełnie sama z moimi myślami przy drzwiach wejściowych naszego szeregowego domku. Pan Barts już od dawna jest w mieszkaniu obok. U Anity. Czy z powodu Anity dał mi kosza? Czy to już zaszło tak daleko? Mam to znieść? Może raczej przedsięwziąć kroki prawne? Czy po prostu zadzwonić do Christopha, mojego męża, i sprowadzić go natychmiast do domu, aby wypełnił swój małżeński obowiązek? A może poczekać do wieczora? Czy pana Bartsa rzeczywiście coś łączy z Anitą? To byłaby prawdziwa bomba! W końcu Anita potrzebuje pana Bartsa mniej niż ja. Bądź co bądź ma dosyć bujne życie seksualne. Nie żeby o tym opowiadała (właściwie szkoda, byłoby to o wiele ciekawsze niż jej pozostałe historie), ale taki domek szeregowy ma raczej cienkie ściany, a sypialnia Anity sąsiaduje z naszą łazienką. Wiezorami często słyszę Anitę krzyczącą „Prosiaczku, ty mały prosiaczku” i chichoczącego Friedhelma, nauczyciela z liceum. Zdumiewająca okazja, bo rzadko da się słyszeć śmiech Friedhelma. Chyba jeszcze nigdy nie widziałam go zanoszącego się od śmiechu. Friedhelm nie jest nieatrakcyjnym mężczyzną, ale wokół ust rysuje mu się zmarszczka, nadająca jego twarzy bardzo, ale to bardzo surowy wyraz.

Kiedy pewnego razu zagadnęłam o to Anitę, naturalnie między wierszami i bardzo delikatnie, powiedziała tylko:

„Ucz zgraję smarkaczy w fazie dojrzewania, to i tobie minie ochota na żarty”.

A może przyczyna tkwi w tutejszej okolicy. Anita i jej mąż mieszkają tu dłużej niż my. Czy z czasem także staniemy się bardziej surowi? Czy blues domków szeregowych uderza w usposobienie?

Jestem skłonna w to uwierzyć. Zresztą to ja zawsze chciałam koniecznie na wieś. Dla dzieci. Dla własnego domu. Kto może sobie pozwolić na miły domek z ogródkiem w najlepszej części miasta? Z uczciwą pracą i bez pokaźnego spadku to niemalże wykluczone.

Teraz siedzę tutaj i nie wiem, co myśleć. Czy mam, czego chciałam?

W powietrzu unosi się intensywny zapach. Nie jest to, niestety, resztką zwierzęcego zapachu pana Bartsa. Co za szkoda! Z przykrością rozpoznaję zapach przypalonego szpinaku. I jeszcze na dodatek dzwoni telefon. To Anita z pytaniem, czy facet od prądu był u mnie również taki natrętny.

Dziękuję, panie Barts, więcej sobie po panu obiecywałam!

Jak również po szpinaku. Tymczasem nawet szpinak potrafi mnie rozczarować. Górna warstwa jeszcze jakoś ujdzie. Byle nie mieszać. Tak jak moje życie, myślę i popadam w melancholię. Na wierzchu da się wytrzymać, ale kiedy się zamasyście zamiesza, pokazują się czarne punkty. W ramach hobby przemieniam się w filozofa szpinaku. Potworność!

Szpinak smakuje trochę spalenizną, ale moje dzieci tak czy siak za nim nie przepadają. Claudia, ta starsza, przez najbliższy czas może uważać się za szczęściarę. Do końca swojej przedszkolnej kariery, czyli jeszcze przez cztery tygodnie, będzie jadła obiady w stołówce. Tak, moja córka Claudia to dziecko w wieku przedszkolnym. Podkreśla to zresztą często i chętnie - jakby sam fakt osiągnięcia wieku szkolnego był wielkim wyczynem. Zresztą ma do tego prawo. W końcu dziecko powinno mieć do szkoły pozytywne nastawienie. Nazywa się to mentalnym przygotowaniem. Stworzeniem sprzyjającej atmosfery. Kiedy ja byłam mała, mówiło się: „Teraz idziesz już do szkoły, zabawa się skończyła”. No, może odrobinę delikatniej. Ale szczerze mówiąc, nie było to pozbawione sensu.

Robię parę rybnych paluszków do przysmażonego szpinaku. Klasyk kuchni każdej mamy. Od dziesięcioleci w pierwszej dekadzie. Osobiście wolę do szpinaku jajko sadzone, w przeciwieństwie do mojego syna, który jaj sadzonych nie lubi. Jak jego ojciec. Według nich są zbyt papkowate. W takim razie paluszki rybne. Moje ego nie jest przywiązane do jajka. Ani też do dwóch. Heike, moja przyjaciółka z Monachium, znana z niewyparzonego języka, zapytałaby teraz: Jakie ego w ogóle? À propos Heike, jak długo już jej nie widziałam! Moja przyjaciółka lesbijka z dzikiego Monachium. Koniecznie musi mnie odwiedzić. Nocuję w głowie: zadzwono-

nić do Heike i zaprosić ją do siebie. Parę dni w jej towarzystwie to balsam na duszę. Heike ma wspaniałą zdolność praktycznego traktowania wszystkich spraw, a w dodatku potrafi być przy tym dowcipna. To głupio, kiedy najlepsza przyjaciółka mieszka tak daleko.

Mark i ja jemy obiad. Mój syn wcina, jakby to był jego ostatni posiłek. Przemyciłam sprytnie szpinak pomiędzy paluszki rybne, a i tak maluch daje radę elegancko go unikać. Czy to w ogóle można nazwać jedzeniem? Patrząc z boku, więcej w tym z ataku terrorystycznego na małe, bezbronne paluszki rybne leżące na talerzu.

Kiedy Claudia pójdzie do szkoły, Mark zacznie chodzić do przedszkola. Cóż za błogosławieństwo! Przedpołudnia będę miała tylko dla siebie. Ale także dla deski do prasowania, odkurzacza i innych nadzwyczaj interesujących kompanów. Ale już się cieszę na tę myśl. Gdy spędza się dwadzieścia cztery godziny na dobę z małym dzieckiem, naprawdę mało czasu pozostaje dla siebie. A o pracy poza własnymi czterema ścianami nie może być mowy. To jest myśl: wkroczyć w świat dorosłych, uciąć sobie pogawędkę z koleżankami i kolegami z pracy, wypić kawę i może znowu przeżywać sukcesy, które nie mają nic a nic wspólnego z domem i dzieckiem.

Dzisiaj, jeśli mam być szczerą, pole moich sukcesów jest ograniczone. Bardzo ciasno ograniczone. Jasne, ktoś czasem rzuci: „było smaczne” albo „jak tu ładnie u ciebie”, i to są absolutne wyżyny w skali komplementów przeznaczonych dla gospodyni domowej. Trzeba mieć wyjątkowo mało ambicji, aby poczuć zadowolenie.

- Coś słodkiego - wrzeszczy mój syn i wybija mnie z mentalnego lamentowania.

- Najpierw zjesz ładnie rybę ze szpinakiem, a potem na deser dostaniesz coś słodkiego - odpowiadam.

- Nie - mówi mój syn.

Po prostu nie. Typowy mężczyzna, i już w tym wieku. Bez wielkich wyjaśnień. Byle za dużo nie mówić. Proste, jasne „nie”. To jeden z tych klasycznych momentów. Teraz nazywa się to konsekwencją.

- Mark, zjesz jeszcze przynajmniej jednego paluszka, a potem możesz dostać coś słodkiego - mówię stanowczym głosem do tego małego czegoś siedzącego koło mnie i już czerwonego ze złości.

Ja jestem szefową na ringu, wszystko mam pod kontrolą, a nieletni brzdąc nie rozłoży mnie przecież na łopatki. Patrzy na mnie, puszy się niczym paw, zupełnie niewzruszony moją stoicką twarzą, i tłucze łyżką o talerz. Na całego! Szpinak pryska na moją bluzkę i jednocześnie

słyszę piski. Jak syrena. Chyba oszalał. Kto upaść mi bluzkę szpinakiem? On czy ja sama? Myślę. Czuję prymitywną potrzebę, by się wykrzyzczyć, potrząsnąć nim parę razy, ale wiem, że nie wolno bić dzieci. W końcu zabieram talerz i zanoszę go do kuchni, zostawiając małego terminatora tam, gdzie siedzi.

- Jak przestaniesz się złościć, wtedy mama przyjdzie - mówię do rozkrzyczanego bąka.

Nie podziałało. Mark siedzi zapięty w swoim krzeselku i drze się dalej.

To byłoby piękne, móc tak po prostu wystawić krzeselko z dzieckiem przed drzwi, wytrwać w tym, a przez ten czas zrobić małą rundkę po sklepach. W błogim spokoju. Z dala od wrzasków. Pod spojrzeniami sąsiadów na pewno zaraz by się uciszył. Z drugiej strony byłby to przejaw braku pewnych umiejętności wychowawczych lub może brutalne okrucieństwo, a żadna z tych możliwości nie wydaje mi się szczególnie zachęcająca.

Cała awantura trwa około siedmiu minut. Siedem minut seksu to mało (oczywiście, zależy z kim!), a siedem minut krzyków to dosyć sporo. W życiu wszystko jest względne. To dziecko ma pewną wytrzymałość. Po ojcu zresztą. Ja w beznadziejnych sytuacjach szybciej daję za wygraną. Tak po prostu - z racjonalnych powodów, co jest rzekomo męską cechą. W naszej rodzinie zdaje się rzadszą. W ciągu tych siedmiu minut próbuję się odprężyć, ale nie bardzo mi wychodzi. Wszystko jedno.

Wreszcie. Poddał się. Kiedy znowu staję przed nim, szczerzy do mnie zęby w uśmiechu. Uśmiech całym pyszczkiem z ekspozycją małych jak u myszki ząbków. Słodziutki. Ostrożnie, Andrea, właśnie owija sobie ciebie wokół pulchniutkiego jak paróweczka paluszka! - napominam się szybko.

- Coś słodkiego? - pyta i jeszcze raz pokazuje rząd wspaniałych mlecznych zębów.

No i co teraz? Podać mu zimny szpinak? To nie jest dobry pomysł. Zresztą już dawno wylądował w koszu. Jednak gdy Mark już się wykrzyzczał, prawdopodobnie i tak nie przypomina sobie naszej umowy - najpierw obiad, potem deser - przyznaję, że zawartej jednostronnie, daję mu pełną garść żelek. Wiem konsekwencja wygląda inaczej. Ale jeden napad wrzasków dziennie zupełnie mi wystarcza.

Dzisiaj w południe następny punkt mamusinej kariery. Gimnastyka maluchów. Trzeba dbać o rozwój motoryczny kochanych dzieci. Dziecięca gimnastyka jest w tym kraju obowiązkiem. Dziecko, nawet małe dziecko, które nie uczęszcza przynajmniej dwa razy w tygodniu na gimnastykę, szybko uznane zostaje za dziwaczne. Albo jego matka za leniwą i całkowicie wyzutą z ambicji. Dzieci są barometrem sukcesu dzisiejszego świata. Pokaż mi, co potrafi twoje

dziecko, a ja ci powiem, czy nadajesz się na matkę. To może w końcu strasznie wkurzać. Im dłużej jestem w tym matczynym kramie, tym bardziej mnie to denerwuje. Pomimo wszystko nie daję rady się wyłamać. Powiedzieć „nie”. Byłoby to trochę tak, jakbym tylko ja jedna nie brała w tym udziału. Psuła zabawę. Kto narusza reguły, odpada. Stawia pod znakiem zapytania całą grę i wprawia innych w zły humor. A ja tego nie chcę. Trzeba zamknąć oczy, i dalej! Jeszcze tylko piętnaście lat. Jeśli dzieci nie zdadzą do następnej klasy, może rok lub dwa dłużej. Czasami mam ochotę położyć się do łóżka, naciągnąć kołdrę na głowę i czekać, aż wszystko minie. Szczególny dylemat. Mam w końcu to, czego chciałam. Męża, dzieci, własny dom - no i uporządkowane życie rodzinne. Kiedy wreszcie to zdobyłam, nie jestem już niczego pewna. To tak, jakby pożyczyło się książkę, myśląc, że to kryminał, a dostało się komedię. Albo odwrotnie.

- Mama zła? - pyta Mark.

Patrzę na mojego syna i od razu topnieję. Co ze mnie za dziwny egzemplarz gatunku matka? Taka niezdecydowana. Taka chwiejna. Siedzam sobie małego na kolanach i chwilę przytulamy się do siebie. Jest mu przyjemnie ciepło, obsypuje mnie mokrymi buziakami po całej twarzy, a ja już się rozklejam. Zaraz będę wyć. Dlaczego właśnie ja nie mogę być zadowolona? Czy wcześniej kobiety miały lżej? Przecież właściwie było im ciężiej. Czy to wszystko byłoby łatwiejsze, lżejsze do strawienia, gdyby nie było wyboru, a role byłyby jasno przypisane? Czy mam zadzwonić do Alice Schwarzen i raz się porządnie wybeczeć? Sądzę, że moja chwilowa skłonność do chandry ma wiele przyczyn. Chociaż jestem otoczona ludźmi, własną rodziną, sąsiadami i całą resztą, czuję się trochę osamotniona. W ostatnich latach gdzieś zapodziała się część mojego ego. Zawsze życzyłam sobie zajmującego, pełnego wrażeń, napięcia i wydarzeń życia. Tylko skąd to napięcie? W końcu wiem, że sama jestem za to odpowiedzialna. Także za swoją podświadomą nudę. Można się nudzić, mając nawet pełne ręce roboty. Diagnoza niekoniecznie budująca. Postanawiam wprowadzić w moje życie więcej napięcia. Od jutra. Wszystko się zmieni! Zobaczycie! Coś się wydarzy! Ja, Andrea Schnidt, nie dam się całkowicie i bez reszty wciągnąć w bagno domków szeregowych. Będę walczyć!

Od razu mam lepsze samopoczucie. Postanawiam zrobić listę. Tak jak zalecają wszystkie życiowe poradniki. Proszę napisać, co pani chciałaby zmienić. To jest pierwszy krok. Jasność w głowie. Jednoznaczne cele. No to już!

Moja lista:

Chcę:

- więcej napięcia
- więcej seksu
- więcej uznania
- mieć szczuplejsze uda

I to wszystko szybko proszę. Bardzo szybko.

Tak, to byłoby najważniejsze. Do detali przejdę jutro. No może jeszcze dziś wieczorem. Uroczyście deponuję listę w szufladzie kuchennej, jednym z najpewniejszych miejsc w domu. Na Boga, zabawne, że dobrowolnie nikt tam nie zagląda.

Na gimnastyce dziecięcej znów to samo. My, mamy, śpiewamy coś o kosmicznej myszy, biegamy w rajstopach w kółku, układamy maty i skrzynki, trzymamy maluchy za rączki i pęczniejemy z dumy, kiedy jakiś bąk z przejściem wczuwa się w swoją rolę. Podczas tego zwykle babskie trajkotanie.

Jestem w wyśmienitym humorze. Wiem w końcu, że od jutra czeka mnie podniecające życie. Jakaż piękna perspektywa!

Mark ciągnie Larę za włosy. I to właśnie Larę. Nie jest to rodzaj podniecenia, który mam na myśli. Ona ma takie cienkie włosy - nawet cieńsze od moich. A to znaczy, że każdy włos jest ważny. Przeklinam pod nosem. Mama Lary patrzy tak, jakby mój syn zhańbił jej córkę, zaproponował małżeństwo, a potem ją porzucił. Kwieciście przepraszam. Tak jakbym to ja ciągnęła dziewczynkę za włosy. Lara zachwyca się swoim występem. Szlocha już w ramionach mamy. Bardzo dziękuję, Mark! Świetna robota. Fantastyczny występ. Mark się boczy. Nie chce przeprosić. „Lara też zła” - to wszystko, co udaje mi się z niego wyciągnąć. Demonstracyjnie chwyta się bez przerwy za jądra. Czy to sprawka Lary? Mark nie chce nic powiedzieć i odmawia bliższych wyjaśnień na temat zajścia. Pytam więc potencjalną sprawczynię:

- Czy to ty uszczypnęłaś Marka tam na dole?

Lara kręci gwałtownie głową.

Odnoszę wrażenie, że trochę zbyt gwałtownie. Jej mama jest oburzona moimi subtelnymi podejrzeniami.

- Moja Lara by tego nie zrobiła - prycha.

Mamy więc niezwykle odprężającą sytuację patową. Jądra przeciw włosom. Pozwalam sobie skwitować to żartem:

- Zanim on lub ona zrobią użytek z tych klejnotów, wszystko będzie już okay.



Nawet się nie uśmiechnie. Nadęta krowa bez poczucia humoru. Chyba ma na imię Gabriele. Gabriele jest wzorcową kobietą z przedmieścia. Zawsze nienagannie ubrana - prawdopodobnie przyszła na świat już w marynarce Barbour, sweterku firmy V i butach od Toda. Model „sportowa, naturalna piękność”.

To były wspaniałe czasy, kiedy dzieci chodziły na gimnastykę dopiero w takim wieku, gdy nie potrzebowały już mam. Nie przypominam sobie, żeby moja mama towarzyszyła mi na ćwiczeniach gimnastycznych. Zaprowadzała nas i przychodziła po nas. Jeśli w ogóle. I tyle. Nic więcej. Zdumiewające, że dzieci zachowują się dużo lepiej, kiedy mamy nie ma na zawołanie. Także moje. Rzadko słyszę jakieś uwagi. Naturalnie, jako matka powstrzymuję się od komentarzy. Nie mówię innym matkom, że ich dzieci grają mi na nerwach do granic możliwości. Trzeba bardzo się lubić, aby wygłaszać podobne opinie. Takie stwierdzenia oznaczają bowiem wkroczenie na wojenną ścieżkę.

Gdy cały maminy klan ładnie posprzątał, śpiewamy jeszcze króciutką pożegnalną piosenkę i ekstatycznie klaszczemy. Stoję akurat obok Karin, która zapewne nigdy w życiu nie słyszała o wynalezieniu dezodorantu. Nieprawdopodobne, jak ta kobieta śmierdzi stęchlizną! Nawet w kompletnej ciemności można by ją od razu rozpoznać. Dlaczego nikt jej tego nie powie? Czy jestem jedyna, która to czuje? Ale kto wie, może to jej szczególna cecha - albo jest tak zaaferowana kosmiczną myszą.

Jadę z Markiem do przedszkola. Maltretowanie innych na razie mu się znudziło. Odbieramy Claudię.

- Co będziemy teraz robić? - pyta moja córka z zapalem.

- Możecie się razem pobawić - odpowiadam i postanawiam, że po południu zrobię wreszcie coś dla siebie.

Domowa animatorka ma dzisiaj wolne. Definitywnie.

- To nudne - marudzi Claudia - nie chcę się z tym tam bawić, on jest głupi. I mały.

Głupi i mały, odpowiadając, uderza swoją siostrę porządnie w głowę. Klnę pod nosem, obydwójce wyją wniebogłosy, a ja przy akompaniamencie tego miłego duetu jadę do domu.

Po południu uda mi się chociaż ogolić nogi. Nie dlatego, że moje dzieci rozkosznie bawią się razem, ale dlatego, że je „zaparkowałam”. Przed telewizorem. A wszystko po tym, jak Claudia przyłożyła Markowi w skroń swoją ulubioną Barbie, a ten zemścił się, sprawdzając, czy głowa Claudii jest twardsza od klocków dupło. Mamy prawie wyłącznie kanały dziecięce. Poniekąd dlatego bardziej ochoczo płacę abonament. Wiadomo przynajmniej, że dzieci nie są

ogłupiane bzdurnymi reklamami. „Owocowe ludki”, Barbie i spółka. Pół godziny Super RTL wzbudza w mojej córce emocje podobne do tych, jakie odczuwam przy kilkogodzinnym przypatrywaniu się wystawom sklepowym. Jasna sprawa, że mój syn jest jeszcze za mały na każdy rodzaj telewizji, także na kanał dziecięcy. Ale moje owłosienie na nogach przeobrazi się zaraz w futerko, a ponieważ nie jestem muflonem i nie chcę się nim stać, łapię się dziecięcego kanału jak ostatniej deski ratunku. W życiu należy ustalać priorytety.

Christoph wraca około siódmej. To już coś. Jeden wspólny posiłek w ciągu dnia uważam za absolutne minimum dla rodziny. Często zdarza się, że wraca z biura dopiero po dwudziestej, kiedy dzieci są już nieprzytomne albo od dawna w łóżkach. Przyniósł ze sobą parę akt. Wolałabym kwiaty albo prezenty.

- Wiesz, Andrea, właśnie teraz nadszedł dla mnie właściwy czas. Jeśli dam z siebie jeszcze więcej, zostanę współnikiem.

Ile razy to już słyszałam. Ziewam. Jakże byłoby pięknie usłyszeć coś nowego. Z mojego powodu nie musi się tak zaharowywać. Naprawdę, nie stanowi dla mnie problemu, że Christoph jest zatrudniony jako zwykły adwokat i nie jest współnikiem. Wolę męża, który choć od czasu do czasu bywa w domu. Wie o tym dobrze, ale zachowuje się i mówi tak, jakby wszystkie swoje ambicje sycił mną i dziećmi. Dzisiejszego wieczoru unikam debaty na ten temat. Nasze stanowiska w tej kwestii są przecież jasne. Mój Boże, już dawno powiedzieliśmy sobie wszystko. Uważam, że nie ma sensu zamęczać się tym, co i tak jest sprawą beznadziejną. Tyle akurat nauczyłam się w moim małżeństwie. Ależ ze mnie mądrała!

Christoph papla sobie z dziećmi, które są miłsze niż w ciągu dnia, mamy więc naprawdę przyjemną kolację. Tatuś jest bohaterem. Czasami zazdroszczę mu tej roli. Cały boży dzień w wielkim świecie, a wieczorem inny program dla kontrastu. Tak wygląda życie większości mężczyzn. Sprawiamy wrażenie wzorcowej rodziny lat sześćdziesiątych. Mama zrobiła pyszne jedzenie, dzieci - świeżo wykąpane i nakremowane - siedzą przy stole, a tatuś opowiada zabawne biurowe anegdotki. Potem jeszcze historyjka dla każdego z dzieci i wspólne mycie zębów. Mogę sprzątnąć ze stołu i uporządkować kuchnię. I zaraz Christoph będzie należał do mnie. Tak przynajmniej myślałam. Niestety, są jeszcze akta. Parę lat temu usunięcie się na bok z powodu paru stęchłych akt wydałoby mi się niemożliwe. Tak, czasy się zmieniają.

Koniec bajki: ja oglądam telewizję, on pracuje.

Jak to dobrze, że od jutra zaczynam nowe życie!

W łóżku nic szczególnego. Jak zwykle. Patrę przez okno. Nawet niebo wygląda nudno. Mamy dach nad głową. Nasz szeregowy domek nie jest co prawda zbyt duży, ale ma piętra, tak jakby w następnym życiu chciał zostać wieżowcem.

Christoph śpi snem sprawiedliwego i dziarsko chrapie. Chrapanie, jak już zdażyłam zaobserwować, rozwija się wprost proporcjonalnie do związku. Im dłużej on trwa, tym głośniejsze i bardziej miarowe staje się chrapanie. Jakby na początku nowej miłości mężczyzna miał wbudowany system kontrolny. Chrapiący element nacisku, ażebyśmy my, kobiety, czuły się pewne i szczęśliwe, wierząc w upolowanie jednego z tych rzadkich egzemplarzy, które nie wydają z siebie żadnych nocnych dźwięków. Z czasem wzmagają się chrapanie, często równoległe do spadku stopnia namiętności. No, zawsze to jakiś dźwięk w sypialni. Niestety, mizerna namiastka. Chrapanie jest niezwykle męczące. Można się załamać.

Daję Christophowi szturchańca. Nie jakiegoś delikatnego, bo te na niego nie działają, ale takiego, powiedzmy, średniego. Chrząka, odwraca się prawie mechanicznie na bok i... przestaje chrapać. Ale na krótko. To jest właśnie paskudna strona chrapania. Myślisz, że się udało, a tu zaraz niepohamowanie i zwawo zaczyna się od nowa. Z maleńką przerwą. Jeszcze jeden kukaniec.

- Jestem przeziębiony, co mam zrobić? - biadoli śpiący u mojego boku mąż, zupełnie pewien, że chrapie tylko wtedy, kiedy choruje.

Mój mąż. Wygląda całkiem przystojnie, gdy tak tu sobie leży. Są przecież mniej atrakcyjni faceci. Aż miło na niego popatrzeć. Nie jest jednym z tych, którzy leżą w łóżku z otwartymi ustami. I przynajmniej nie zgrzyta zębami. Zgrzytający zębami są gorsi od tych, co chrapią. Kiedy przed spaniem muszą zakładać sobie gryzaka, taki tam kawałek plastiku, wtedy przechodzi ochota na wszystko.

Leżę i nie śpię. Wyłapuję uchem chrapanie i rozmyślam. Jak ja tu wylądowałam? Myślę o mojej liście na dnie kuchennej szuflady. Od jutra wszystko się zmieni. Koniec biadolenia. Jedną noc Christoph może przechrapać koło mnie całkowicie nieświadomy niczego. Ale potem, mój kochanieńki, zajdą pewne zmiany! Pokrzepiona tą myślą, zasypiam.

Budzę się około trzeciej nad ranem przerażona inną perspektywą. Pod koniec tygodnia urządжаю dla Christopha imprezę niespodziankę. W piątek ma urodziny i jak zwykle zarzekał się, że nie chce żadnej zabawy. „Dziecinada!!!”. Wtedy ja postanowiłam wziąć go z zaskoczenia. W końcu zaprosiłam około czterdziestu osób. Połowę sąsiedztwa, kancelarię i naturalnie wszystkich, których mamy za przyjaciół i rodzinę. Ale co ja zrobię do jedzenia? Przygotuję sa-

ma czy może coś zamówię? Większe wrażenie zrobi przecież samodzielnie przygotowany bufet. O kurczę, muszę jeszcze kupić napoje - jedno z tych niewielu zadań, które zwykle należą do Christoph'a.

We śnie duszę się pod stertą śmierdzących sałatek kartoflanych. Przygotowanych przeze mnie. Fantastyczny omen.

## Dzień drugi

Następny dzień - dzień X, wejście w nowe szalone życie - zaczyna się obiecująco. Tak jakby mój mały prywatny światek przeczuwał, w czym rzecz. Wszyscy są pokojowo nastawieni. Nikt się nie bije, nikt nie wrzeszczy. Panuje niebiański spokój. Po prostu lepiej być nie może. Kiedy przygotowuję prowiant do przedszkola, kroję jabłuszka i smaruję bułeczki, rzucam jeszcze raz, jakby na potwierdzenie moich postanowień, szybkie spojrzenie na listę w kuchennej szufladzie.

Chcę:

- więcej napięcia
- więcej seksu
- więcej uznania
- mieć szczuplejsze uda

I to wszystko szybko, proszę. Bardzo szybko.

Myślę, że czegoś jeszcze tam brakuje. Uzupełniam listę:

- mieć fantastyczny nastrój

Christoph jest zdumiony. Moim dobrym humorem - rzekomo niezwykłym o tej porze dnia. Często rano nie jestem w najlepszej formie. Rzeczywiście: można się podnieść na duchu. I to jedną małą kartką papieru. Gdybym wcześniej wiedziała, zrobiłabym to już dawno.

Kiedy Claudia i Christoph są już gotowi do wyjścia, mój najdroższy dostaje pożegnalny pocałunek - taki ze wszystkimi elementami długiego, namiętnego pocałunku. Całujemy się tak długo, aż Claudia zaczyna ciągnąć nas za ubrania. Wydaje mi się, że Christophowi podoba się taki właśnie całus.

- Myślę, że dziś wrócę szybciej, a akta zostawię w biurze.

Tym zdaniem sygnalizuje wyraźnie, że pożegnanie bardzo mu się podobało. No proszę, może część problemu leży w zwykłej porannej niedyspozycji. Tak jak zawsze mawiał mój oj-

ciec: „Jak krzykniesz w las, takie echo się odezwie”. Postanawiam od dzisiejszego ranka być najpromienniejszym z promieni. Fantastycznie znów się tak całować. Dziś wieczorem weźmiemy się porządnie do rzeczy.

Biorę prysznic i wcieram krem, tak jakby miało to nastąpić za parę minut. Przedsmak rozkoszy jest największą rozkoszą. O niebioso - rzucając tak przysłowiami, staję się dokładnie taka jak mój ojciec. Dobry Boże! Zawsze, kiedy coś takiego słyszałam, strasznie się denerwowałam i obiecałam sobie nigdy nie opowiadać podobnych bzdur. Jak można się pomylić! Geny siedzą jednak mocno w człowieku. Niestety, także i w moich udach. Krajobraz delikatnie upstrzony kraterami. No to jeszcze jedna porcja balsamu do ciała. Tak wykremowane moje biedne uda wyglądają trochę lepiej.

Oglądam się w lustrze. Góra jakoś ujdzie. Przede wszystkim dlatego, że lustro jest po prysznicu lekko zaparowane. Dół wygląda gorzej. Ale przyjdzie czas i na to.

Dziś po południu czeka mnie wyjście na miasto. Muszę postarać się w końcu o prezent dla Christopha. Tutaj, na peryferiach, zakupy to żadna robota. Mała, obskurna lodziarnia, sklepik z artykułami papierniczymi, kiosk z gazetami i supermarket. Nie mogę nie wspomnieć o butiku Anni. Nazwa mówi sama za siebie. Ja naprawdę chętnie robię zakupy, ale przy Anni moja karta kredytowa może pozostać zupełnie spokojna. Nie ma tam dla mnie najmniejszej pokusy. Odkąd tu mieszkamy, moje konto zostało tylko trochę odciążone. Gdzie tutaj można wydać pieniądze? Przede wszystkim moje pieniądze! Odkąd nie pracuję - w każdym razie poza domem - żyjemy z pensji Christopha. Nic niezwykłego, ale dla mnie rzecz wymagająca przyzwyczajenia. Na szczęście Christoph nie jest typem sknery. Może inaczej - nie jest ekstremalnym sknerą. Ma, co prawda, inne wyobrażenie niż ja o tym, na co można wydać pieniądze, ale chyba szlag by mnie trafił, gdybym miała go prosić o pieniądze na nową parę kaloszy dla dzieciaków.

Dziś po południu zorganizowałam dzieciom czas poza domem. Claudia pójdzie po przedszkolu do swojej koleżanki, a Mark do kolegi. Jak za dawnych czasów poszwędam się w zupełnym spokoju po mieście. Cóż za piękna myśl!

Punkt trzecia odprowadzam Marka do jego ulubionego kumpla Kaja i postanawiam być osobą bardzo rozsądną. Pojadę do miasta tramwajem. Bliskie położenie przystanku podbiło cenę naszego domu co najmniej o piętnaście procent, tak więc byłoby rzeczą karygodną nie robić użytku z tego właśnie środka komunikacji. Christoph wzbrania się stanowczo przed jazdą do kancelarii tramwajem. Woli stać w korku swoim eleganckim bmw. Myślałam, żeby kupić mu

bilet miesięczny na środki komunikacji miejskiej, ale szybko zarzuciłam ten pomysł. Po pierwsze: każdy ma tak, jak woli. Po drugie: nie jestem misjonarką. I po trzecie: z takiego prezentu ja sama też nie byłabym zadowolona.

Śpieszę się na tramwaj, parkuję samochód, chwalebny jeszcze raz w duchu swój rozsądek, i już mnie nie ma. Czasami ma się szczęście, tramwaj wjeżdża na przystanek w tym samym momencie, kiedy tam docieram. Właściwie powinnam kupić bilet przed wejściem do tramwaju, ale wtedy musiałabym stać całe dwadzieścia minut na owym beznadziejnym przystanku, a ten czas mogę przecież poświęcić na o wiele przyjemniejsze wydawanie pieniędzy w mieście. Poza tym: czy nie postanowiłam sobie żyć od dzisiaj dziko i niebezpiecznie? No i też nie jestem już taka młoda, żeby trwonić czas po przystankach. Jako nastolatka - wieki temu - jeździłam bardzo często na gapę. Co wtedy było możliwe, do zrobienia jest i dzisiaj. Wsiadam do tramwaju. Taka beztroska jak wtedy dziś już jednak nie jestem. Natychmiast robię się czerwona na twarzy, jakby inni pasażerowie od razu odgadli, że jestem gapowiczką. Siadam, wbijam wzrok w podłogę i mam nadzieję, że jazda tramwajem szybko zleci. Wątpliwa podnieta. Spróbować przecież można. Dwie stacje dalej już mi lepiej. Można się przyzwyczaić do bycia gapowiczką.

Na trzecim przystanku, dokładnie mówiąc na dworcu Rödelheim, zaczyna się koszmar. W tramwaju słychać:

- Bilety do kontroli, proszę.

O nie! Jak ja się stąd wydostanę? Staram się uspokoić, głowię się jak w obłądnie, jaka byłaby najstosowniejsza wymówka. Brak drobnych czy że zapomniałam biletu miesięcznego jest przecież zwykłą ignorancją, i to w dodatku zupełnie niewiarygodną. Jeszcze nie pomyślałam do końca, a tu już stoją przede mną. Trzej kontrolerzy. Dwóch facetów i jedna kobieta, która miło się do mnie uśmiecha. Jeszcze tego brakowało!

- Pani bilet do kontroli, proszę - przyjemnym głosem zwraca się do mnie jeden z nich.

Zaczynam grzebać w torebce, oblewa mnie rumieniec aż do samych uszu, mam uczucie, jakbym miała paść za parę minut, i wtedy zaczynam swój monolog, bez przerwy się jękając.

- No nie... nie mogę go jakoś znaleźć.

Na potwierdzenie moich słów przetrząsam z uporem maniaka torebkę i próbuję przybrać niewinną minę. Nie jest to bardzo eleganckie, ale nic innego nie przychodzi mi teraz na myśl.

- Tak, tak... - mówi jeden z facetów i kiwa znacząco głową.

- Mam tu jedną - wrzeszczy ten drugi, podekscytowany, przez cały tramwaj i wtedy widzę światło.

Kamera z małym reflektorem i blondyna z mikrofonem w ręku. Czy to z programu *Nie znasz się na żartach?*, czy może jeszcze coś innego?

- O co chodzi? - pytam pierwszego faceta.

- Oni robią reportaż dla RTL Explosiv na temat gapowiczów - informuje mnie z dumą. Tego jeszcze brakowało.

- Ja nie jadę na gapę, ja po prostu nie mogę znaleźć biletu - staram się mówić tak spokojnie, panując nad sobą, jak tylko to możliwe.

- Tak wszyscy gadają - triumfuje ten drugi i mruga do reporterki.

Ta czuje, że nadszedł jej moment, podsuwa mi mikrofon pod brodę i pyta, szczerząc do mnie zęby w sztucznym uśmiechu:

- Dlaczego jeździ pani na gapę?

Mam już naprawdę dosyć. Sama jestem niemalże przekonana o tym, że upchnęłam gdzieś swój bilet, tak czuję się osaczona.

- Nie mogę go znaleźć - upieram się przy swoim jeszcze raz. - Skasowałam go, a teraz gdzieś się zawieruszył - wmawiam sobie obłudnie.

Wtedy gładko włącza się do rozmowy pewna kobieta, siedząca dwa rzędy przede mną. Mamy i tak pokażną publiczność. Nikt nie chce przegapić takiego show.

- To pani, tak, pani wskoczyła tak po prostu do tramwaju, a nie widziałam pani przy automacie z biletami. Wsiadałyśmy na tym samym przystanku.

Fantastycznie. Czy ona była w poprzednim życiu w Stasi, czy może naoglądała się za dużo Akt XY? Nienawidzę takich ludzi. Czy to ma coś wspólnego z odwagą cywilną?

Ciotka z RTL-u, wyszminkowana tak, jakby była na jakiejś gali, a nie w obskurnym tramwaju, odwraca się na krótką chwilę ode mnie i podstawia kobiecie mikrofon pod nos.

- Czy mogłaby pani powtórzyć, co pani widziała? - zachęca.

Ta z kolei czuje się niczym świadek koronny przestępstwa finansowego i dopiero teraz rzuca z grubej rury:

- Znam tę panią i wszystko widziałam. Nie była przy automacie i nie wykupiła biletu. I tak między nami, ci to mają naprawdę dosyć pieniędzy, żeby zapłacić za bilet. Ale to typowe. I tacy ludzie oszukują przecież państwo.

Ratunku! Kim jest ta szalona kobieta? Jej twarz wydaje mi się bardzo znajoma.

- Co pani opowiada? - przerywam jej. - Czy my się znamy? - pytam raz jeszcze.

Nigdy nic nie wiadomo.

- Pani prawdopodobnie mnie nie zna, ale ja panią tak. I pani dziecko też. Rozpieszczony bachor. Ludzie tacy jak pani przechodzą obok i najczęściej wcale mnie nie widzą. Sprzątam w przedszkolu, do którego posyła pani córkę. Ale ja płacę za swój bilet. Zawsze. Chociaż wcale nie mam tyle forsy co pani.

Cholera jasna! Szlag by trafił! Diabli nadali! RTL, i do tego jeszcze ta sprzątaczką. Co za niezdrowa kombinacja! Jutro będzie huczało w całym przedszkolu. Brawo! Babka z RTL-u jest o krok od ekstazy. Niezły materiał - gapowiczka plus lekka domieszka walki klasowej.

- Tego już dosyć - mówię i jeszcze raz podkreślam, że ja najzwyczajniej w świecie nie mogę znaleźć biletu.

- Kłamie. Kłamie jak nic! - wrzeszczy kobieta z przedszkola, ale ja też dłużna jej nie zostaję i krzyczę:

- Wcale nie kłamie!

Mam ochotę zawyć albo ją po prostu walnąć. Nie tak wyobrażałam sobie mój wyczekiwany wypad do miasta.

- Dosyć tego - mówi spokojniejszy z kanarów. - Na następnym przystanku wszyscy wysiadamy i wyjaśnimy sprawę.

Następny przystanek nie jest co prawda w śródmieściu, ale myślę, że, niestety, nie mogę być w takiej sytuacji wybredna.

- Okay - odpowiadam, bo perspektywa opuszczenia tego koszmarnego miejsca wydaje mi się rozkoszna, choć najchętniej rozpląnęłabym się w powietrzu albo cofnęła czas o jakieś dwie godziny.

Na oczach wszystkich pasażerów opuszczam wagon jak jakaś kryminalistka w drodze na szafot. Babka z RTL-u wysiada razem z nami. Sprzątaczką też podnosi się ze swojego miejsca.

- Też pójdę, żebyście mogli mnie wziąć na świadka - oferuje ochoczo.

Na szczęście pani kontrolerka pierwszy raz zabiera głos właśnie teraz.

- Dziękujemy bardzo, to nie jest konieczne. Usłyszeliśmy od pani już wystarczająco dużo - tymi słowami uciera nos czarownicy. Ta jest wyraźnie rozgoryczona i burczy:

- Jak sobie chcecie, ja chciałam tylko pomóc, również naszemu krajowi, oczywista. - A za mną woła: - My to się jeszcze spotkamy!

- Już się nie mogę doczekać! - krzyczę w jej stronę.



Na przystanku następna część przesłuchania. Można by pomyśleć, że uprowadziłam tramwaj albo podpaliłam parę przystanków. Wydaje mi się jednak, że kontrolerka mi współczuje.

- Jeśli zapłaci pani czterdzieści euro, sprawa będzie załatwiona - podpowiada mi.

Przeszukuję portfel i znajduję tylko trzydzieści trzy osiemdziesiąt. Za mało.

- Czy przyjmują państwo karty kredytowe? - dopytuję się.

- Niestety, nie - dalej odpowiada miło - może mogłaby pani do kogoś zadzwonić, kto po panią przyjedzie i zapłaci.

Zadzwonić... tak, świetny pomysł, tylko do kogo? Rodzice nie wchodzą w rachubę, już wyrosłam z tego wieku. Do siostry? Daruję sobie jej kąśliwe uwagi. Spróbuję zadzwonić do brata. Odpowiada poczta głosowa. Dobry Boże, ten to wisi na telefonie całymi dniami, a kiedy zdarzy mi się do niego zadzwonić, nie odbiera. Prawdopodobnie nie miałby nawet jednego euro. Wiecznie goły i wesoły.

- Potrzebuję twojej pomocy, zadzwoń do mnie szybko - nagrywam się. - Mój brat nie odbiera - informuję kontrolerów.

- Nie ma pani męża? - pyta jeden z nich.

Patrzy na mnie przerażony. Jeździć na gapę i nie mieć męża, to przechodzi jego pojęcie.

- Owszem, mam - odpowiadam - naturalnie, że mam - i na dowód tego wybieram numer do Christoph'a. Odbiera recepcja.

- Halo, tu Andrea Schmidt. Czy mogłabym rozmawiać z mężem? - przechodzę od razu do rzeczy.

Czasami ucinam sobie najpierw miłą pogawędkę z panią Trundel, ale nie dziś.

- Czy coś ważnego? Pani mąż jest na zebraniu - odpowiada recepcjonistka.

Czy on od rana do wieczora siedzi tylko na zebraniach? Czy kiedykolwiek tam pracują?

- To naprawdę ważna i niecierpiąca zwłoki sprawa. Muszę z nim natychmiast porozmawiać.

- Dobrze, już panią łączę - mówi pani Trundel.

- O co chodzi? - zaczyna niezbyt szarmancko. Mówi cicho, co oznacza, że nie jest sam.

- Potrzebuję sześć euro i dwadzieścia centów.

Zaniemówił, jakby potrzebował więcej czasu, żeby zrozumieć moje słowa.

- I dlatego do mnie dzwonisz? Oszalałaś? Nie jestem bankiem ani bankomatem!

- Do jasnej cholery! - krzyczę. - Stoję na dworcu zachodnim i kanary chcą ode mnie pieniędzy, bo jechałam bez biletu. Mam przy sobie tylko trzydzieści trzy euro i chcę wrócić do domu. I w ogóle wszystko jest do bani!

- Andrea - mówi - powiedz, że to żart.

- Nie, nie, nie - podkreślam - to nie żart. Jestem nawet bardzo poważna. Przyjedź po mnie, proszę. Ratuj mnie! Szybko!

W odpowiedzi słyszę długie, bardzo długie jęknięcie. Christoph chrząka, a potem mówi:

- Andrea, jak ty to sobie wyobrażasz? Nie mogę stąd wyjść. Podaj swoje dane, a później porozmawiamy.

Tego już za wiele. Zaczynam jednak wycić i kończę rozmowę. Mój własny mąż, do tego adwokat, zostawia mnie tak po prostu samą sobie w momencie, kiedy w naszym małżeństwie pojawił się jakiś większy problem. Ja go proszę o ratunek, notabene po raz pierwszy w trakcie trwania naszego związku, a on mi mówi: „Nie mogę stąd wyjść”. To gorsze niż zostać przyłapaną na jeździe bez biletu.

- Mój mąż nie może - szlocham.

Babka z RTL-u przeciska się do mnie.

- Niech pani posłucha, ja tego nie chcę - pomimo niewyraźnego od łez obrazu dociera do mnie, o co jej chodzi. - Niech pani da ujście swoim emocjom! Telewizjowicie to lubią! - zachęca mnie.

Co za obrzydliwy zawód! Reporterka w RTL-u. Mają moje łzy w przybliżeniu. Dlaczego pozwalam się w ogóle filmować? Jestem aż tak naiwna czy głupia jak but z lewej nogi?

- Niech pani stąd odejdzie! - przeganiem babsztyla. - Nie mogę zrobić przelewu? - pytam kontrolerów.

- Oczywiście, że tak - odpowiada pani kontrolerka - będziemy potrzebować tylko pani danych osobowych.

Mam wrażenie, że zaraz zakocham się w tej kobiecie.

- Nie mam nic przeciwko temu - bąka także drugi kontroler. - Niech mi pani da swój dowód osobisty.

Oczywista sprawa, że go przy sobie nie mam, a szczerze powiedziawszy, nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie w ogóle może być. Oferuję więc swoje prawo jazdy, kartę klienta z Peek&Cloppenburg oraz kartę kredytową.

- Prawo jazdy wystarczy - mruczy pod nosem pierwszy kontroler i wypisuje wszystko skrupulatnie w swoim bloczku, po czym podaje mi kartkę z trzema odbitkami do podpisania.

- Jest już pani wolna - rzuca ten ważniejszy na zakończenie naszego przemilego spotkania. - Wystarczy, mamy już wszystko, czego potrzebujemy.

Też mam wrażenie, że to w zupełności wystarczy. Przeszła mi ochota na zakupy. Na jazdę tramwajem również. Jestem zaledwie godzinę poza domem, a już chcę tylko jednego - wrócić tam jak najprędzej. Chcę do mamy, chcę moje kakao, dwa okazałe kawałki upieczonego przez siebie keksa i słowo pocieszenia. W rzeczywistości siedzę jednak na przystanku dworca zachodniego i chlipiąc, pociągam nosem.

- Możemy gdzieś panią podwieźć? - Uśmiecha się do mnie babka z RTL-u.

O rany Julek, oni tu jeszcze są! Kamerzysta i ta maltretująca mnie reporterka. Jakim cudem wytrzymuje cały dzień pracy w takich szpilkach, to dla mnie wielka zagadka. Czy to aby nie buty od Manola Blahnika? Czy ci z telewizji aż tyle zarabiają, że nawet reporterka, w zwykły dzień roboczy, może łązić w butach od Manola? Szaleństwo! Na jej miejscu miałabym stracha, że droga rzecz może mi utknąć gdzieś w kratce ściekowej. Może ona nie jest wcale taka zła? Mam na myśli fakt, że przecież wykonuje tylko swój zawód. A jeśli chodzi o buty, ma wyszukany gust. Ludzie, najchętniej wsiadłabym teraz do samochodu i pojechała jak najszybciej do domu! A właściwie dlaczego nie? Niech mnie zawiozą. Na wycieczkę tramwajem nie mam już nerwów.

- Dziękuję, tak. - Wciągam nosem powietrze i idziemy na parking.

Passat. No, myślałam, że RTL może sobie pozwolić na lepsze samochody. Choć na pewno wolę to od jazdy tramwajem. I przynajmniej widnieje na nim duży i wyraźny napis RTL. Na krótką chwilę odganiam od siebie wspomnienie całego okropnego zajścia i czuję się niczym VIP w drodze na jakieś wyjątkowej rangi wydarzenie. A potem wysiadam przy rozwiniętym czerwonym dywanie. W czasie jazdy zostawiają mnie w spokoju. Kamerzysta wygląda zupełnie milutko. W tramwaju tego nie zauważyłam. No, ale przecież przez cały czas zasłaniała go kamera i dopiero teraz widać chłopięcą twarz. O! Tak jak ten tam sympatycznie wyglądający facet na chodniku. Są mężczyźni, którzy mają na karku pięćdziesiątkę i ciągle wyglądają jak chłopaki. Kamerzysta ma delikatne zmarszczki i piękne niebieskie oczy. Szybko wycieram sobie rozmazany pod oczami tusz do rzęs - na tyle starannie, na ile można zrobić to bez lustra. Nie wygląda jednak na to, żeby kamerzysta był mną zainteresowany. Dobrze - przecież jaki porządny mężczyzna wlepia wzrok w kryminalistkę, choćby nawet małego kalibru? Czy już

teraz mam się czuć ukarana? A nawet gdyby, z pewnością są jeszcze inni mi podobni. Politycy, prominenci i cała ta spółka. Trafiłam jednak do doborowego towarzystwa.

- No i jesteśmy na miejscu - kobieta z RTL-u przerywa moje myśli. - Ładnie pani mieszka, tak na peryferiach miasta - dodaje jeszcze.

Co ona chce przez to powiedzieć? Miła okolica? Czy to oznacza, że nigdy by się tego po mnie nie spodziewała albo może, że jest tu tak wytwornie, albo że to straszne zadupie? A może po prostu chciała wszcząć układną konwersację? Jakie to urocze! Obydwoje wysiadają ze mną. Czy mam ich jeszcze zaprosić na kawę? Moi nowi znajomi z telewizji. Właściwie, powinnam ich nazwać nawet kolegami z pracy. W końcu sama przez kilka lat, do narodzin Marka, pracowałam w telewizji. Co prawda nie w RTL-u, lecz w małej i nieznaczącej telewizji i nie jako reporterka, lecz asystentka w redakcji, ale zawsze to ta sama branża.

- Też pracowałam w telewizji - próbuję ukazać się w innym świetle.

Chcę, aby postrzegano mnie nie tylko jako gapowiczkę, ale również jako osobowość.

- Nie może być - kobieta z RTL-u jest zdumiona.

- Czy napiją się państwo kawy? - nagradzam jej entuzjazm.

Wymienia spojrzenia z kamerzystą, kiwa głową i mówi:

- Bardzo chętnie. Proszę iść, a my zaraz dojdziemy.

Otwieram drzwi i wchodzę do domu. Przychodzi mi do głowy, że mogłam rano choć trochę posprzątać. Moi państwo, ale zrobiła się ze mnie pedantka!

- Proszę usiąść, już robię kawę. - Wskazuję tym dwojgu drogę do salonu.

Nie, żeby można się było u mnie zgubić. Nasz domek szeregowy jest raczej przejrzysty. Jak wszystkie zresztą. Mały hall, po lewej toaleta dla gości, potem salon i jadalnia plus kuchnia w jednym, a stamtąd schody prowadzą na piętro. Kto zna rozkład jednego domku szeregowego w nowym budownictwie, zna rozkład wszystkich.

W chwili, kiedy chcę podawać kawę, patrzę z przerażeniem, co ci dwoje wyczyniają. Filmują mój pokój. Ale dlaczego?

- Co państwo robią? - krzyczę.

Wtedy ta krowa z RTL-u doskakuje do mnie z mikrofonem w ręku. Tuż za nią słodziutki kamerzysta z przenośnym sprzętem.

- Chcemy wiedzieć, dlaczego taka zamożna kobieta jak pani, z domem i ogrodem, jeździ na gapę? Co podkusiło panią do takiego karygodnego występu?

Jestem więcej niż wyprowadzona z równowagi. Wredna żmija! Stoję z tacą i trzema filiżankami kawy i przeklinam samą siebie. Gdzie jest granica mojej głupoty? Nazywanie tego lekkomyślnością byłoby zbyt delikatne. I co oznacza tutaj „zamożna”? Która z nas dwóch nosi Manolę Blahnika? Ależ jędba!

- Wynocha! - wrzeszczę. - Wynocha z mojego domu!

Jeśli zaraz się stąd nie ulotnią, ruszę z pięściami!

Zauważyli, że to nie przelewki, i szybko wychodzą. Mają choć tyle przyzwoitości. Wypijam wszystkie trzy filiżanki kawy i modłę się: „Panie, spraw, aby zgubili ten materiał lub niech spłonie w jakimś wypadku”.

Potem dzwonię do Heike i relacjonuję jej całą historię. Heike jest zaskoczona, nie może uwierzyć, a potem się śmieje. Nie może się opanować. Na jej życzenie mam nawet przewertować gazetę telewizyjną, żeby sprawdzić, kiedy w ogóle leci Explosiv.

- W żadnym wypadku nie chcę tego przegapić - chichocze. - Przyjaciółka nową gwiazdą telewizji.

Mój wstyd uważa za przesadzony. W końcu niemal każdy jechał przynajmniej raz na gapę - z tego punktu widzenia ma rację - większość jednak w wieku trzynastu lat. No dobra, niektórzy mają spóźniony zapłon.

- I jeszcze coś ci powiem, Andrea - zmienia temat - co do twojej seksualnej flauty. Zapakowałam ci coś miłutkiego, a za parę dni będziesz to miała u siebie. Wyślę dzisiaj pocztą. Nie chcę, żebyś mi uschła.

Heike potrafi być czasami dwuznaczna. Korzysta z okazji i szmugluje między słowami ofertę swoich usług. Pomimo że cisnę ją jak cytrynę, nie daję rady niczego z niej wydusić.

- Niespodzianka - mówi tylko tajemniczo, a mnie zżera ciekawość.

O ile znam Heike, przyśle mi wibrator. Czy to aby jest rozwiązanie? Czy już mam kupić zapas baterii? I jakie? Czy mogą być różne? Jestem do tego sceptycznie nastawiona.

Moja ostatnia próba zastosowania środków pomocniczych była mało owocna. Zakupiłam kilka różnych poradników seksualnych: *Co zrobić, aby na nowo odkryć rokosze swojego łóżka?*, *Czego naprawdę pragną mężczyźni*, *Rozpal go* lub tym podobne. Zawsze to trzy książki. Cóż znaczą czterdzieści trzy euro wobec szalejącego w łóżku tygrysa? Trzeba być gotowym na niektóre inwestycje. Tak na marginesie, cały ten kram zamówiłam na [www.amazon](http://www.amazon). Stanąć przy kasie w księgarni z taką zawartością koszyka, a przy okazji pokazać kasjerce i wszystkim w kolejce, że u mnie w łóżku najwyraźniej panuje pożałowania godna flauta? Nie, dziękuję.

Praktyczne zajęcia po takiej lekturze były więcej niż powalające. „Przy stosunku oralnym proszę wypełnić usta suchym ryżem, a on poczuje się jak w siódmym niebie” - propozycja ta brzmiała nadzwyczaj interesująco. Komu przyszedł do głowy taki pomysł!? Czy nie należy mieć do tego buzi przynajmniej wielkości paszczy hipopotama? Brakowało mi pewności i podczas treningu z suchym ryżem - gorąco go zalecano - parę razy o mało się nie udławiłam. Do przećwiczenia należy nabrać w usta ryżu, minimum dwie duże łyżki, i średniej wielkości banana. Może być też cukinia. Potem należy poruszać ryż dookoła banana lub cukinii. Nie wiem, jak się czuł banan, ale ja musiałam kaszleć około pięciu minut, po tym jak parę ziarenek ryżu wpadło mi w tchawicę. Czy to działałoby podniecająco - mam wątpliwości. Skończyło się więc tylko na próbach. Od tamtej pory mam do ryżu raczej ambiwalentny stosunek i kiedy widzę kobiety kupujące w supermarkecie ryż, wcale nie chcę wiedzieć, jakie mają wobec niego zamiary.

Na ogół w poradnikach seksualnych propagowane jest nieograniczone robienie użytku z artykułów spożywczych. Obopólne masaże z miodem, na przykład. Nutella na piersi lub marmolada na całym ciele. Coś podobnego mógł wymyślić tylko mężczyzna! Na litość boską, nie jestem przecież naleśnikiem! Chociaż moja skóra, niestety, w niekorzystnym świetle mogłaby przypominać ciasto. Pominąwszy jednak elementy wizualne, trudno mi sobie wyobrazić taką ciapkaninę. Sypialnia nadawałaby się jedynie do gruntownego sprzątnięcia. Nie wspominając o pościeli. Czy kogoś doprowadza to do euforii, jeśli już podczas takiej mazaniny wiadomo, że potem nie można się rzucić na poduszki i odprężyć, tylko trzeba zacząć orgię pucowania? Poza tym nie lubię nutelli bez masła. A wątpię, czy Christoph pozwoliliby posmarować się najpierw masłem, a potem nutellą.

Pomysł oglądania siebie z latarką w całkowicie zaciemnionym pokoju także uznałam za mało pobudzający. Para wymienia się latarką i oświetla sobie nawzajem erogenne części ciała. Strach pomyśleć, że Christoph mógłby obejrzeć w detalach mój cellulitis.

Wypróbowałam z Christophem tylko jeden trik. Numer z tych wyjątkowo orzeźwiających. Należało sobie wprowadzić tam na dole kulkę lodu. Byłam do tego trochę sceptycznie nastawiona, ale czego kobieta nie zrobi, żeby w jej sypialni znowu zaiskrzyło. Postępowałam więc zgodnie ze wskazówkami. Mogę powiedzieć tylko jedno - wiem teraz, jak czuje się głęboko zmrożony ptaszek. Do ognistego seksu bez zahamowań to również nie doprowadziło. Wręcz przeciwnie - Christoph był doszczętnie wychłodzony, a jego mały wyglądał jak po kąpieli w dziesięciostopniowej wodzie. Dumnie nabrzmiały penis stał się w parę sekund mizerną

dżdżownicą. Fascynujące, ale nic wspólnego z afrodyzjakiem. Nie było mowy, żeby wyjąć z powrotem tę kulkę lodu. Zostawiłam ją tam, gdzie tkwiła, a w łóżku miałam roztopę. Może to rewelacyjny ruch szachowy, kiedy jest się w związku z facetem roznoszącym po domach mrożonki, poza tym niegodne polecenia.

W takim wypadku lepszy może okazać się wibrator. Mam nadzieję, że Heike dobrała go również kolorystycznie. Może w kształcie delfina? Albo taki jak w *Seksie w wielkim mieście* - mały, różowy zajaczek, tak zwany wiecznie napalony? Postanawiam zaopatrzyć się przy następnych zakupach we właściwe baterie. Jednocześnie zastanawiam się, gdzie mogłabym schować taki sprzęt. Upokarzająca jest myśl, że moja teściowa lub jeszcze gorzej moja matka mogłyby go odkryć podczas przemiłego spotkania przy kawie, gdy na przykład zaczęłyby szukać w jakiejś szufladzie łopatkę do ciasta albo czegoś takiego. Wstyd!

Biegnę w stronę przystanku tramwajowego, gdzie został mój samochód, wskakuję do niego, a potem zabieram dzieciaki od ich małych przyjaciół, ładnie dziękuję mamom, odrzucam zaproszenie na zwyczajową kawę i pędzę do domu. Równie dobrze może nic nie być. Babka z RTL-u może zauważy, że jej materiał nie jest w końcu aż tak spektakularny i wyrzuci go do kosza. Tak pokrzepiona siedzę punktualnie o dziewiętnastej dziesięć przed telewizorem. Co za program. Już sama prezenterka... Wysztafirowana małolata, perfekcyjnie wystylizowana, dramatyczne spojrzenie, świeżo wyszminowane wargi sięgające niemalże nosa - model balony - wymalowane oślepiającym błyszczkiem. Po jej poważnym spojrzeniu można by sądzić, że prowadzi na ARD\* co najmniej wielkiej rangi reportaż, traktujący o jakiejś potwornej katastrofie. Każdy temat zapowiada w taki sposób, jakby chodziło o piorunującą sensację.

\* Niemiecki nadawca radiowo-telewizyjny, właściciel programu pierwszego telewizji niemieckiej (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Na szczęście materiał o mnie nie otwiera tego programu. Zaczyna się on natomiast relacją o pękniętych silikonowych poduszkach w piersiach pewnej pani (wtedy jeszcze z miseczkami rozmiaru F) siedzącej w samochodzie niemieckiego prominenta. Nie znam tej kobiety. Prawdopodobnie jest aktorką. Nigdy wcześniej jej nie widziałam. Silikonowe piersi pękły podczas zderzenia z poduszką powietrzną w samochodzie. W takim razie poduszka powietrzna była silniejsza od implantów. A to pech! Moje współczucie jest raczej znikome. Przy trzecim z poruszanych tematów pozwalam sobie na małe odprężenie. Chodzi o wykwyty na skórze i stosowaną nową terapię. Jeszcze tylko osiem minut programu, zaczynam mieć nadzieję. Płoną,

niestety. Po wykwitach na skórze przyszła moja kolej. Prezenterka jeszcze bardziej marszczy brwi i rzuca:

- Od dzisiaj team magazynu Explosiv towarzyszy ludziom, którzy w naszym kraju stoją na straży prawa i porządku. Ludziom, którzy wykonują ciężką pracę, a przy tym mało zarabiają i częstokroć zmuszeni są wysłuchiwać grubiańskich uwag. Kontrolerzy. Nasza reporterka Marina Taub zrelacjonuje dzisiaj wyjątkowo perfidny przypadek.

Widzę tych trzech kontrolerów. Jeszcze na przystanku w Rödelheim. Punkt wyjścia mojego dzisiejszego przeżycia. Do tej pory wszystko idzie dobrze. Uśmiechają się do kamery, trzymają wysoko swoje służbowe legitymacje i wsiadają do tramwaju. Do tego, w którym siedzę ja. Rozpoznaję się już z daleka po płaszczu. Tak na marginesie, w telewizji wygląda wyjątkowo dobrze. Dzieci krzyczą:

- Mama, jesteś w telewizji!

Wysyłam je natychmiast do dzieciennego pokoju. Próbują protestować, ale po tonie mojego głosu zauważają, że to się na nic nie zda. Teraz kontrolerzy podchodzą do mnie. Hej, co oni zrobili z moją głową? Przyciemniona i zamazana. Jestem kobietą bez głowy. Czy w tym wypadku to dobrze, czy źle? Jestem w końcu w telewizji, ale nie mam twarzy. Z drugiej strony to w sumie szczęście. Bez twarzy wygląda się jednak trochę inaczej, więc może nikt mnie nie rozpozna. Głos mówiącego, oczywiście bardzo poważny, relacjonuje chronologicznie przebieg wydarzenia: „Każdego dnia kontrolerzy nie mogą się nadziwić, spotykając pasażerów na gapę, po których trudno by się spodziewać tak karygodnego czynu”. Teraz zbliżenie mojej osoby. Można powiedzieć, że mam rolę mówioną. Także mój głos jest trochę zmieniony: „Nie jadę na gapę, ja tylko nie mogę znaleźć biletu”. Ja bym tam sobie uwierzyła! Moje słowa brzmią uczciwie, choć wyglądam na chaotyczną, kiedy szperam w torebce. Teraz widać reporterkę. Wcisnęła siebie tak po prostu w sam środek relacji. Głębokie spojrzenie do kamery i słowa: „Wymówki, które nasi kontrolerzy znają aż za dobrze. Naturalnie od dawna nie dają się na nie nabrać”. Bezwstydna kobieta! Moim zdaniem byłam niezwykle przekonująca, sama bym sobie uwierzyła. A teraz występ tej okropnej sprzątaczkii z przedszkola. Reporterka ciągnie dalej: „Nasza gapowiczka ma, niestety, pecha, ponieważ znalazł się świadek jej niegodnego czynu”. Mój Boże, jak ta sprzątaczkii się puszy. I to w telewizji! Od telewizora biją oburzenie i żądza krwi. Denuncjacja górá! Ale jedno muszę sprzątaczkii przyznać - jest bardzo wiarygodna. Cholera jasna, jest lepsza ode mnie! Absolutnie autentyczna. Teraz znowu ja. Widać, jak łamię się psychicznie, jąkam się i stoję, chlipiąc, na przystanku dworca zachodniego. Nie da się nie za-



uważyć, że płaczę, chociaż moja twarz jest niewidoczna. Ale pociąganie nosem jest bardziej niż wyraźne. Gdybym tak nie wkładała tego kolorowego płaszcza! Bardzo rzuca się w oczy i zdaje się krzyknąć: „To ja! Płaszcz Andrei! Hej tam, popatrzcie na mnie!”. Dotąd byłam dumna, że nie widziałam takiego płaszcza u nikogo innego. Teraz stał się problemem. Komentarz do momentu, kiedy znowu pojawiając się na wizji, brzmi potwornie: „Pasażerka na gapę okazuje teraz skruchę, a rozmiar występku staje się dla niej jasny. Nie tylko dopuściła się oszustwa, ale także kłamała”. I znów sprzątaczką doszła do głosu. To, że stacja RTL obrała sobie rolę apostoła moralności, jest doprawdy śmieszne. Miałabym z tego pewnie niezły ubaw, gdyby nie fakt, że oskarżają właśnie mnie. Relacja kończy się w moim salonie. Słyszę słowa: „Tutaj mieszka kobieta, która rzekomo nie może sobie pozwolić na bilet komunikacji miejskiej. Oszuści są wszędzie. Ludzie, którzy żyją na nasz koszt”.

W ostatnim fragmencie relacji jestem bez płaszcza i wyglądam trochę topornie. Topornie i pokraccie, z tacą w ręku. Miałam na sobie dzinsy, w których, jak mawia moja matka, moje uda wyglądają trochę niekorzystnie. I to prawda. Salon też wygląda nieszczególnie. Jakby trochę nieposprzątany. Ale za to bardzo przestronny. Zły głos mówi: „Wygląda, jakby nic jej nie obchodziło. Została przyłapana na gorącym uczynku, a teraz pozwala sobie na filiżankę kawy. Niektórzy ludzie po prostu nie mają sumienia. Należy dodać, że kobieta ta jest także matką”. Mówi w taki sposób, jakby opowiadała o wielokrotnej morderczynie, która pokroiła i zamroziła swoje małe ofiary. Albo jakbym była szaloną, złą matką w niekończącym się narkotycznym ciągu, a kolejne działki wstrzykiwałyby mi własne dzieci. Nigdy więcej nie obejrzę tego magazynu! A dziś już na pewno. Robią show z kompletnych bzdur i podniecają się pasażerami na gapę.

Ledwie kończy się magazyn, dzwoni telefon. Prawdopodobnie Heike. Bez dwóch zdań potrzebuję wsparcia. Odbieram i już jestem na siebie zła. To nie Heike, ale mama.

- Andrea - w jej głosie słyszę oburzenie - właśnie oglądałam telewizję, bo chciałam odpocząć po golfie. W tym wypadku jednak nie mogło być mowy o odprężeniu, bo o ile się nie mylę, ty odegrałaś główną rolę w tym niegodnym przedstawieniu. Miałaś na sobie swój okropny kolorowy płaszcz. Rozpoznałam cię natychmiast. I muszę ci powiedzieć, że wcale nie byłam z ciebie dumna.

Kiedy nabiera powietrza, próbuję coś powiedzieć.

- Mamo, to nie było tak, jak myślisz. Postąpili ze mną obrzydliwie.

Moja uwaga mało ją jednak interesuje.

- Andrea, teraz mówię ja - przerywa mi - jeśli jest u was tak cienko finansowo, możesz nam o tym spokojnie powiedzieć. Twój ojciec na pewno by ci sfinansował jazdę tramwajem.

Czy te słowa nie są zabarwione ironią? - W twoim wieku bez biletu, co to ma znaczyć?

Jeszcze raz podejmuję się próby tłumaczenia, ale mama nie chce mnie w ogóle słuchać.

- Zaraz zadzwonię do twojego ojca i opowiem mu o tej sprawie - grozi mi, jakby przyłapała mnie na paleniu papierosów w wieku jedenastu lat, na krótko przed siedmioletnim aresztem domowym.

- Już mnie strach oblatuje - odpowiadam beczelnie, ale mama już dawno odłożyła słuchawkę.

Następny telefon jest od Heike.

- Jestem zła, bo kiedy już się stajesz gwiazdą ekranu, to nawet nie można cię rozpoznać - śmieje się do słuchawki. - Myślałam, że się nudzisz i zadręczasz, a tymczasem tam u ciebie na wsi niemało się dzieje.

Uwielbiam Heike. Już nawet za ten jej telefon. Pozwalam sobie na nikły uśmiech. Rzeczywiście nie jest tak źle. I poniekąd ma rację - przecież chciałam życia pełnego napięcia. Można wiele powiedzieć o dzisiejszym dniu, ale na pewno nie to, że był nudny. To już coś.

Ostatni tak burzliwy, o ile sobie przypominam, przypadł w dzień narodzin Marka. Wtedy, przed dwoma laty. - A było to tak:

Niedługo stanę się ulubienicą polityków! Kto by pomyślał!

Andrea Schnidt - ostatnia nadzieja niemieckiego systemu emerytalnego. Ja, nowoczesna, czynna zawodowo kobieta, zostanę niedługo podwójną matką. Od ministra finansów należą mi się przynajmniej kwiatki. I może jeszcze parę drobnych prezentów od ministra pracy. W końcu zupełnie niedawno przestałam pracować, a dzięki temu zwolniło się jedno miejsce pracy. Nie wspomnę już o przyroście naturalnym i odciążeniach dla wspomnianego systemu emerytalnego. Naród niemiecki może być ze mnie dumny!

Zapewne po raz piętnasty sprawdzam zawartość mojej torby do szpitala. Tak jak za czternastym razem wszystko jest w porządku. Staniki dla karmiącej matki, szlafrok. Koszula nocna i środki higieniczne - wszystko jest tam, gdzie było wczoraj. Z wiekiem człowiek dziwaczeje. Bo gdzie one niby mogą być? Staniki nie dostały przecież nóg. Są! Moja mama zawsze mi powtarzała: „Andrea, lepiej sprawdzić dwa razy i mieć zupełną pewność, czy wszystko spakowane”.

I niech mi ktoś powie, że nie słucham mamy. Czuję się spokojniejsza. Wszystko jest tak, jak być powinno - jedynie zamek się buntuje.

- Christoph, możesz, proszę, zamknąć moją torbę, chyba się zacina - wołam swojego męża.

- O, nie... - słyszę jego głos z łazienki. - Mówiłem ci już przecież, że powinnaś zostawić ją wreszcie w spokoju. Mam inne rzeczy do roboty niż zapinanie godzinami twojej torby. Myślisz, że ktoś z niej coś w nocy podwędził?

To doprawdy bardzo szarmanckie ze strony mojego męża. Doprowadzać do bezsilnej złości kobietę w zaawansowanej ciąży, którą już wkrótce poprowadzą na szlachtowanie. Przyznaję jednak, że jestem ekstremalnie wymagająca. Facet nie ma ze mną lekko. Niedługo trafi do mnie Amnesty, żeby mnie przynajmniej surowo przestrzec. „Żółta kartka, pani Schmidt! Jeszcze raz i będziemy zmuszeni interweniować!”. Żeby tak dręczyć mężczyznę, a zwłaszcza własnego męża o 7.30 rano! Toż to graniczy z przemocą w rodzinie!

Próbuję sama. Cholera, przy kciuku odpadł mi kawałek lakieru z francuskiego manicure. Zaraz mnie coś trafi. Zadbany wygląd kosztował mnie u manicurzystki dziewiętnaście euro. Teraz nie jest to już zadbane wygląd. Oczywiście, zwykle sama piluję sobie paznokcie. Jak trzeba, i pomaluję, ale pomyślałam sobie, że na tę okazję co nieco zainwestuję. Pod kołdrą w szpitalu naprawdę niewiele widać. Wystają tylko głowa, ręce i stopy i właśnie te części ciała powinny być zrobione. Co do głowy, możliwości są, niestety, ograniczone; przed rozwiązaniem można tylko poddać się liftingowi i zaaplikować sobie dawkę botoksu. Wybrałam wariant oszczędny i mniej pracochłonny. Nałożyłam na rzęsy hennę, mam manicure, i to nawet francuski, a paznokcie u stóp lśnią pomalowane nasyconą, ciemną czerwienią. I tylko dlatego, że mój mąż jest strasznym leniem, będę zmuszona trzymać kciuk pod kołdrą albo na ten czas przedłożyć niedbałość nad perfekcjonizm. Dalej szarpie się z zamkiem. Hurra! Udało się! Zamknęłam torbę. Ale tylko po jednej stronie - ta druga pękła na amen. To byłoby tyle. Fantastycznie! Najpierw paznokcie, teraz cała torba. Moja ulubiona torba podróżna. Skóra w kolorze koniaku, naprawdę elegancka rzecz. Niezobowiązująca, niedbała elegancja. Niestety, niedbałej elegancji brakuje teraz zamka. Jak to wygląda? Nie mogę przecież z pękniętą torbą iść rodzić do szpitala! Chociaż rzeczywiście, słowo „pęknięta” świetnie pasuje do porodu. Nawet nie chcę myśleć o szczegółach. Czy może ten pęknięty zamek to jakiś zły omen? Czy blizna po cesarskim cięciu też miałaby mi pęknąć? Boże, jakie to okropne!

Ha, jest jeszcze moja aluminiowa walizka! Chociaż - walizka to jednak przesada. Teraz po cesarskim cięciu nie można zostać w szpitalu dłużej niż czternaście dni. Pięć dni to norma. A moje cesarskie cięcie zaplanowano już na jutro na 9.00 rano. Przed terminem porodu chciałam jeszcze sprawdzić, czy to będzie korzystny znak zodiaku dla dziecka, ale Christoph uznał to za astrologiczne bzdury. Lekarz raczej też nie był skłonny do prowadzenia negocjacji na ten temat ani tym bardziej do wyznaczenia (moim zdaniem) korzystniejszej daty przyjścia na świat naszego potomka.

Christoph wychodzi z łazienki owinięty tylko niewielkim ręcznikiem. Hmm, przyjemny widok. Nawet bardzo przyjemny, ale nie można przecież zawsze ulegać hormonom.

- Dziękuję - mówię głosem pełnym wyrzutu i pokazuję niegdyś doskonałą torbę podróżną.

- Od razu ci mówiłem, że jest zbyt napchana - zabrzmiała jego jedyna uwaga.

- Nie jest zbyt napchana, najwyżej zbyt mała - odgryzam się.

- To weź moją - proponuje pojednawczym tonem - jest bardziej praktyczna i wchodzi tam od groma rzeczy.

Może ma rację. W jego torbę wchodzi naprawdę mnóstwo rzeczy, ale wygląda tak paskudnie, że można ją nosić tylko pod przykryciem albo w krajach, w których jest ciągle ciemno. Christoph wygrał ją na loterii podczas bożonarodzeniowego spotkania jego grupy biegaczy. Ludzie, ale się cieszył! Tak zwyczajnie i po prostu - z wygranej, bo torba nie mogła być powodem radości. Najbrzydsza torba, jaką kiedykolwiek widziałam. Taka tam pseudosportowa torba z wstawkami koloru neonowej zieleni i musztardowej żółci.

- Jeśli ta torba będzie pierwszą torbą, którą zobaczy nasz nowo narodzony syn, sam nie dasz rady uratować jego gustu ani przeglądaniem „Ładniej mieszkać”, ani nawet abonamentem „In Style”.

- Torba jak torba - odpowiada mi mężczyzna, który od niedawna twierdzi, że tylko bmw jest porządnym samochodem.

- Nie mogę pójść do szpitala z tą torbą - pozostaję stanowcza - mam jeszcze resztki wstydu.

- To zapakuj cały kram do plastikowych reklamówek - szczerzy do mnie zęby.

Tego już za wiele! Czy to miał być dowcip? Czy może pierwsze oznaki sknerstwa? Przekonanie, jak z tej reklamy, że niby skąpe jest fajne? Według mnie to najgłupsza reklama

wszech czasów. Co fajnego może być w skąpstwie? Skąpstwo jest najmniej seksowną cechą, którą mogę sobie wyobrazić. A teraz, pani Schmidt, tylko nie daj się przekonać.

- Ja chcę natychmiast nową torbę, bo inaczej nie urodzę! - stawiam wymagania.

- W takim razie musisz pójść ją sobie kupić - to jego krótka odpowiedź.

Sprytne. Sama bym na to nie wpadła.

- Ja w każdym razie idę jeszcze raz do kancelarii, zaprowadzę naszą córkę do mamy, a dziś koło południa, jak ustalono, zawiozę cię do kliniki. Jeśli chcesz przedtem pójść jeszcze zrobić zakupy, proszę bardzo.

- Dziękuję bardzo.

Jeśli on krótko przed rozwiązaniem chce się jeszcze kłócić, to proszę, proszę.

Widzi, że jestem zła. Podchodzi do mnie i głaszcze mój brzuch.

- Andrea, wszystko będzie dobrze.

Czy on potajemnie ogląda w kancelarii Ninę Ruge, czy jeszcze co innego ma znaczyć to powiedzonko?

- Jeśli będę miała porządną torbę, istnieje taka szansa - upieram się.

- Skarbie, muszę pojechać jeszcze raz do kancelarii, wiesz przecież, że powinienem dokończyć pismo, nim zacznie się ta cała sprawa.

Ta cała sprawa, czyli narodziny naszego drugiego dziecka! Muszę być dzisiaj o 14.00 w szpitalu, żeby przygotować się na jutrzejszy ranek. Ale pismo jest priorytetem i naturalnie, ależ naturalnie rozumiem, mimo że zaraz będą mnie rozcinać!

Claudia drepcze do nas ze swojego pokoju.

- Czy dzidzius będzie już dzisiaj? - dopytuje się. - Może już jest?

Dobrzy rodzice poświęcają odpowiednio dużo czasu pierworodnemu dziecku, więc jeszcze raz wyjaśniam w zupełnym spokoju:

- Nie, skarbie, on jest jeszcze w brzuchu u mamy. Popatrz, tu w środku. Pójdiesz do babci, a mama do szpitala. Kiedy przyjdiesz jutro z babcią, zobaczysz dzidziusia. Ale to ciekawe, prawda?

Uważam, że moje argumenty trafiają do małego dziecka. Są zrozumiałe, można nawet powiedzieć: wzorcowe. Pomimo to Claudia chce mi towarzyszyć i popatrzeć, jak wychodzi dzidzius.

- Chcę zobaczyć, jak wyskakuje - mówi.

- Nie - odpowiadam. Po prostu nie. Należałoby wszystko poprzeć argumentami, ale czasami nie mam ani siły, ani nerwów. - Pójdiesz do babci.

To zdanie z pewnością podobałoby się superniani. Stawia sprawę jasno i wyraźnie. Claudia nie wydaje się jednak przekonana.

- Ale ja chcę pójść z mamą - marudzi.

- Jak będzie już dzidzius, sprawimy Claudii powitalny prezencik - przemycam małe przekupstwo.

Tym razem superniania nie byłaby zadowolona. A nawet jeśli, co z tego! Przecież to działa. Claudia już mięknie i łaskawie melduje gotowość pójścia do babci. Są rodzice, którzy zabierają swoje dzieci na poród kolejnego potomka. Ja definitywnie nie należę do tego rodzaju matek. Jak można zabrać się swobodnie do rzeczy, kiedy obok stoi własne dziecko, w dodatku trzyletnie? Nie jestem jedną z kobiet, które przy każdej okazji całkowicie się kontrolują. Nie mam nawet wystarczającej kontroli nad swoim apetytem. O bólu już nie wspomnę. Ale w tej rundzie oszczędzę sobie boleści. Zaplanowane cesarskie cięcie może w najlepszym wypadku przebiec bezboleśnie.

- To nie jest prawdziwy poród - mówią niektóre z moich przyjaciółek.

Mało w tym współczucia, a jeszcze da się słyszeć pewną dozę wyrzutu. Jeśli nawet, cóż z tego? Skłaniam się raczej ku pewnemu pragmatyzmowi. Obojętne, jak dziecko wyjdzie z brzucha, byleby wyszło. Czy nie liczy się efekt końcowy? A właściwy poród mam już za sobą. Nie muszę nikogo wyciskać z siebie tam na dole, tylko dlatego że nie jest we właściwym położeniu. Kto źle się ułożył, temu przeznaczona jest inna droga wyjścia. Jak wszystko w życiu, również i to ma swoje konsekwencje. Tu, nawet w drodze wyjątku, nie mogę nic zrobić.

Naprawdę nie smuci mnie bardzo decyzja o cesarskim cięciu. Wprost przeciwnie. Naturalnie, kiedy usłyszałam słowa lekarza: „Pani Schmidt, myślę, że cesarskie cięcie jest pewniejsze, choć niewykluczone, że dziecko jeszcze się odwróci”, na krótko rozczarowanie odmalało się w moich oczach. Ale jeśli już wiem, czego mam oczekiwać, wtedy chętnie się temu poddam; w głębi duszy odczułam jednak wielkie zadowolenie i nakazałam małemu pozostać w takiej właśnie pozycji. Świetnie go rozumiem. Musi być o wiele przyjemniej nie stać tak cały czas na głowie. Zwłaszcza pod koniec ciąży. Ściśnięty w matczynym brzuchu jak w imadle, niesiony przez świat głową w dół - nie wydaje mi się to wygodne. Lekarz był zaskoczony, słysząc szybko moją zgodę.

- Jeśli miałyby pani z tym potem jakiś problem natury psychicznej, to jest tutaj grupa matek, które mają za sobą podobne traumatyczne doświadczenie. Spotykają się od lat.

Zawsze powtarzałam, że świat roi się od szaleńców. Czy istnieje też grupa mężczyzn, których traumatycznym przeżyciem był zastrzyk znieczulający przed plombowaniem zęba? Czy takie kobiety jak Claudia Schiffer i Julia Roberts również uczęszczają na spotkania podobnych grup, czy tylko ja jestem tak niewrażliwa i pragmatyczna? Cesarskie cięcie musi mieć jakieś dobre strony, inaczej nie upierałoby się przy nim aż tyle kobiet. Oczywiście tak zwany naturalny poród ma również swoje zalety, ale dlaczego samodzielne dokonanie wyboru w tej kwestii jest tak źle widziane? W czasach, kiedy kobiety robią sobie biusty do nowej sukienki i na nikim to nie wywiera większego wrażenia, decyzja o cesarskim cięciu jest jednak ciągle źle przyjmowana. Sama czuję się rozgrzeszona - w końcu mój lekarz zalecił mi cesarkę, a ja jestem skłonna iść posłusznie za radą fachowego personelu medycznego.

Christoph, który instynktownie czuje, że mógłby jeszcze być przy czymś pomocny, zajmuje się Claudią.

- Najpierw cię, kochanie, ubiorę, potem będzie śniadanie, a potem zawiozę cię do babci - przedstawia Claudii plan na następne godziny.

Właściwie bardziej sobie niż dziecku. Mężczyźni, którzy stoją przed takim natłokiem spraw, czują się mentalnie przeciążeni.

- Życzę wam przyjemnej zabawy - dopinguję lekko swojego małżonka i tym samym jednoznacznie daję do zrozumienia, że ja ze wspomnianymi punktami programu - do śniadania - nie mam nic wspólnego.

Zaznaczyć teren - to jedna z ważniejszych spraw w związku. Kto twierdzi, że wystarczy powiedzieć raz, jakie są zasady, że ty robisz to, a ja to, jest w wielkim błędzie. Należy pracować nad tym ciągle od nowa, bo pewnego pięknego dnia budzisz się, a tu niespodziewanie, tajemnymi siłami i niepostrzeżenie, granice znacznie się przesuwają w niekorzystnym dla ciebie kierunku. Mam przyjaciółki, które uważają, że to bardzo męczące, i nie mają ochoty na wieczne utarczki. Posłusznie poddając się losowi, zapewniają sobie może spokojniejsze życie. „W czasie, kiedy miałabym mu tłumaczyć, co trzeba zrobić, wolę zrobić to sama” - wzdychają te bezwarunkowo oddane swoim mężczyznom. Ja jeszcze do tego nie doszłam. Na tego rodzaju kapitulację trzeba by w moim przypadku długo czekać. Inaczej skończę jak żona pewnego znanego prezesa banku. Ten, bez względu na porę powrotu do domu, kazał sobie serwować ciepły posiłek - świeżo przygotowany i nigdy z mikrofalówki! - i po latach naigrawał się z tego,

twierdząc, że przykre były dla niego zarówno posiłki, jak i żona. Tęsknił za samodzielnością, a żonę nazwał kurą domową. To była najbardziej bezczelna niegodziwość, jaką słyszałam w ostatnich latach od faceta. Najpierw rozgrywa partię tak, aby dostać właśnie to, co sobie wymyślił, a potem nagle zaczyna mu to grać na nerwach. Czego można nauczyć się z tego rodzaju historii? Nie być zbyt układną i nie rwać się do odgrywania roli służącej. Tu nie ma zeszycików z miejscami do naklejania punktów bonusowych. Regularny, ciepły posiłek nie zabezpiecza żadnego związku.

Kiedy Claudia i Christoph już odjechali, rozkoszuję się ciszą i uświadamiam sobie, że to ostatnia taka chwila na długi, długi czas. Wkrótce znowu będzie w domu małe bobo. Zabawna jest świadomość, że jutro o tej porze zostanę po raz drugi mamą. Od miesięcy się cieszę, ale teraz odczuwam na tę myśl jakby lekki dyskomfort. Z dwojgiem dzieci moje życie będzie zupełnie inne. Nie będę mogła pójść już więcej do pracy. Przynajmniej na razie, ale kto to wie. Planować można wiele.

Czy drugie dziecko kocha się tak samo jak pierwsze? Czy można obydwójce kochać tak samo mocno? Co, jeśli będzie to trudne dziecko? Jeśli będzie krzyczeć dzień i noc? Jak w tych reportażach, w których zrezygnowane matki z tłustymi włosami i w przybrudzonych legginsach są o krok od popełnienia samobójstwa i co rusz podkreślają, że inaczej wyobrażały sobie macierzyństwo. Czy Claudia będzie bardzo zazdrosna? W głowie wirują mi myśli. Czy w takim stanie powinnam jeszcze kupić sobie torbę? Postanawiam zabrać tę pękniętą. I cóż z tego? I tak muszę ją otworzyć, więc pozostanie już otwarta. Nikt nie będzie kontrolował zamków przy schowanych w szafie torbach. Zamiast tego mam przyjemną chwilę dla siebie. Włączam telewizor i gawędzę sobie z synem. Tam, w brzuchu, jest chłopiec. Tak jak u mojej siostry - najpierw dziewczynka, potem chłopiec. Klasycznie. Brakuje jeszcze domku szeregowego i samochodu kombi; wtedy byłoby już wszystko, co powinna mieć rodzina klasy średniej. Chciałabym mieć jeszcze jedną dziewczynkę, chociaż to z mojej strony egoistyczne, bo na przykład Christoph wolałby syna. Najważniejsze, aby było zdrowe. Jestem szalenie ciekawa, co za chłopczek wyrósł tam we mnie. Jak będzie wyglądał? Tak jak jego siostra, tyle że z obowiązkowym dodatkiem na dole? Zostanie piłkarzem, pilotem, fryzjerem czy fizykiem jądrowym? Głaszczę się po brzuchu, łapię go za kolano, dotykam go tak delikatnie, jak tylko się da, i mam nadzieję, że będzie z niego dobry chłopiec. To byłoby już coś. Kochany Boże, spraw, żeby był mądry! Głupi mężczyźni są nie do wytrzymania.



W telewizji leci jakiś film. Powtórka z wczorajszego wieczoru. Sigourney Weaver, która w pozostałych swoich filmach nosiła w brzuchu ohydny aliena, ma tym razem bardziej apetyczną rolę i gra żonę farmera. Żyje z mężem i dziećmi na idyllicznej farmie w urokliwym zakątku nad wspaniałym jeziorem. Jej przyjaciółka, grana przez Julianne Moore - tę ładną, rudowłosą - ma również dwoje dzieci. Kobiety spędzają ze sobą dużo czasu. Są dla siebie najlepszymi przyjaciółkami. Na zmianę pilnują sobie dzieci, spędzają wesołe wieczory z małżonkami, i życie jest po prostu cudowne. Takiego sielskiego życia można trochę pozazdrościć. I wtedy dochodzi do tragedii. Weaver pilnuje dzieci rudowłosej i w czasie jej opieki topi się jedna z dziewczynek. Natychmiast zaczynam płakać. Nie mogę sobie nawet wyobrazić takiego koszmaru. Moment nieuwagi i życie nie jest już takie, jakie było. Nie chcę więcej oglądać, ale jakoś nie mogę się przełamać i wyłączyć telewizora. Życzyłabym sobie, żeby Julianne Moore wybaczyła swojej przyjaciółce, ale mogę zrozumieć, że początkowo wydaje się to niemożliwe. Nie tylko przyjaciele, ale niemalże każdy zaczyna unikać Weaver. Zarzuca się jej straszne rzeczy, kobieta idzie do więzienia, a ja płaczę i płaczę.

Co jest straszniejsze? Być winnym śmierci własnego dziecka czy córki najlepszej przyjaciółki? Pytanie chyba zostanie bez odpowiedzi. Biję się z myślami. Jeśli jest się czegoś winnym, należy ponieść konsekwencje swojego czynu. Z drugiej strony czy lepiej żyć z takim poczuciem winy, czy stracić własne dziecko?

Dzwonię do Sandry. Moja była koleżanka z pracy i ciągle jeszcze przyjaciółka. Sandra jest psychologiem i zna odpowiedzi na podobne pytania. Ponieważ nigdy nie przychodziła do pracy pierwsza, udaje mi się złapać ją jeszcze w domu.

- Andrea, cieszę się, że cię słyszę. Co nowego? - Śmieje się do słuchawki.

Odpowiadając, chlipię:

- Zaraz powiem, ale najpierw mam do ciebie pytanie. Sandra jest trochę poirytowana.

- Skąd ci przychodzą do głowy takie myśli? - pyta zatroskana i chce znać źródło moich rozterek.

- Telewizja, a właściwie film - brzmi moja zdawkowa odpowiedź.

Sandra myśli przez moment i decyduje się na śmierć dziecka przyjaciółki. Łatwiej żyć z poczuciem winy niż bez własnego dziecka. Jednocześnie zwraca uwagę na mój błąd myślowy.

- Zawsze masz poczucie winy. W obydwu przypadkach musisz z nim żyć, ale tu przynajmniej pozostaje ci własne dziecko.

Hmm. Nie jestem jeszcze do końca przekonana.

- Czy mam do ciebie wpaść? - pyta. - Zadzwoń do biura i powiem, że jestem chora. Dawno nie miałam zwolnienia lekarskiego i wkurza mnie to.

Zapewniam ją, że dobrze się trzymam, ale najwyraźniej podoba jej się bardzo własna propozycja.

- Przyjdę, przyjdę - mówi - zaraz u ciebie będę. Już się cieszę. Będziemy mogły sobie wreszcie pogadać bez wrzaskliwej muzyki w tle.

Poddaję się i dochodzę do wniosku, że wspaniale będzie się spotkać. Myślę, że człowiek zajmuje się na ogół ważnymi egzystencjalnymi pytaniami, kiedy sam znajduje się przed egzystencjalnym wydarzeniem, jak na przykład narodziny dziecka. Nie zaszkodzi, jeśli zwrócę uwagę na inne tory.

Dwadzieścia minut później już tu jest. I prawie dokładnie wtedy, kiedy do mnie wchodzi, Moore wybacza Weaver. A nawet pomaga jej w innej trudnej sytuacji. Już nigdy nie będą najlepszymi przyjaciółkami, ale ja jestem bardzo zadowolona z takiego obrotu sprawy. Jaki dobry człowiek z tej Moore. Czy ja bym tak potrafiła? Tu mam pewne wątpliwości.

Sandra przyniosła prezent. O la, la!

- Na jutro, kochanie. Możesz go rozpakować dopiero wtedy, kiedy mały już będzie na świecie. Obiecujesz? - pyta, kiedy wręcza mi paczuszkę.

Obiecuję. Opowiada mi cudowne plotki z biura i na całą godzinę zapominam, co jest wpisane w mój grafik na jutro rano. Bach, bach, rozcinanie brzucha, wyciąganie dzidziusia i zaszywanie. Sandra zostaje aż do przyjścia Christopha, który ma mnie odwiedzić do szpitala. Właściwie chciałam wziąć jeszcze porządną, długą kąpiel, ale w szpitalu są przecież prysznice. Sandra odprowadza nas do samochodu. Uważa, że moja pęknięta torba wcale źle nie wygląda - jest elegancka sama w sobie, niedbale elegancka. Macha nam zamaszycie ręką. Sandra to naprawdę dobry człowiek.

Christoph jest zdenerwowany. Słodki. W samochodzie gada coś, patrząc przed siebie. Wyjaśnia mi, jak bardzo cieszy się na narodziny dziecka. Mówi o swoich obawach, że zasłabnie na sali operacyjnej. Christoph ma pozwolenie na obecność przy cesarskim cięciu. Przy zaplanowanym zabiegu nie ma z tym żadnego problemu.

Punkt czternasta meldujemy przybycie na oddział 5b, na lewo. Nie na prywatny oddział, który jest po prawej stronie, lecz taki dla normalnie ubezpieczonych. Jak ja właśnie. Tutaj leżałam też z Claudią. Jeśli wyląduję w tej samej sali co z Claudią, będzie to dobry omen - myślę i dziesięć minut później znajduję się na drugim końcu korytarza. Dobrze, że tak naprawdę wcale

nie wierzę w podobne bzdury. No, może troszkę. Któż tego nie zna? Biegało się swego czasu po trotuarze i mamrotało pod nosem: „Jeśli dam radę dobiec do rogu i nie nadepnę na krawężnik, będę miała świetny dzień”. Albo: „Jeśli uśmiechnie się do mnie następny przechodzień...”, albo: „Jeśli do skrzyżowania zobaczę jeszcze trzy volkswageny...”. Kiedy pewnego dnia opowiedziałam o tym Christophowi, zdębiał i popatrzył na mnie jak na idiotkę.

- Robisz coś takiego? - zapytał tonem, jakbym się właśnie przyznała, że potajemnie chadzam nocami ubrana w lateksowe ciuszki do Swingerclubs. Potem stwierdził z powagą, że sam nigdy nie wpadłby na taki pomysł. Mężczyźni i kobiety są jednak zupełnie różni.

Niby to inna sala, ale wygląda tak samo jak pozostałe. Lata minęły, a tu można tego nie zauważyć. W sali stoją trzy łóżka. I tak jak poprzednim razem tylko środkowe jest wolne. Jak udaje się wszystkim innym kobietom lądować we właściwym łóżku na porodówce? Tak bym chciała raz jeden leżeć w łóżku przy oknie. Ale w łóżku przy oknie najwyraźniej ktoś już leży. I śpi. Masz pecha, Andrea.

- Tutaj pani Schnidt, proszę się rozgościć, potem zrobimy USG i porozmawia pani z lekarzem - informuje mnie siostra, której nie znam z poprzedniego pobytu tutaj.

Na jej identyfikatorze jest napisane „siostra Lisa”, ale wygląda jak siostra Stefania z tego głupkowatego serialu na SAT 1. Dokładnie ten sam dobrotliwy typ.

- Pani wygląda trochę jak siostra Stefania z telewizji - mówię i mam nadzieję, że nie obrazę jej od razu.

Wprost przeciwnie. Promienieje.

- Dziękuję, to wspaniały komplement - odpowiada i znika.

Właściwie chciałam jej zadać parę pytań na temat dalszej procedury, no, ale cóż. Przyjdzie znowu. Pierwsza czynność to załadowanie torby do szafy.

- I jak? - Christoph ma wyśmienity humor. - Wskakuj do łóżka, odpocznij sobie, moja mała. Przyjdę jeszcze dziś wieczorem i przyniosę ci smakołyki przed jutrem. Wszystko, czego twoja dusza i żołądek zapragną.

Czasami jest naprawdę słodki. Jak na mężczyznę, to z niego wyjątkowo przyjemny model. W każdym razie najczęściej właśnie taki jest. Więcej po męskim gatunku nie można się chyba spodziewać.

- Super - mówię - już się cieszę. Przynieś mi, proszę, frytki, jednego hamburgera i trochę sałatki. - Sałatka jest zawsze dobra. Wyrzuty sumienia są mniejsze przy sałatce w zestawie. -

Do tego lody na deser. Cytrynowy, malinowy, jagodowy i śmietankowy - kończę swoje zamówienie.

- Już się robi, madame. Zostawię ci jeszcze telefon i już mnie nie ma - żegna się mężczyzna mojego serca.

Przyciągam go jeszcze do siebie na tyle, na ile jest możliwe przy tak zaokrąglonym froncie, i całuję go. Ależ on potrafi całować! Naprawdę, nieźrównanie! Od samego początku. Cudownie. Rzadko zdarza się mężczyzna, który umie tak całować. Mogę to łatwo stwierdzić, bo mam porównanie. Jak pomyślę sobie o niektórych, z którymi się całowałam, to wizyta u dentystry wydaje się atrakcyjna.

Christoph już sobie idzie. Będzie mi go bardzo brakowało. Leżąc pod oknem kobieta porusza się. Co ja tu dzisiaj mam właściwie do zrobienia? Mam się myślowo przygotować? Grzać łóżko? Nawiązywać kontakty? Nudzić się jak mops? Czy nie wystarczyłoby przyjść krótko przed cesarskim cięciem? Tak jak do fryzjera. Ostatni wieczór w domu też mógłby być piękny. Łapię jakąś książkę, ściągam buty i kładę się na łóżku. Z czytania nic nie wyjdzie. Ledwo otworzyłam książkę, a tu łóżko przy oknie wyraźnie się ożywia.

- Cześć - słyszę głęboki głos i coś ciemnowłosego siada.

- Nowa? - pyta.

Mam ochotę powiedzieć: „Nie, do tej pory byłam przezroczysta”, ale grzecznie odpowiadam:

- Tak, nazywam się Andrea Schnidt. Cesarskie cięcie jutro rano.

- Sigrid Klotz, naturalny poród przedwczoraj, miło mi.

Łóżka stoją tak blisko siebie, że żadna z nas nie musi się podnosić do podania sobie ręki. Wygląda sympatycznie. Bujne, ciemne włosy z gigantycznymi lokami, jak w korkociągu. Takimi jak u tej kobiety ze złamanymi nożyczkami w ręku z reklamy L'Oreala. Właściwie nienawidzę tego typu kobiet. Ludzie obdarzeni cienkimi nitczkami na głowie, jak ja, ciężko znoszą takie zjawiskowo zabójcze fryzury. Oczywiście, wiem, że moje nastawienie jest co najmniej dziecinne, ale tę genetyczną niesprawiedliwość trudno znieść. Sigrid jest nauczycielką w gimnazjum. Wychowawczynią ósmej klasy. Uczy niemieckiego i wychowania fizycznego. Mówi mi na ty. Opowiada historię swojego porodu. To już jej trzecie dziecko.

- O mało nie urodziłam jej w samochodzie - śmieje się. - Poszło tak szybko, że ledwo trafiłam na porodówkę, a już musiałam przeć. Ale mała Betty śpieszyła się na ten świat! Moi chłopcy byli innego kalibru. Ci dopiero mi dali w kość.

Jej chłopcy mają trzynaście i piętnaście lat. Betty jest późnym dzieckiem.

- Chłopcy wstydzą się trochę - śmieje się. - To, że w tym wieku zdecydowałam się jeszcze na dziecko, uważają za obciach. Przede wszystkim dlatego, że to oznacza, iż ich matka uprawia seks. - Śmieje się głośno. Ciepłym, głębokim śmiechem. - Chcesz zobaczyć moją córkę? - pyta.

Jasne, że chcę. Jej Betty leży w pokoju pomiędzy salami. Dwie sale oddziału położniczego, na których mieszczą się po trzy łóżka, dzielą ze sobą pokój dla noworodków. Stoi tam pięć małych łóżeczek. Mojego jeszcze nie ma. Sigrid wyslizguje się z łóżka i dopiero teraz widzę ją w całej okazałości. Ta kobieta składa się rzeczywiście głównie z włosów. Jest niska. Dużo niższa ode mnie, czego nie można by sądzić po jej włosach i śmiechu. Niska i drobnej budowy. Delikatna sarenka z potężną, lwią grzywą. Najwyżej metr sześćdziesiąt wzrostu. Jej Betty to nieodrodna córka mamy. Zarośnięta jak mała małpka. Ciemne, gęste włosy i rzęsy jak z reklamy mascary. Wyjątkowo piękny dzidzius.

- Piękna jest twoja Betty - mówię urzeczona małą, a Sigrid się cieszy.

- Tak, mnie też się bardzo podoba - odpowiada z powagą i obie patrzymy zachwycone na mały, pokryty wspaniałymi włosami cud. Sigrid jest przyjemną osobą. No, gdyby miała trochę mniej włosów, byłaby jeszcze przyjemniejsza.

- Kto właściwie leży tam przy zlewie? - przerywam nasze Bettyshow.

- Niespodzianka - mówi tylko i pokazuje zęby w uśmiechu.

Co to ma znaczyć?

- Powiem tylko tyle - kontynuuje - bardzo się cieszę, że teraz i ty jesteś tu w sali.

Porządnie rozbudziła moją ciekawość.

Ale zanim mogę ją zaspokoić, otwierają się drzwi i wchodzi siostra Huberta. Tę kobietę rozpoznałabym nawet po trzydziestu latach. Moja siostra Huberta. Huberta z nieodłącznym wąsikiem nad górną wargą. Kiedy rodziłam Claudię, pracowała tu już. Bardzo mi się spodobało jej kanciaste poczucie humoru. Nic się nie zmieniła.

- Siostró Huberto, jaka cudowna niespodzianka - witam ją.

- No tak, pani Schnidt, druga runda. Myślałam, że nie będzie pani chciała już nigdy więcej - przekomarza się ze mną.

Ta ma naprawdę niewiarygodną pamięć. Choć może wcale nie potrzebuje aż tak perfekcyjnej pamięci, żeby wygłaszać tego typu uwagi, bo pewnie każda kobieta po rozwiązaniu mó-

wi: „Nigdy więcej”. Ja też po urodzeniu Claudii byłam pewna, że to mój pierwszy i ostatni poród, i że takiego przeżycia nigdy nie zapomnę.

- Wspomnienia zacierają się, siostró Huberto - tłumaczę swoją niekonsekwencję. - Poza tym znalazłam teraz inną drogę wyjścia. Tam na dole wszystko jest zablokowane - próbuję żartować.

- Porozmawiamy sobie po cesarskim cięciu - mówi ze znaczącym spojrzeniem. Spojrzeniem, które mogłoby wywołać strach.

- Teraz zabieram panią ze sobą. Ordynator Wiedmann chce z panią rozmawiać.

Doktor Wiedmann. Ratunku, to ten doktor śmierdziuszek! Patrzcie go, teraz jest ordynatorem. Ale zrobił karierę! Mam nadzieję, że będzie lepiej pachniał niż wtedy. Mój Boże, ale on mnie denerwował przy poprzednim porodzie. Taki typ wszystkowiedzącego belfra. Nigdy nie zapomnę, jak surowo mnie upomniął: Nie przec na głowę. Tak jakby to była naprawdę rewelacyjna wiadomość, że dzieci nie wychodzą z głowy. Ale dobrze, każdy zasługuje na swoją drugą szansę. Podążam więc posłusznie za siostrą Hubertą. W pokoju lekarskim czeka już doktor Wiedmann.

- Dzień dobry, doktorze Wiedmann. Miło pana znowu zobaczyć - wypróbuję przyjazny wariant.

- Znowu? - pyta trochę skonsternowany i zagląda szybko w leżącą przed nim kartę pacjenta.

On naprawdę mnie sobie nie przypomina. A widzimy się przecież ponownie. Chociaż pokazuje się temu mężczyźnie najbardziej intymne części ciała, on nie ma bladego pojęcia, kogo ma przed sobą. Andrea, nie bądź drobiazgowa - duszę w sobie wzrastającą urazę. Przecież on ogląda tyle „kwiatuśków”, że trzeba by było sprawić sobie tam na dole naprawdę wystrzałową fryzurę, żeby panu ordynatorowi pozostało choćby mgliste wspomnienie.

- Pierwszy poród naturalny, bez komplikacji, a teraz cesarskie cięcie. Dlaczego, pani Schnidt? - pyta.

- Trochę odmiany w życiu nie zaszkodzi - testuję jego poczucie humoru.

Wynik testu - definitywnie negatywny. Coś takiego jak poczucie humoru nie jest mu, niestety, dane.

- Cesarskie cięcie to operacja - mówi poważnie i patrzy na mnie trochę srogo.

Sama bym na to nie wpadła - operacja, też mi nowina.

- Owszem, wiem o tym, ale przy położeniu pośladowym cesarskie cięcie jest chyba wskazane - próbuję zademonstrować fachową wiedzę na ten temat.

- Zgadza się, ale są kobiety, które także przy położeniu pośladowym rodzą naturalnie - mówi doktor.

- Są także ludzie, którzy zdobywają ośmiotysięczniki bez tlenu i codziennie oglądają *Dobre i złe czasy* - odpowiadam trochę zadziornie, ale zaraz mówię, że cesarskie cięcie zalecił mój ginekolog.

Taktyka powodująca spadek napięcia. W końcu nie mam ochoty kłócić się z Wiedmannem.

- Dobrze, pani Schmidt - poddaje się wreszcie - omówmy więc przebieg jutrzejszego ranka.

- Świetnie - mówię i porozumienie zdaje się wchodzić w życie.

Tak w ogóle, to doktor Wiedmann pachnie jakby lepiej niż przed trzema laty. Już nie w tak uderzający sposób. Zrobił postępy.

- Zaczniemy wcześniej. Około siódmej rano zabierzemy panią na salę, a koło dziewiątej można oczekiwać już potomstwa. Dzisiaj zrobimy jeszcze USG, pójdzie pani na zapis skurczów, a potem ma pani jeszcze rozmowę z naszą panią anestezjolog. Na koniec przyjdzie siostra ogolić panią i zrobić lewatywę. Czy są jakieś pytania?

Jestem zadowolona, że siostra przejmie zadanie golenia i zrobienia lewatywy.

- Czy pan jutro sam będzie operował? - dopytuję się.

- Zwykle operuję tylko pacjentki z prywatnym ubezpieczeniem, ale ma pani szczęście, jutro też mam dyżur i zajmuję się pacjentkami z kasy chorych.

Też ma dyżur. Jakie to łaskawe z jego strony! Co za szczęście i błogosławieństwo! Pierwszym mężczyzną, jakiego zobaczy mój syn, będzie doktor Wiedmann. Może mały będzie miał szczęście i zamknie oczy. Nie chciałabym, żeby ze strachu schował się z powrotem do środka.

Wiedmann też obsługuje kasę chorych. Co za dwuznaczność. Teraz dopiero załapałam. To robienie kasy w moim przypadku będzie trzymało się, mam nadzieję, pewnych granic. Nie wyobraża sobie chyba, że na sali operacyjnej wręczę mu kopertę. Czy to był podtekst? Obojętne - zignoruję to. Audiencja zakończona.

- Może pani wrócić do sali, pani Schmidt - żegna mnie.

- Dziękuję - odpowiadam, choć właściwie nie wiem za co.

Na wszelki wypadek powinnam być miła dla tego faceta, no przynajmniej do jutrzejszego południa. W końcu to on otworzy mi brzuch i życzyłabym sobie, żeby był przynajmniej w dobrym nastroju i postarał się dobrze wykonać swoją robotę.

- Przychodzisz akurat na kawę - wita mnie Sigrid, moja nowa koleżanka z sali.

Na łóżku przy zlewie też już ktoś jest. Siedzi tam jak na tronie nie kto inny tylko Inge Müller-Wurz. Inge Müller-Wurz, pamiętna wielbicielka musli. Moja znajoma, która leżała ze mną przy pierwszym porodzie. Nie do pomyślenia jaki to przypadek. Widziałam Inge na kursie pływania Claudii, a potem byłyśmy parę razy na kawie. Z czasem jednak straciłyśmy się z oczu i teraz nasze drogi znów się krzyżują. Czy Inge i ja mamy taki sam rytm biologiczny, czy można inaczej wytłumaczyć ten przypadek? Może mamy taką samą gospodarkę hormonalną? Czy gdzieś tutaj jest ukryta kamera? Czy może to mały figiel ze strony moich przyjaciół? Rzucam się na nią. Obejmuję, ściskam mocno i pewnie wyglądamy jak dwie takie, którym udało się przeżyć jakąś straszną katastrofę, a teraz po wielkiej burzy śnieżnej ponownie się odnaleźć.

- Co się dzieje? - pyta nas kompletnie zbaraniała Sigrid. - To wy się znacie?

- Nie, my tylko spontanicznie zakochałyśmy się w sobie - odpowiadam, śmiejąc się, a potem wspólnie z Inge zaczynamy opowiadać Sigrid, jak się poznałyśmy.

Nasza mała historia. Wtedy, na tym oddziale, tylko parę sal dalej.

- Jak twój synek? - dopytuję się.

- Zaraz sama możesz go zobaczyć - Inge promienieje - będzie tutaj za pół godziny z Sebastianem.

Sebastian to facet Inge. Towarzysz jej życia i współlokator z wynajmowanego mieszkania. Inge mieszka bowiem we wspólnej kwaterze. W każdym razie wtedy mieszkała.

- Jesteś jeszcze z Sebastianem? - pytam.

- No jasne - śmieje się - drugiego takiego na wolnym rynku już nie dostaniesz.

Na jej twarzy maluje się duma zdobywcy trofeum. Nie taka nieuzasadniona. Sebastian był, o ile dobrze pamiętam, niezwykle atrakcyjnym egzemplarzem męskiego gatunku. W ciągu trzech lat wiele może się jednak zmienić. Mężczyźni, tak czy owak, mają często dłuższy okres przydatności do spożycia. To niesprawiedliwe, ale, niestety, prawdziwe.

Gdy opowiadam Inge o moim jutrzejszym cesarskim cięciu, jest trochę oburzona.

- Och, Andrea, jesteś doprawdy niepoprawna! Wiesz przecież, jak to niedobrze dla dzieci. Później wlecze się to za nimi całe życie. One potrzebują tego przeżycia w drogach rodnych.



Jeśli na samym początku zabraknie im doświadczenia walki o życie, może się to dla nich bardzo źle skończyć.

Z całym szacunkiem dla naszej starej przyjaźni, ale takie misjonarskie nastawienie do życia może denerwować dokładnie tak jak kiedyś. Także i Sigrid wywraca oczami. Inge nabiera rozpędu i rozpoczyna wykład na temat cesarskiego cięcia. Co najmniej pięć minut. Dobry Boże, ale ona ma zapał.

- Inge, zrobiło się późno, jutro o ósmej zaczyna się akcja. Już ostrzą noże. Oszczędź sobie tego wykładu dla innej, bo ja się na pewno nie rozmyślę - stopuję Inge.

Ta marszczy czoło.

- Zobaczysz, co z tego będzie. Najpierw nie podstawiasz dziecka do piersi, żeby je uspokoić po porodzie, a teraz jeszcze cesarskie cięcie. Naprawdę biedne dzieci! - nie może przeżyć Inge.

Teraz dokładnie sobie przypominam, dlaczego wtedy nie pielęgnowałam znajomości z Inge. Ludzie, jak ona potrafi się uprzykrzyć! Kobiety, które dokładnie wiedzą, na czym polega życie, i nie potrafią tych mądrości zachować dla siebie, są po prostu koszmarnie. Przede wszystkim wtedy, kiedy one same, czego przykładem jest Inge, są wolne od jakichkolwiek błędów. Święta pomiędzy grzesznikami.

- A co u ciebie, urodziłaś już? - zmieniam sprytnie temat, bo nie mam ochoty na podobne niekończące się debaty na krótko przed rozcinaniem mi brzucha.

- Naturalnie - odpowiada - od wczoraj Sara Dana Lisette jest na świecie. Teraz leży jeszcze pod lampami z powodu żółtaczki. No wiesz, takiej u noworodków. Ale zaraz ją przyniosę, kiedy przyjdzie Sebastian z Konstantinem. Sara bez „h”.

Przytakuje. Jak się nazywa ta biedulka? Sara bez „h” Dana Lisette. Czy Lisette nie jest nazwą marki bielizny pościelowej albo ręczników? A żona Tila Schweigera nie ma na imię Dana? Myślę, że takie imię dla dziecka jest gorsze od cesarskiego cięcia, ale na wszelki wypadek zachowam tę opinię dla siebie. Sara Dana Lisette. SDL. W innej kolejności mogłoby być DSL. Tak jak skrót szybkiego łącza internetowego. Właściwie, nie zaskoczył mnie ich wybór imienia. W końcu syn Inge nazywa się Konstantin Samuel David. W najlepszym razie dzieci czują się skołowane z powodu różnorodności imion, a w najgorszym nienawidzą swoich rodziców i muszą przez długie lata poddawać się terapii.

Przy wyborze imienia trzeba mieć wyobraźnię. W końcu jakaś istota z krwi i kości będzie żyć z nim na co dzień. My też mieliśmy twarde orzech do zgryzienia w związku z wy-

borem imienia dla dziecka, które jutro wyciągną mi z brzucha. Christoph chciał zupełnie inne imię niż ja, co zresztą miało miejsce już przy Claudii. Jego faworytem był Paul.

Imię Paul wydało mi się zbyt zwyczajne. Nie że brzydkie, ale tak nazywa się co trzeci nowo narodzony chłopiec. Muszą być przecież jakieś imiona pomiędzy Paul i Max a Brooklyn, Dana Lisette albo Apple. Chciałam, ażeby nasz syn nazywał się Mark. Brzmi bardzo męsko. Krótko i zwięźle. Kojarzy się z facetem o szerokich barach. Mark jest typem silnego mężczyzny. To słyhać. Christoph nie był zbyt zachwycony. Jego pierwszy komentarz to:

- A na drugie będzie miał na imię Pfennig, czy jak?

Bardzo zabawne! Które z dzieci będzie pamiętało niemieckie marki? To są już dzieci euro. Poza tym marka nie była wcale złą walutą, a drugiego imienia nasz syn wcale nie otrzyma. W końcu nasza córka ma tylko jedno imię i jeśli jej wystarczy, to wystarczy też Markowi. Oszczędzimy w ten sposób późniejszych dyskusji, dlaczego jedno z dzieci, i do tego chłopak, ma o jedno imię więcej. Naturalnie, że to dziecinne, ale rodzeństwo zwykle specjalizuje się w tego typu dyskusjach. Tak czy siak, uważam, że ostateczny głos powinny mieć kobiety. Kto mianowicie doświadcza najmniej przyjemnych stron ciąży? Kto ma opuchnięte nogi, nie dosypia w nocy, kto przechodzi przez ćwiczenia w szkole rodzenia i kto w końcu rodzi? Zawsze chętnie można wysłuchać propozycji, ale na pewno kobieta musi mieć ostatnie słowo. Przy najmniej w wyborze imienia.

Pojawia się siostra Huberta.

- Tak, pani Schnidt. Idziemy za ciosem. Anestezjolog czeka. Życzy sobie pani przecież znieczulenie, nieprawdaż?

Ale żartownisia z tej siostry Huberty.

- Do zobaczenia - wołają za mną koleżanki z sali, chcąc dodać mi otuchy.

Posłusznie podążam za siostrą Hubertą. Pani doktor Zefler, anestezjolog, już na mnie czeka. Jest wysoka, ma jakieś czterdzieści lat i wygląda jak kobieta, która dokładnie wie, czego chce. Ma ciemnobrązowe włosy związane w kok, twarz bez makijażu, a jej nos wygląda tak, jakby był bezpośrednio importowany z Grecji. Klasyczny, wąski nochal. Uwielbiam takie nosy, już choćby dlatego, że mój przypomina kontakt. Duży, wąski nos wygląda bardzo arystokratycznie i robi wrażenie. Doktor Zefler, kobieta w typie podstarzałej primabaleriny, przechodzi od razu do rzeczy. Najpiękniejsze jest to, że nie muszę się najpierw tłumaczyć, dlaczego zdecydowałam się na cesarskie cięcie.

Hurra! U niej mam nawet prawo wyboru. Przedstawia mi dwie możliwości narkozy. Pełna narkoza lub PDA\*. Przy pełnej narkozie odpływa się w nieświadomość i budzi się kiedyś tam, jako mama, kiedy już jest dawno po wszystkim. Lubię być dobrze zorientowana w sytuacji i od razu rezygnuję z tej możliwości, bez względu na jej kuszące zalety.

\* Znieczulenie zewnątrzoponowe stosowane podczas porodu.

- Chciałabym PDA, bo od razu chcę zobaczyć moje dziecko - mówię.

Obawiam się trochę, że przy pełnej narkozie podsuną mi obcego noworodka. Poza tym jestem cholernie ciekawa, jak wygląda mój syn. Panią doktor cieszy moja decyzja, wyjaśnia wszystko i zapewnia, że nie będę odczuwała bólu - jakie to cudowne! Wypełniam jeszcze kartę pacjenta, odejmuję sobie trochę kilogramów - jedynie mizerne cztery kilo - i mogę już iść.

Chociaż pani Zefler wygląda na osobę bardzo kompetentną, staję się coraz bardziej nerwowa. Leżeć na łóżku operacyjnym i doświadczać na żywo, jak doktor Wiedmann rozcina mi brzuch. Jakie to będzie uczucie? Prawdopodobnie takie, jak w filmie *Obcy*, tyle że lokator w moim brzuchu jest, miejmy nadzieję, bardziej atrakcyjny. Oddycham głęboko, wychodzę i próbuję się odprężyć. Dla nich to przecież chleb powszedni. Wiedzą, jak to zrobić i nie widzą w tym nic szczególnego. Jakoś będzie - próbuję się uspokoić. Myślałam, że jestem *cool*. Do tej pory nie przejmowałam się niczym, co dotyczy cesarki. Teraz powstają w mojej głowie pierwsze scenariusze horrorów. Co będzie, jeśli nie zadziała znieczulenie, a nikt mi nie uwierzy i będą rozcinać mi brzuch przy pełnej świadomości? Czyta się czasem o takich historiach. Czy było roztropnie odejmować sobie kilogramy przy wypełnianiu formularza? Co się stanie, jeśli znieczulenie będzie zbyt słabe, a ja z powodu głupiej próżności będę musiała przeżywać piekielne katusze? Wracam do doktor Zefler. Między nami kobietami, cztery kilo nie powinny odgrywać żadnej roli. Pukam, otwieram drzwi i szybko mówię:

- Przyszło mi do głowy, że podałam błędną informację. Ważę mianowicie trochę więcej. Nie osiemdziesiąt osiem kilo, ale raczej dziewięćdziesiąt trzy.

Doktor Zefler podnosi głowę i szczyrzy zęby do doktora Wiedmanna, który, niestety, siedzi koło niej. Potem odpowiada całkiem niewzruszenie:

- Prawie wszystkie panie kłamią przy podawaniu wagi. W znieczulenie mam zawsze wkalkulowane parę kilo więcej.

Doktor Wiedmann wtrąca się:

- Damy sobie z panią radę, pani Schmidt. Mieliśmy tu jeszcze grubsze.

Ale mnie pocieszył! Co ma niby znaczyć sformułowanie „jeszcze grubsze”?! Że jestem obrzydliwie tłusta? Bardzo szarmancki. W ciągu ostatnich paru lat nic się jednak nie nauczył. Już wtedy go nie znosiłam i zanoszę się na to, że i teraz nie zostaniemy wielkimi przyjaciółmi. A nawet gdyby - nie jestem tutaj, by poszerzać krąg znajomych, ale rodziców. Powinien być fachowcem. Bez dwóch zdań. Przy takiej elegancji w obyciu, gdyby jeszcze był marnym lekarzem, można by mu tylko życzyć szczęścia.

Muszę się chwilę uspokoić. Byle z powrotem do sali. W porównaniu z doktorem Wiedmannem, Inge Müller-Wurz jest lekkostrawna.

Przyszedł Sebastian, najukochańszy Inge. Z Konstantinem. W życiu bym go nie poznała. Konstantin był chudziutkim dzieckiem - z akcentem na „był”. Teraz zrobił się z niego prawdziwy mały pulpet. Odważny pulpet, który leży kompletnie ubrany na moim łóżku.

- Hej, Konstantin - witam go - leżysz na moim łóżku.

Patrzy na mnie i mówi triumfująco:

- Ale mama mi pozwoliła.

Takie dzieci lubię najbardziej. A do tego jeszcze podobne mu mamusie. Myślę, że coś z nią nie tak. Przede wszystkim dlatego, że Konstantin wygląda, jakby nurzał się godzinami w błocie przed wizytą w szpitalu. Nawet nie ściągnęła mu butów.

- Powiedz, Inge, nie zabrałabyś swojego synka do swojego łóżka? - proponuję jak najgrzeczniej.

Inge pozostaje niewzruszona. To jest właśnie coś, co u niej podziwiam. Obojętne, co i jak się do niej mówi, wszystko jej zwisa.

- Ale Konstantin wolał do twojego - odpowiada mi obojętnym tonem.

- Tak, ale ja się chcę położyć - próbuję jeszcze przyjaźnie załatwić sprawę ubłoconego intruza.

Sebastian jest wyraźnie zmieszany.

- Konsi, chodź do taty - nakazuje synowi.

„Konsi” - co za durne zdrobnienie - patrzy na mnie zły i uparcie dalej przebiera obutymi nogami w moim łóżku. Nakaz ojca nic tu nie pomógł, przede wszystkim dlatego, że Inge strofuje Sebastiana zamiast Konstantina.

- Sebastian, daj spokój. Przecież Konstantin chce leżeć w łóżku Andrei.

Ona ma coś z głową.

Zanim jestem zmuszona sama ściągnąć małego buntownika z mojego łóżka, wchodzi siostra Huberta i szybko ogarnia wzrokiem całą sytuację. Myślę, że takie wejście znamionuje wrodzony autorytet.

- Uciekaj stamtąd, młody człowieku - mówi tylko i po sposobie, w jaki patrzy, Konstantin pojmuję od razu, że ma do czynienia z innym kalibrem niż jego mama. - Później zmienię pani pościel, pani Schmidt - mówi siostra Huberta, a potem zwraca się do Inge: - Nie potrzebujemy tutaj dodatkowego zajęcia, mamy i tak dość roboty, pani Müller-Wurz. Jeśli pani syn chce wejść do łóżka, proszę bardzo, ale do pani. I bez butów. To się nazywa higiena.

Wow, ta to potrafi! Inge patrzy trochę zmieszana. Dobrze jej tak. Przytakuje łaskawie na znak, że zrozumiała przesłanie, i Konstantin prawie dobrowolnie ściąga buty. Gdyby superniania z RTL potrzebowała zastępstwa, siostra Huberta dobrze by się nadawała.

Uspokajam się trochę i gawędzę z Sebastianem. Wyjaśnia mi dokładnie, dlaczego i tym razem nie mogli zorganizować porodu w domu. Dodaje, że oboje chcą jak najszybciej stąd wyjść. Bo jest stanowczo zbyt sterylnie. Kiwam ze zrozumieniem głową. Poród w domu byłby ostatnią rzeczą, jaka przyszłaby mi do głowy. Na coś takiego jestem definitywnie zbyt wielkim tchórzem. I nienawidzę sprzątać, a jak przez mgłę pamiętam, że po porodzie byłoby sporo roboty.

Inge przynosi swoją małą. Jestem naprawdę ciekawa, czy jej Sara Dana Bielizna Pościelowa jest ładniejsza, niż był jej brat po narodzeniu. Jest ładniejsza. Można powiedzieć, że jest nawet śliczniutka. Czuję się trochę zbita z tropu, bo bardzo spodziewałam się mizernego, szczerze powiedziawszy, mikrego dzieciaczka, takiego, jakim był Konstantin David. Sara jest silna, ma duże, nawet otwarte oczy, jasny puszek na główce i, w przeciwieństwie do brata zaraz po urodzeniu, nic z zamrożonego kurczaka. Jeszcze z powodu żółtaczki ma taki ładniutki kolor skóry. Lekko śniady. „Wygląda kropka w kropkę jak Sebastian; bardzo ładna” - mówię, a Inge przytakuje zachwycona. Komplementy mają to do siebie, że działają w cudownie pojednawczy sposób. Jednocześnie pochwaliłam i tatę, i dziecko. Bardzo sprytnie. Ale komplement był prawdziwy. Inge zapomniała już, jak biedniutki był Konstantin, i patrzy urzeczona na swoją Sarę. Małej nawet nie przeszkadza, kiedy jej starszy brat niedelikatnie dotyka jej twarzy. Naturalnie, powiedziałabym, że jest słodka, nawet gdyby Dana była bardzo brzydkim dzieckiem. No bo co można powiedzieć? Mówienie prawdy prosto w oczy świeżo upieczonej mamie graniczy przecież z okrucieństwem. Są w życiu pytania, na które nie chce się znać odpowiedzi. Mam na myśli pytania typu: „Jestem za gruba?”, „Jak ci się podoba moja fryzura?” albo „Gdzie na-

prawdę byłeś do wpół do czwartej nad ranem?". W dzisiejszych czasach szczerść jest jedną z pierwszych cnót. Uważam, że niesłusznie. Kłamstwo jest rodzajem społecznego środka tonizującego, powiedziała kiedyś jedna z moich mądrych koleżanek. Mężczyźni kłamią, aby się lepiej zaprezentować, a kobiety, aby nikogo nie skrzywdzić.

Szybko nastąpiło popołudnie i czuję się tak, jakbym tu była od tygodni. Jak się chce, można się szybko zaaklimatyzować. Prawdopodobnie i w więzieniu szybko bym się odnalazła - tak łatwo się do wszystkiego dostosowuję. Coś, czego matka musi się szybko nauczyć. Właściwie takie miejsca jak szpital czy więzienie mają w sobie coś przyjemnego. Może nie na pierwszy rzut oka, ale kiedy się o tym pomyśli... W takich miejscach nie ma się żadnych obowiązków. Plan dnia jest stały, decyzje podejmują za ciebie inni i ma się bardzo dużo czasu, przede wszystkim dla siebie. To niezwykle kuszący aspekt zarówno dla matek, jak i menedżerów. Raz coś innego - wszyscy chodzą koło ciebie. Zupełnie jak u mamy. Jediną wadą jest to, że w szpitalu przebywają zazwyczaj chorzy, a w więzieniu przestępcy. No i mama z reguły gotuje lepiej niż szpitalni czy więzienni kucharze. Ale oprócz tego? Każdy czasem marzy, żeby się gdzieś zaszyć i być dla innych nieosiągalnym.

Przyszedł Christoph. Jest zdumiony Müller-Wurzami. Festiwal spotkań. Każdy wita każdego i wszyscy nie mogą się nadziwić, jaki to niesamowity przypadek. Niestety, nie mogę zjeść nic z przysmaków, które przyniósł mi Christoph. „Bądź trzeźwa” - brzmi dewiza siostry Huberty. Ciągłe podkreśla, że pełny brzuch źle się rozcina. „Doktor nie będzie chciał przedierać się przez warstwy resztek hamburgera”. Ponieważ Inge, przerażona, odrzuca moją szczodłą propozycję poczęstowania się hamburgerem, tak jakbym częstowała ją kangurzymi jądrami, siostra Huberta melduje się jako chętna. Należy jej się. Małe przekupstwo na pewno nie zaszkodzi mojej dalszej egzystencji na oddziale położniczym.

Christoph i ja idziemy na mały spacer i obydwójce sprawiamy wrażenie bardzo *cool*.

- Jakoś to będzie - mówi mi.

A ja odpowiadam:

- Jasne, wiem.

Potem obejmujemy się, a ten uścisk wyzwala wszystkie nasze ukrywane dotąd obawy, choć przecież mamy zaufanie do współczesnej medycyny.

- Wiesz, że cię kocham - mówi głosem pełnym patosu, a ja jestem troszkę zaskoczona. Christoph nie ma skłonności do spontanicznych miłosnych wyznań. Tym bardziej sprawia mi

rozkosz. Człowiek jest jednak trochę głupi. Jeśli rzadko coś dostajesz, odczuwasz większą wdzięczność.

- Ja ciebie też - zapewniam go i żegnamy się w drzwiach kliniki.

- Do jutra - mówi na odchodnym i macha ręką.

Oto moment, w którym jestem w pełni przekonana, że dobrze wybrałam. Kocham tego mężczyznę. Cudowne uczucie, krótko przed rozwiązaniem. Co może się nie udać, jeśli on jest przy mnie?

To chyba burza hormonów. W takim stanie uczuć wystąpiłabym nawet w programie Kaia Pflaumeego *Liczy się tylko miłość* i prawdopodobnie płakałabym z zachwytu, kiedy wręczałby mi prezent przeznaczony dla gościa programu, czyli tę okropnie kiczowatą pluszową maskotkę. Hormony ciążowe to doprawdy delikatna sprawa. Natura zorganizowała to bardzo chytrze. Mój syn kopnął mnie właśnie i wracam do realnego świata. Jutro koniec, mój przyjacielu - myślę i przez tę jedną chwilę nie czuję ani trochę strachu. Czuję się zupełnie spokojna i w dobrym humorze.

Wszystko dookoła jest cudowne.

W nocy dopada mnie jednak niepokój spowodowany krzykami Betty i Sary Dany Lisette. Kiedy już udaje mi się smacznie przysnąć, jedna z nich domaga się jedzenia. Około trzeciej nad ranem dyżurująca siostra daje mi małą, magiczną tabletkę, i już mnie nie ma.

O szóstej rano zaczyna się akcja. Siostra Huberta ma dyżur i od wczesnych godzin rannych poświęca się moim włosom łonowym. Proponuję jej, że sama załatwię sprawę golenia, ale ona stanowczo odmawia.

- Tak jakbym ja wyglądała inaczej - śmieje się i głaszcze demonstracyjnie po wąsikach nad górną wargą. - Jestem mistrzynią w goleniu. Mój slogan to „gładko i dokładnie”.

Postanawiam poddać się losowi. Za parę minut będę wyglądała jak dziecko. Gładko. Bez najmniejszego włoska. Ależ to zabawne - z pewnością znalazłoby się mnóstwo facetów, których zachwyciłby taki widok. Według mnie, tacy mężczyźni są jednak podejrzani. Toż to wygląd Lolity! Co to za mężczyźni, którym podobają się kobiety wyglądające tam na dole jak małe dziewczynki? Ja osobiście skłaniam się bardziej ku zadbanemu zarostowi. Naturalnie nie pozwalam mu rosnąć gdzie bądź - w każdym razie nie w lecie - ale wariant „ani ani” jest absolutnie nie w moim guście. Christoph nigdy nie narzekał ani nie wyrażał specjalnych życzeń. O, ledwie o nim pomyślałam, a on już jest w mojej sali.

- Dzień dobry, skarbie - uśmiecha się do mnie promiennie. - Witam panie - pozdrawia Sigrid, Inge i siostrę Hubertę.

- Przyszedł pan punktualnie na lewatywę. Miałby pan też ochotę? - Siostra Huberta jest bezpośrednia.

Christoph chichocze i grzecznie odrzuca propozycję.

- Procesy trawienne u mnie jeszcze w normie - żartuje i obydwójce się śmieją.

Uważam, że lewatywy nie są właściwie takie złe. Przez krótką chwilę odnosi się wrażenie, że albo zaraz człowiek narobi w majtki, albo zaraz pójda mu w szwach jelita, ale jaki jest efekt końcowy! Lekkość w pełnym tego słowa znaczeniu. Waga spada o dwa kilo, a wspomniane uczucie lekkości jest wspaniałe, co w moim stanie graniczy niemal z cudem.

Punktualnie 6.45 rozpoczyna się podróż na salę operacyjną. Macham Sigrid i Inge ręką na tyle radośnie i spokojnie, na ile potrafię się zdobyć, i opuszczam naszą salkę.

Na początek KTG\*. Zapis skurczów. Zobaczymy, co porabia nasz malutki. Och, wiedzie mu się całkiem dobrze. Świetnie, czuję się uspokojona. Teraz wkracza doktor Zefler.

\* Kardiokografia - monitorowanie akcji serca płodu wraz z jednoczesnym zapisem czynności skurczowej mięśnia macicy, co pozwala na wczesne wykrycie zagrożenia płodu.

Robię koci grzbiet i doktor Zefler wbija mi zastrzyk ze znieczuleniem zewnątrzoponowym PDA.

- Proszę się nie ruszać, tylko spokojnie - instruuje.

Christoph trzyma mnie za rękę i czuję, że jest trochę spocona. Jaki on słodki. Tacy są właśnie mężczyźni. Rozcinają mi brzuch, a on ma spocone ręce.

Kiedy narkoza zaczyna działać, zakładają mi śliczny cewnik, dostają do ręki cieniutki wężyk do założenia kroplówki, a potem wszyscy szczypią mnie raz w nogi, raz w brzuch. Dziwne uczucie - być bez czucia. Czuje się tylko czyjś dotyk na skórze, ale wszystko odbywa się bezboleśnie. Można powiedzieć, że połowa ciała jest sparaliżowana.

- Jak długo działa znieczulenie? - pytam doktor Zefler.

- Wystarczająco długo - odpowiada - i w każdej chwili mogę wstrzyknąć dodatkową dawkę.

No, mam nadzieję!

Ładuję na czymś w rodzaju wielkiego blaszanego stołu. Jestem już spięta, kiedy mnie tam kładą. Moje ramiona zostają przymocowane pasami do stołu.



- A to po co? - pytam, pozbawiona nagle animuszu.

- Nie chcemy zajmować się pilnowaniem pani rąk - mówi jedna z sióstr. - Zdarza się, że niektóre panie mają niekontrolowane ruchy podczas operacji, biją, mają drgawki i byłoby nie-dobrze, gdyby panu doktorowi wyslizgnął się wtedy skalpel.

Rzeczywiście, niezbyt piękna perspektywa. Żebyśmy się zrozumieli - chętnie przyłożyłabym panu doktorowi, bo z pewnością znalazłabym wystarczająco dużo powodów, ale chciałabym jednak, by kroił mnie tam, gdzie to przewidziane, i dlatego jestem gotowa dać się związać. Myśl, że mogłabym opuścić salę operacyjną z cięciem na twarzy, niczym u jakiegoś potwora, i to tylko z powodu własnych nieokiełznanych nerwów, jest okropna. Pojawia się Christoph w zielonym kitlu.

- Proszę stanąć u wezłowania małżonki, za zielonymi zasłonami - objaśnia surowo siostra.

- Żeby pan nam tu nie padł i żeby nie trzeba było jeszcze koło pana chodzić. Jasne?

- Nie zamierzałem brać czynnego udziału w operacji i wiem, gdzie jest moje miejsce - odpowiada grzecznie mój mąż i głaszcze mnie po głowie.

Dotyk, który mógłby z powodzeniem zastąpić maseczkę nawilżającą, bo tak wilgotne są jego ręce. O Boże, ci nawet jeszcze nie zaczęli, a on już jest wykończony!

Obszar mojego brzucha jest kompletnie zakryty zasłonami. Nie mogę nic dojrzeć. Zupełnie jak w teatrze lalek. Nikt by się nie zdziwił, gdyby spomiędzy nich wyjrzała głowa doktora wołającego: „A kuku!”. Ale nic takiego się nie dzieje. Tylko lekarz pyta:

- Czy wszyscy państwo są gotowi?

Zebrany zespół kiwa głowami, a doktor Zefler jeszcze raz sprawdza wykres na monitorze i również melduje swoje: okay.

- Czy dobrze się pani czuje, pani Schmidt? - teraz pan ordynator zwraca się do mnie.

- Na tyle dobrze, na ile może się czuć ktoś, kto leży na niewygodnym metalowym stole i któremu zaraz będzie się rozcinać brzuch - pozwalam sobie na odrobinę ironii.

Doktor się uśmiecha. To zawsze coś. Wywołałam u wielkiego pana ordynatora jakąś ludzką reakcję. A to mi się udało!

Później wszystko idzie bardzo, bardzo szybko. Do momentu, aż pani Zefler i siostra znikają za zielonymi zasłonami, czuję, że rośnie we mnie napięcie. Pani Zefler również to widzi. Puls i ciśnienie to zdradliwi kompani.

- Proszę się uspokoić - sepleni, a Christoph znów głaszcze mnie po twarzy.

- Zostaw - mówię, ale widzę, że patrzy na mnie jakby obrażony.

Czy on nie widzi, że zaraz będę wyglądać jak po prysznicu? Czy mam to powiedzieć przy wszystkich tych ludziach? Chcę oszczędzić mojemu najukochańszemu przykrości, a tu masz. Teraz czuję zabiegi doktora Wiedmanna. Bardziej niż wyraźnie. Czuję mianowicie coś w moim brzuchu. Rewolucja. Jakby ktoś szukał czegoś pod skórą. To musi być Wiedmann.

- Czy pani coś czuje, pani Schmidt? - pyta mnie.

- Robi pan wycieczkę przez mój brzuch - odpowiadam i czuję się dziwnie.

- Tak jest, dobrze pani zauważyła - mówi Wiedmann - ale proszę się nie obawiać, zaraz będziemy mieć małego.

Widzę, że krew bryzga ponad zielonymi zasłonami. Musi być moja. Puls drastycznie rośnie. Jedna z sióstr lekko dotyka mojego czoła.

- Dam pani małą porcję tlenu - mówi doktor Zefler.

- Chętnie - odpowiadam i mam wrażenie, że sztywnieję od pasa w górę.

Uczucie napięcia jest przy tym niczym. Boli mnie ramiona, kark jest twardy jak deska i myślę, że powoli mam już dosyć.

- Boli mnie wszystko tu na górze - skarżę się, patrząc na panią Zefler i Christophą.

- To już długo nie potrwa - próbuje mnie pocieszyć pani doktor.

I ma rację.

- Mam go! - cieszy się Wiedmann i trzyma coś śliskiego i wydającego dźwięki ponad zielonymi zasłonami.

Nasz syn krzyczy.

- Chłopiec - mówi Wiedmann i odwraca w moją stronę to małe coś, całe pokryte śluzem.

- Wiem - odpowiadam.

- Ale teraz nie ma już żadnych wątpliwości - żartuje Wiedmann, a Christoph płacze.

Po cichu, ale ja od razu to widzę. Teraz mój mąż może przejść za zasłonę i przeciąć pępowinę, a potem mały zostaje przeniesiony do pomieszczenia obok. Christoph biegnie za nim. Czuję się paskudnie. Już po porodzie, a ja porządnie nie widziałam mojego syna. Dobrze, że jest tu Christoph, bo mogliby pokazać mi inne dziecko i wmówić, że to moje.

- Chcę mojego syna - chlipię - chociaż krótko zobaczyć, proszę!

O Boże, ale jestem pokorniotka!

- Zaraz, pani Schmidt, wytrą go tylko ze śluzu, a potem, jak wszystko będzie w porządku, przyniosą go do pani - objaśnia mi procedurę jedna z sióstr.

- Dobrze - mówię i pochlipuję sobie dalej.

Przychodzi Christoph. W ramionach trzyma dziecko zawinięte w ręcznik.

- Jest przepiękny i dostał najlepsze noty. Apgar\* na maksa. Ma pięćdziesiąt pięć centymetrów i standardową wagę czterech tysięcy stu dwudziestu gramów - to jego pierwszy komentarz o naszym synu.

\* Skala mierząca podstawowe czynności życiowe dziecka zaraz po urodzeniu.

Brzmi tak, jakby mówił o jakimś samochodzie. Nieprawdopodobna ilość koni mechanicznych i tak dalej. Duma wychodzi z niego wszystkimi porami, a ja mogę się tylko z nim zgodzić. Jakie cudowne dziecko! Przytula jego twarzyczkę do mojej twarzy i daję mojemu synowi pierwszego maminego całuska. I płaczę. Najchętniej wyciąłabym wszędzie mojego malutkiego chłopca. Albo wylizala jak kotka swoje małe. Poród wyzwala jednak zwierzęce instynkty. Niesamowite. Niestety, z wielkim trudem mogę odwrócić głowę, a leżenie policzek przy policzku z moim synkiem kosztuje mnie dużo wysiłku. Jak bardzo chciałabym wziąć go w ramiona! Ale logistycznie nie mogę tego teraz rozpracować.

- Gratuluję, pani Schnidt - mruczy doktor Wiedmann.

W sali również rozlegają się gratulacje. Wszyscy mi winszują.

- Jak ma na imię chłopiec? - pyta doktor Zefler.

- Mark - odpowiadam i uważam, że to imię bardzo ładnie brzmi.

- Świetnie, pani Schnidt; wystarczy już tych pogawędek, teraz musimy dokończyć zabieg. Posprzątać i zaszyć.

To było delikatne napomnienie skierowane do doktor Zefler. W sali operacyjnej doktor Wiedmann zdaje się decydować, kiedy kto zabiera głos. Mimo to znajduję w sobie trochę odwagi i mówię:

- Jeśli pan już się za mnie zabiera, to nie zasmuciłby mnie pan, gdyby usunął przy okazji warstwę tłuszczu na brzuchu.

To ma być mała prowokacja z mojej strony.

- Nie mam aż tyle czasu, pani Schnidt, mam jeszcze innych pacjentów - odpowiada sucho.

To ma być jakiś żart, czy może myślał, że ja tak na poważnie? Wiedząc, jakiego pokroju to typ, wziął pewnie moje słowa na serio.

Muszę przyznać, że cesarskie cięcie nie jest wcale tak komfortowe, jak sobie wyobrażałam. Och, jakbym chciała leżeć teraz w łóżku z Christophem i maleństwem i przytulać ich do

siebie! Zamiast tego doktor Wiedmann zszywa mi brzuch, a mój syn i mąż są gdzieś obok. Ale zawsze to bez bólu. Nawet najmniejszego. Każdy medal ma dwie strony. Zszywanie trwa znacznie dłużej niż przy zwykłym porodzie - dobre pół godziny.

- Będzie pani miała naprawdę niewielką bliznę - uśmiecha się do mnie promiennie doktor Zefler - doktor Wiedmann jest w tym arcymistrzem.

I to może nie jest lizusostwo pierwszej wody? Dobry Boże! Ale jeśli to ma jej pomóc, to proszę bardzo. Hierarchiczne struktury wymagają widać wyrazów uwielbienia; także od takich kobiet jak doktor Zefler. A ładna blizna też coś znaczy.

Wreszcie koniec. Pół godziny może się naprawdę ciągnąć w nieskończoność. Dziękuję grzecznie i zaraz się zastanawiam, czy coś takiego jest w zwyczaju - czy to coś podobnego do klaskania w samolocie. Ale małe „dziękuję” nie może przecież zaszkodzić.

- Nie ma za co - odpowiada łaskawie Wiedmann i myślę sobie, że nie było to wcale takie złe.

Jakież różne głupoty przychodzą do głowy po porodzie! Istne wariactwo! Ale nic mnie nie boli i to jest piękne. A doktor Zefler mówi jeszcze, że później też nie będzie bolało.

- Teraz pojedziemy do męża i dziecka - cieszy się wraz ze mną jedna z siostr zespołu operacyjnego i wypycha mój wózek z sali.

Chociaż usunięto już zielone zasłony, i tak nie mogę dojrzeć, jak wygląda moje podbrzusze. Może i dobrze. Brzuch jest przecież zszyty, po bokach zwisają małe buteleczki na krew i mocz. Wreszcie mogę opuścić owo niewygodne metalowe łóżko. Boli mnie trochę głowa. Albo od tej blachy, albo to skutek uboczny znieczulenia czy tego całego napięcia. A może wszystko naraz, kto wie. W tym momencie jest mi to w sumie zupełnie obojętne. Dwie siostry podnoszą mnie i przeciągają na zwykłe szpitalne łóżko.

Christoph natychmiast kładzie Marka obok mnie. Zachwycamy się naszym synem, jakby był ósmym cudem świata. Nie jestem skłonna do rozczulania się, ale muszę powiedzieć, że to wyjątkowo wzruszający moment. Nic dziwnego, że miałam wątpliwości, czy przy drugim dziecku jest to tak samo piękna chwila. Mark otworzył nawet na moment oczka. Ma włosy, może nie tyle, co córeczka Sigrid, ale na pewno zupełnie wyraźny puszek, i jest nadzwyczaj śliczny. Nawet jeśli patrzy się na niego nie rozmydlonymi ze szczęścia i zachwyty oczami. Na pierwszy rzut oka nie jest podobny do swojej siostry. Po Christophie ma węższy nos. Nie taki, jak po mojej mamie - model „kontakt”. Poza tym nie mogę jeszcze stwierdzić większego rodzinnego podobieństwa. Zresztą obojętne, do kogo jest podobny, bo i tak to mój mały ideał.

Czuję się po prostu szczęśliwa. Szalenie szczęśliwa, lżejsza i pełna zachwytu. Mama Andrea w ekstazie.

Dzieci drepczą do mnie, do pokoju, i przerywają moją małą myślową podróż w czasie, krzyząc: „Mama, jeść!”. Jak elegancko sformułowane zdanie! Ale za to jasne i wyraźne w swej treści. Robię kanapki, które jemy - przyrzekam sobie, że wyjątkowo - przed telewizorem. Potem szybkie mycie i pakuję dzieci do łóżek. Siebie też. Myślę, że w świecie zwierząt nazywa się to instynktowną ucieczką. W zasadzie nie znoszę, kiedy Christoph przychodzi późno z kancelarii, ale dzisiaj jest mi to bardzo na rękę. Wystarczy, że zobaczę go jutro. Może do tej pory zapomni o całej żenującej historii albo będziemy się z niej śmiać przy śniadaniu do rozpuku. Razem. Dzwoni telefon. Na displayu wyświetla mi się numer Christopha i postanawiam nie odbierać. Jeśli dzwoni z komórki, to znaczy, że jest już w drodze do domu. Nie ma wyjścia, jak tylko zakopać się w łóżku pod kołdrą i jeszcze naciągnąć ją na głowę. Zachowanie dziecinne, nie ulega wątpliwości, ale jest mi to teraz zupełnie obojętne. Po dzisiejszym dniu nie mam już ochoty słuchać kazań. Na wiele tygodni czuję przesyt pouczeń. Kiedy słyszę zgrzyt klucza w zamku, automatycznie zamykam oczy. Ale Christoph nie jest głuptasem. Wie dobrze, że niezwykle rzadko kładę się dobrowolnie do łóżka przed północą, i jakby szóstym zmysłem wyczuwa, że coś jest nie w porządku. Tak długo mną potrząsa, że nie mam wyjścia i się poddaję. Udaję zdumioną:

- Ojej! Położyłam się chwilę wcześniej i chyba zaraz zamknęły mi się oczy.

- Tak? - mówi. - Naprawdę? - I nic więcej.

- Jestem potwornie zmęczona, skarbie. - Próbuję uciec przed wiszącą nade mną niczym topór rozmową i na potwierdzenie moich słów demonstracyjnie przecieram sobie oczy.

- Zaraz pozwolę ci spać, ale powiedz mi jedno, czy rzeczywiście dałaś się złapać na jeździe na gapę?

Ma mnie. Temat, który chciałam bezwzględnie ominąć. I co teraz? Teraz mogę tylko przytaknąć. Siadam na łóżku, naciągam kołdrę aż pod brodę, otwieram oczy - jakie to dziecinne! - patrzę tak żałośnie, jak tylko w moim wydaniu możliwe, i przyznaję:

- Hm! Szczerze mówiąc, tak. Miałam pecha. Głupio wyszło. Już więcej nie będę.

Patrzy na mnie, robi wielkie oczy, a potem zaczyna się śmiać. Śmieje się i śmieje. Czy on bierze narkotyki, a może jest jakaś inna przyczyna takiego zachowania? Zanim otwieram usta, żeby go zapytać, oplata mnie ramionami i mówi:

- Chodź tutaj, mała grzesznico, i pocałuj mnie. Za karę.

Teraz zbaraniałam. To jest właśnie ten Christoph, w którym się wtedy zakochałam! Mężczyzna z poczuciem humoru.

Ten cudowny mężczyzna, notabene mój własny mąż, i ja kochaliśmy się i było nam niebotycznie dobrze. Wszystko, czego mogłam tylko zapragnąć. Zupełnie tak, jak w fazie początkowej naszego związku. Oswald Kolie byłby z nas bardzo zadowolony. I to jeszcze po długotrwałym okresie kompletnej posuchy, kiedy myślałam, że nasze pożycie seksualne całkowicie zamarło. Im czegoś mniej, tym bardziej to doceniasz. A tu „niespodziewanka!”. Jeszcze wczoraj rano chciałam napastować faceta z elektrowni, a teraz masz! Takich uniesień pan Barts z pewnością nie mógłby mi zaoferować. Co za rozkosz! Zamiast oglądać telewizję i przeglądać akta, mieliśmy naprawdę fantastyczny seks.

Ale co to oznacza? Czy za każdym razem, kiedy mam ochotę na porządny seks, muszę jechać na gapę? Bo jak mam niby rozumieć szaloną ochotę na seks u Christopha, który jest bez kolacji? Mężczyźni są dziwacznymi istotami.

Czy może to jeden z aspektów kary? W końcu Christoph jest prawnikiem. W każdym dowcipie drzemie, jak wiadomo, iskierka prawdy. I czy nie powiedział przed chwilą: „Chodź tutaj, mała grzesznico, i pocałuj mnie. Za karę”. Czyżby mój mąż miał skłonności, o których nic wcześniej nie wiedziałam? Jak to wpłynie na moje życie seksualne? Jutro będę kraść, pojutrze bez zastanowienia rozpruję opony, a w następnym tygodniu zacznę mazać na ścianach graffiti. I każdego wieczoru pójdę do spowiedzi z pełnym żalu spojrzeniem, zaraz potem zaś będziemy lądować w łóżku i oddawać się dzikim żądom. Zupełnie prawdopodobne, że będę zmuszona zwiększyć stopień przestępczości, aby utrzymać poziom napiętności. A potem? Uprowadzić dzieci sąsiadów, napaść na listonosza albo podpalić szkołę? Czy nerwowo wytrzymam i czy będzie to w zgodzie z moim osobistym kodeksem moralnym? Mam wątpliwości. Zobaczymy.

W fazie *cool down*, czyli, można powiedzieć, fazie końcowej aktu, leżymy odprężeni obok siebie. Teraz on chce usłyszeć w detalach całą historię jazdy tramwajem bez biletu. O rany, wcale a wcale nie mam ochoty na opowiadanie.

- Skarbie, chce mi się pić - zaczynam od małego, wymijającego manewru.

Grzecznie przynosi nam jednego pilznera, którego popijamy z butelki, i kiedy sobie myślę: „Hurra, zapomniał!”, znów zaczyna mi wiercić dziurę w brzuchu.

- Andrea, opowiedz, proszę, wreszcie, no proszę.

Kiedy mężczyzna mówi „proszę”, znaczy, że naprawdę czegoś chce. Chyba się z tego nie wywinę, o ile nie zapadnę w głęboką śpiączkę. Szybko rozważam w głowie, czy powinnam rzucić hasło RTL, czy może przemilczeć ten element. Nie trzeba być zanadto skrupulatnym. Przemilczeć nie znaczy kłamać. Poza tym szkoda byłoby zepsuć taki miły nastrój. Bardzo szkoda. Jednakże, jeśli nie wspomnę o RTL-u - przychodzi mi do głowy - a ktoś mu doniesie, że miałam taki powalający występ w telewizji, to będzie jeszcze gorzej, niż gdyby nic o tym nie wiedział.

- No dalej, Andrea - jęczy - kawa na ławę.

Opowiadam wszystko. W detalach. W końcu to mój mąż, ten, którego kocham, a nie jakiś tam sędzia od młodocianych przestępców. Jeśli zacznę się bać własnego męża, to koniec jest bliższy niż dalszy. Mój mąż jest, jak to się mówi w Anglii, *not very amused*.

- Jazda na gapę jeszcze ujdzie, ale czyś ty zwariowała, żeby dać się przy tym filmować? - pyta mnie poniekąd wytrącony z równowagi.

Zanim zdążyłam wystartować z gęstym usprawiedliwianiem się, mój małżonek rzuca z grubej rury:

- Jeżeli ktoś z kancelarii to widział, to naprawdę żenujące, i co gorsza cała moja praca może pójść na marne.

Tak czułam. Małostkowy facet. Zaraz potem dorzuca:

- Co sobie ludzie pomyślą?

Oczywista sprawa, że wtedy zwariowałam, ale jest to dla mnie jasne i bez jego wyrzutów. Że też Christoph nie potrafi myśleć o niczym innym jak tylko o tej głupiej kancelarii!

- Jestem dorosła! - mówię, już trochę rozzłoszczona. - Nie musisz brać za mnie odpowiedzialności. - Jako adwokat powinienes być tego świadom.

Patrzy na mnie trochę rozeźlony.

- Tak, dorosła - odpowiada - to dlaczego tego nie widać?

Potem, zanim wybucham, naturalnie tylko werbalnie, mąż wyskakuje z łóżka i mówi:

- Muszę iść coś zjeść. Może lepiej to strawię. Ale cieszę się na jutrzejszą kancelarię. To będzie istny spacer po rozgrzanych węglach.

Ledwo udaje mi się przypomnieć mu, że to ja jechałam na gapę, nie on, już go nie ma. Wołam za nim:

- Mam ci przygotować małe co nieco?

Pytanie, które wobec jego zachowania uważam za miłe.

- Nie - krzyczy - dziś już zrobiłaś wystarczająco dużo.

Teraz on się obraził. Moja oferta była przy tym jasnym gestem pojednania. Proszę bardzo - nie, to nie. Nie będę za nim biegła. Wtulam się w poduszkę i ignoruję jego głośnie tłuczenie się po kuchni.

Śnię o RTL-u i tramwajach. Widać mnie na olbrzymich plakatach. Na każdym przystanku i w całym mieście. W kolorowym płaszczu, z zasłoną na oczach, a pod spodem duży napis: „Tak dzisiaj wyglądają gapowicze”.

## Dzień trzeci

Dzień dobry, Andrea - budzi mnie czyjś głos.

Christoph. Już wstał i patrzy na mnie srogo - o ile dobrze widzę bez okularów.

- Dzień dobry, coś nie tak? - staram się odkryć powód jego złego humoru.

- Odsłuchałem wczoraj wieczorem moją pocztę głosową - mówi tylko.

- I? - pytam. - Coś szczególnego? Wziąłeś do domu za mało akt, czy może twoja mama będzie u nas w weekend?

- Zabawne, bardzo zabawne - odpowiada. - Ani jedno, ani drugie. Miałem na pocztę pięć nieodsluchanych wiadomości od ludzi, którzy widzieli twój telewizyjny występ. Jedna z nich to moja mama, kompletnie wytrącona z równowagi. Dzwoniła też moja sekretarka - tak na marginesie uważa, że mamy bardzo ładny salon, i pyta, gdzie kupiliśmy tapczan. Andrea, jak ja mam pójść dzisiaj do kancelarii?! I co ja mam im powiedzieć!?

- Że nasz tapczan jest z Ikei i nazywa się Ektorp - odpowiadam tak poważnie, jak tylko się da.

- Ha, ha - wykrzywia się i przypomina mi, że dwa piętra niżej dzieci czekają na śniadanie. - Twoje dzieci są głodne - mówi tylko.

Moje dzieci. Moje dzieci są umorusane, głodne albo narobiły w majtki, kaszlą całą noc i krzyczą. Jego dzieci są świeżo wykapanne, mają świetny humor i są łagodne jak baranki. Daruję sobie standardową, przykrą odpowiedź typu:

„To są nasze dzieci i zapewne jesteś w stanie przygotować im mleko z płatkami” - i wlokę się do kuchni. Coś wisi w powietrzu i oby nie było więcej powodów do kłótni. Dzieci wyczuwają podły nastrój i są zadziwiająco grzeczne.



Christoph zawozi Claudię do przedszkola i dzięki temu unikam publicznych konfrontacji - przynajmniej do dzisiejszego popołudnia. Sprzątaczką na pewno już poinformowała cały przedszkolny światek. Zastanawiam się, czy nie powinnam wszystkiemu najzwyczajniej zaprzeczyć. Zgodnie z zasadą: „Byłam zupełnie gdzie indziej, nigdy nie jeżdżę tramwajami! To musiał być ktoś inny, tyle że w takim samym płaszczu”. Och, gdyby tak naprawdę było! Realia są jednak inne. Jeśli sekretarce Christopha udaje się mnie rozpoznać, to tego typu wymówki nie przekonają ludzi, którzy znają mnie znacznie lepiej, a przy tym dokładnie wiedzą, jak wygląda mój salon. Szlag by trafił! Może powinnam przez najbliższych parę dni nie ruszać się z domu? Och, roboty miałabym wystarczająco dużo. Rozmrozić zamrażarkę, zrobić porządek w szafie i posprzątać w piwnicy. Pracy na całe tygodnie. Wolę jednak zmierzyć się z powszechną gadaniną na mój temat.

Mark bawi się w ogrodzie. Ogród o powierzchni aż 320 metrów kwadratowych był głównym powodem naszej przeprowadzki. Możliwość powiedzenia dzieciom: „Idźcie pobawić się do ogrodu”, jest bardzo nęcąca. Większość par z dwojgiem dzieci osiąga z czasem etap, gdy zaczyna zastanawiać się nad przeprowadzką na wieś. Przy dwojce dzieci jest się niemalże zobowiązanym do rozejrzenia się za domkiem szeregowym - po prostu jedno wiąże się z drugim. I muszę przyznać, że cudownie jest mieszkać we własnym domku. Dokładniej mówiąc - w domku, który należy do Volksbanku. Kredyt spłacimy krótko przed emeryturą. Ale co z tego?! Przy dzisiejszych cenach wynajmu mieszkań miła jest świadomość, że kiedyś, jeśli oczywiście dożyję, stanę się właścicielką domu, a tym samym będę mogła sama go wynająć.

Całe przedpołudnie przemarużyłam w domu. Ale dzisiaj muszę wreszcie postarać się o prezent dla Christopha. Chociaż po porannym wystąpieniu na żaden nie zasłużył. Katastrofa! Z drugiej strony jednak jakąś część wieczoru spędziliśmy, uprawiając naprawdę fenomenalny seks. Poza tym, kto wie, co zdarzy się do piątku? Trzy dni to dużo czasu i wychodzę z założenia, że do piątku już się pogodzimy. No, zawsze trzeba mieć nadzieję. Znam się aż za dobrze - nie zniosę długotrwałych cichych dni. Mam silną potrzebę życia w harmonii.

Sprzątam w kuchni i rzucam szybkie spojrzenie na moją małą listę.

Chcę:

- więcej napięcia
- więcej seksu
- więcej uznania
- mieć szczuplejsze uda

- mieć fantastyczny nastrój

I to wszystko szybko, proszę. Bardzo szybko.

Punkt pierwszy i drugi miałam wczoraj. Bezsprzecznie! Może nie całkiem tak, jak sobie wyobrażałam, ale to fakt. W każdym razie seks był naprawdę upojny. I dużo napięcia też miałam. Głupio tylko, że nie było to napięcie w pozytywnym tego słowa znaczeniu - do przyjemnych na pewno nie należało.

Dzisiaj zajmiemy się punktem „uznanie”. Rozglądałam się po kuchni i myślę, że zasłużyłam na natychmiastową pochwałę. Wszystko perfekcyjnie uporządkowałam.

Zmywarka do naczyń opróżniona i umyta. Nawet podłogi zrobiłam, a jeszcze chcę odkurzyć sypialnię. A przecież tak bardzo nienawidzę pracy w domu. Właśnie tak! Naprawdę nienawidzę! Moja mama nie może tego zrozumieć. Ona kocha mieć wszystko na glans. „Aż serce rośnie” - mówi wtedy. Też uważam, że jest wtedy dużo przyjemniej, ale mogę delektować się porządkiem również wówczas, kiedy ktoś zrobi go dla mnie. Wymarzony model - domowy skrzat. Albo nocne duszki, które bez hałasu posprzątają każdy kąt. Najbardziej frustrującą sprawą w tych wszystkich okropnych pracach domowych nie jest ani wycieranie kurzu, ani sprzątanie samo w sobie, ale świadomość, że rezultat nie jest długotrwały, a następnego dnia można zaczynać od nowa. Wykrzesalabym z siebie więcej zapału, gdybym wiedziała, że miałabym potem spokój na parę tygodni. Ale ciągle powtarzanie tych samych czynności - rutyna pucowania i monotonia szorowania - grają mi strasznie na nerwach. Christoph pęka z dumy, kiedy jakiś jego projekt zostaje uwieczony sukcesem. Rzuca jak z rękawa sądowymi anegdotami. Zawsze ma coś do opowiedzenia. Historie o świeżo umytych oknach nie są, niestety, w stanie wypełnić wieczoru. Czegoś takiego nikt nie chce słuchać. Oprócz tego każdy umie to robić i potrafi uporać się nawet ze sprzątnięciem bałaganu typu *hardcore* - i to właśnie umniejsza wysiłek. Ażeby zdystansować się od tego dylematu, wiele pań domu uprawia coś w rodzaju cichej rywalizacji między sobą. Pucowanie, mycie, robienie zakupów należą do standardu. Uznanie zdobywa się poprzez inne specjalne zasługi, jak ekscesy wypieków, własnoręcznie uszyte zasłony albo w pocie czoła wykafelkowane łazienki czy też własne krzyżówki róż.

Potrafię upiec tylko ciasto marmurkowe albo byle jakie muffinki, a już drożdżówka doprowadza mnie do szału, bo ciasto nigdy nie rośnie tak, jak powinno. Do tego po ekscesach kulinarnych zawsze przychodzi czas na ekscesy sprzątania, więc zupełnie mnie to nie pociąga. Szycie, niestety, również nie należy do moich wielkich pasji. Cieszę się, że potrafię przyszyć guziki. W szkole miałam problemy już z haftem krzyżykowym, a hodowanie róż nie ma dla

mnie większego sensu. Sklepy ogrodnicze oferują przecież całą masę przeróżnych odmian. Głupia sprawa, ale pod względem manualnym też ze mnie kompletne zero. Wielkim wyzwaniem jest dla mnie złożenie mebla z Ikei. Jestem o tym święcie przekonana, że wiele par po jednym dniu składania mebli z Ikei stoi w obliczu poważnego kryzysu. Kiedy Christoph męczy się nad jakimś ikeowskim regałem, zawsze brakuje śrubek, instrukcja traktowana jest jak ostatni śmieć, a on sam po tym jednym regale robi się agresywny jak pies bojowy, któremu od czternastu dni nie dawano jedzenia.

Ale, ale... Ikea... Mam pomysł! To jest to. Mogłabym kupić Christophowi skórzany fotel, który tak mu się podoba. Na wieczorne studiowanie akt. Jestem taką altruistką! Finansuję wygodę, służącemu zajęciu, którego nie znoszę. Ale fotel będzie trafionym prezentem dla Christopha. Pojadę do Ikei i go kupię. Cudownie, mam prezent! Jaki wspaniały pomysł! Nigdy na to nie wpadnie. Kupowanie prezentów mężczyznom to niezwykle trudne zadanie; z upominkami dla moich koleżanek nigdy nie mam najmniejszego problemu. Poszukiwanie prezentu dla Christopha stanowi nadzwyczaj niewdzięczne zajęcie. Nie jest fanem miniatury kolejki żelaznej, ma wystarczającą ilość koszul i nic nie zbiera. Eleganckie segregatory może nie byłyby takie złe, ale poza tym? Nowe buty trzeba przymierzyć, ubrać ma pod dostatkiem aż do emerytury i nie leci na spoilery ani lisie szale. Prawdziwą radochę sprawiają facetom techniczne bajery - laptopy albo komórki. Ale Christoph ma już laptopa w biurze, a jego komórkę finansuje kancelaria. Bardzo to wyrefinowane, bo oznacza, że młody pan adwokat jest dostępny dla swojego wielkiego szefa przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Kiedy dzwonię do niego, szybko się denerwuje. „Andrea, kończ szybko, wiesz, że to służbowy telefon” - napomina mnie. Zupełnie tak, jakbym dzwoniła na gorącą linię centrali do spraw transplantacji narządów, a z powodu mojego telefonu miałyby przepaść jakaś świeżutka nerka. Poświęcenie zawodowe jest chyba objawem współczesnego niewolnictwa. Odbyć wieloletnie studia, ażeby potem stać się kimś w rodzaju osobistego lokaja do usług starszego pana - nie wiem, czy bym to zniosła. „Inaczej się nie da. Hierarchia w tej branży jest ściśle określona”. - Christoph widzi tę sprawę bardziej pragmatycznie.

Punktualnie o piętnastej odbieram Claudię.

- No, dziś tramwajem? - wita mnie jej wychowawczyni.

Dowcip nie zna granic, dowcip nie zna pardonu - śpiewał w jakimś kinowym filmie Hape Kerkeling. Świetnie to ujął. A może to był Heinz Schenk? W każdym razie jeden z nich.

- Nie, dziś samochodem - odpowiadam i zdobywam się na coś w rodzaju śmiechu.

- Ależ pani narozrabiała! - wita mnie inna matka.

- Chodziło o zakład - twierdzą śmiało i mrugam do niej porozumiewawczo.

Przybiega Claudia.

- Mama, wszyscy widzieli cię w telewizji, całe przedszkole! - śmieje się do mnie.

- Świetnie - mruczę. Biorę dziecko za rękę, łapię torebkę, płaszczyk, nakładam małej buki i mówię na odchodnym:

- Dziś, niestety, bardzo się śpieszymy. Do jutra.

Byle jak najdalej stąd, zanim spotkam się z moją ulubioną sprzątaczką we własnej osobie.

- Jedziemy do Ikei - przedstawiam Claudii plan na popołudnie.

Propozycja nie przypada jej do gustu. Krzywi się.

- Chciałam pobawić się z Kiki - oświadcza.

- Ja też bardzo, bardzo chętnie pobawiłabym się ze swoją przyjaciółką, ale dziś jedziemy do Ikei - odpowiadam i kończę dyskusję.

- Kupisz mi coś w Ikei? - błyskawicznie przystosowuje się do nowych warunków.

Dzieci od razu rozpoznają, kiedy sprawa jest przesądzona.

- Kupimy prezent dla taty - wyjaśniam - ale jak będziecie grzeczne, nie pokłócicie się ani nie pobijecie, to zobaczymy.

Przekupstwa są z pedagogicznego punktu widzenia totalną katastrofą, ale u Claudii odnoszą znakomity skutek - w każdym razie na pewien czas. Tymczasem mam spokój podczas jazdy. Dzieciaki tłuką się często na tylnych siedzeniach w samochodzie, tak jakbym posadziła tam George'a Busha i Saddama Husajna.

Jest zwykle popołudnie, zwykły dzień tygodnia, a parking przed Ikeą już pęka w szwach. Może nie był to dobry pomysł, żeby przyjechać tu właśnie dzisiaj. Ale skoro już jesteśmy, wysiadamy.

Proponuję maluchom, żeby poszły do dziecięcego raju. Są niezdecydowane. Stoimy bity kwadrans przed okienkiem, zanim udaje nam się tam zapisać. Wtedy Claudia mięknie i zgadza się łaskawie. Mark chętnie przystaje na to, co robi Claudia. Młodszy bracia są jak lemingi. Z pewnością stanowią potem świetną partię dla dominujących kobiet, bo od małego przyzwyczajają się do uległości. Uwielbiają swoje starsze siostry, chociaż te często im dokuczają. Muszę uważać, żeby Mark z powodu swojej starszej siostry i matki nie wylądował potem w jakimś sa-

domasochistycznym związku. Dzieci dostają identyfikatory i wędrują w kierunku baseniku z kulkami.

Wreszcie, udało mi się! Uwolniłam się od dzieci i naprawdę mogę powalać się po Ikei.

- Przyjdę po was za godzinę, pójdziemy na górę do restauracji i zjemy coś smacznego - wołam na odchodne.

- I coś nam kupisz! - Claudia odwraca głowę w moim kierunku.

O takiej ofercie mała nigdy nie zapomina.

Przesuwam się wraz z setkami innych ludzi pomiędzy ikeowskimi regałami. Są tu takie dzikie tłumy, że można by pomyśleć, że dziś w Ikei dają za darmo. Znajduję upatrzony fotel. Czas realizacji - cztery tygodnie. Hm! Ale rzeczywiście jest ładny, a do tego w rozsądnej cenie. Do piątku na pewno go nie dostarczą. „Należało przyjść trochę wcześniej. Ten fotel akurat dobrze się sprzedaje” - informuje sprzedawczyni i patrzy na mnie bezlitośnie. Bardzo sprytnie, po prostu nigdy bym na to nie wpadła! Ale i tak go zamawiam. Christoph nie jest przecież dzieckiem. Dostanie ode mnie bon na fotel z terminem dostawy. Sama nie znoszę bonów, bo jestem na tego typu prezenty zdecydowanie zbyt wielką bałaganiarą. Często znajduję potem takie kupony gdzieś upchnięte i zazwyczaj już nieważne. Christoph jest pod tym względem mniej dziecinny. Jeśli się głębiej zastanowię, to pod każdym względem mniej dziecinny ode mnie. Decyduję się na ciemnobrązową skórę ze smugami. Bardzo elegancki i naprawdę wygodny mebel. Swobodnie mogłabym przesiedzieć tutaj z godzinę. Uważam, że w Ikei powinien być jeszcze manicure w ofercie. Można by posiedzieć sobie na próbie, a ktoś robiłby przez ten czas paznokcie. To byłby przebój. W Ameryce można pewnie spotkać coś takiego na każdym kroku.

Tyle że dla mnie taki manicure okazałby się stratą czasu, a ja muszę przecież wykorzystać każdą minutę, kiedy dzieci bawią się w baseniku z kulkami. Byłoby pięknie, gdyby można było je tak zostawić choćby i na cały tydzień. Niby takie schronisko dla dzieci. W dużych miastach powinny być nawet dziecięce hoteliki - coś w rodzaju klubu animacyjnego. Fantastyczne!

Więc teraz raz-dwa pędzę na halę samoobsługową. Mam już to, co chciałam, ale jeśli już tu jestem, nie mogę wyjść bez świecowych podgrzewaczy i serwetek. Myślę, że byłoby to nawet karalne. Ciężko to wytłumaczyć, ale podobnie ma się rzecz z wyprzedają serwetek i pościeli. W takich wypadkach jestem po prostu zachłanna. Zakupy w Ikei wprowadzają mnie w lekki amok. Wszystko zdaje się krzyżeć: „Jestem w korzystnej cenie, kup mnie!”. I tu przychodzi mi na myśl nieodzowna ikeowska maksyma: „Jeśli już tu jesteś...”. Parę kartonowych pudełek zawsze się przyda, serwetki też. Zielone czy żółte? Właściwie wezmę obydwie opa-

kowania. Podgrzewacze świecowe w opakowaniu po sto, nowa wycieraczka, parę ramek na zdjęcia, i do tego jeszcze mały bukszpan, który jest akurat w ofercie specjalnej. Albo lepiej dwa. Czy nie za mikry ten bukszpan, nawet jak na młodą roślinę? Wózek na zakupy jest ogromny i gorączka zakupów rośnie. Nowych ręczników też w końcu możemy potrzebować. Pomarańczowe! Jaki świeży kolor! Ale bez właściwej maty na podłogę i najpiękniejsze ręczniki na nic się nie zdadzą, a nowa zasłonka do prysznicza też się przyda. Ta stara nie pasowałaby zresztą do nowych pomarańczowych ręczników. Coś takiego nazywa się kosztami ubocznymi. Jeszcze dwie lampki na biurko dla dzieci i jakiś ładny obraz. Ach, jakie przepiękne materiały! Z takim ładnym deseniem do dziecinnego pokoju, idealne na zasłonki. „Schnidt, przecież ty nie umiesz szyć, odłóż grzecznie te bele!” - napominam się i pędzę dalej.

Przy kasie następuje to, co chyba nieuniknione.

- Mała Claudia i jej brat Mark chcą być odebrani z przedszkola - rozbrzmiewa w całym sklepie głos.

Szlag by trafił! Właśnie teraz! Nic się nie stanie, jeśli postoję parę minut przy kasie. Wytrzymają jeszcze. Nie liczyłam się jednak z możliwością kolejkowego korka. Pani przede mną twierdzi uparcie, że dwie niebieskie podstawki, które chce kupić, są przecenione. Kasjerka jest innego zdania, więc zaczynają zawzięcie dyskutować. Z powodu trzydziestu centów za sztukę! Niewiele brakuje, żebym wyłożyła te sześćdziesiąt centów. Ale zanim przedstawiam swoją propozycję, kasjerka zaczyna się niecierpliwić:

- Popatrzę, które są przecenione. - Wstaje i zostawia kolejkę samą sobie - na oko dziewięciu ludzi i ich wyładowane kosze.

Ponieważ ja również lubię dowieść swoich racji, mogę zrozumieć kasjerkę. Gorzej, że gdy tak czekam, jeszcze raz rozbrzmiewa komunikat:

- Claudia i jej brat Mark chcą być zaraz odebrani z dziecięcego rajku. Proszę natychmiast odebrać dzieci!

Teraz muszę się zdecydować: albo pobiec do dramatyzujących dzieci, którym wydaje się, że są zapomniane przez własną matkę i muszą spędzić całe życie w baseniku z kulkami, albo przebrnąć w końcu przez tę kasę z „zaszczytnego” końca kolejki. Wybierając pierwsze rozwiązanie, musiałabym zaparkować gdzieś mój wypełniony po brzegi wózek. Przy moim szczęściu jakiś pracownik wypakuje go i sprzątnie, a kiedy wrócę z dziećmi, okaże się, że mogę zaczynać zakupy od nowa. Pełna złych przeczuć, decyduję się więc pozostać twardo w kolejce. Nic się

przecież nie stanie z powodu kilku następnych minut. Te parę minut przeciąga się jednak i w kolejce słycać wyrazy niezadowolenia.

- Przez panią przyjadę za późno do domu - psioczy numer sześć w kolejce.

Pozostali solidaryzują się z nim. Zaraz będzie słycać ogólny aplauz.

- Niedługo kończy się moja przerwa - narzeka numer osiem.

Nastrój niezadowolenia rośnie i przeradza się we wzajemną wrogość. Teraz broni się kobieta od podstawek:

- Nie jestem bezmyślnym konsumentem, nie wszystko należy przyjmować na wiarę. Poza tym nic mnie to nie obchodzi. Jeśli chcecie się precyzyjnie i stąd wyjść, bardzo proszę. Możecie państwo stanąć równie dobrze w innej kolejce.

Hola, hola, jaka odważna. Dla mnie taka sytuacja byłaby wyjątkowo nieprzyjemna. Uczęszczała na kursy asertywności czy też ludzie od razu się takimi rodzą? Rozmyślam, czy kobieta ma rację, czy raczej zachowuje się głupio i wtedy właśnie nadbiega kasjerka. Dokładnie po czterech i pół minuty. Z triumfującym wyrazem twarzy i ceną w rękę.

- Ha, podstawki są przecenione tylko w opakowaniach po dziesięć sztuk. Pojedyncze są w normalnej cenie! - dyszy cała zziębnięta.

- W takim razie towar był źle oznakowany - klientka nie wyraża nawet odrobiny skruchy. Małe „przepraszam” i „dziękuję” w stronę kasjerki byłyby bardzo na miejscu. Cała sytuacja nadawałaby się bezspornie na kapitalną komedię, gdyby nie to, że moje dzieci znoszą męki w wątpliwym dziecięcym rajku. Odzywa się kobieta od podstawek: - W takim razie wezmę opakowanie z dziesięcioma - a kolejkowej zgrai niewiele brakuje, żeby ją opluć.

Co za nieprawdopodobny wręcz tupet! Sądzę, że kasjerka myśli podobnie. Wygląda tak, jakby zaraz na jej ustach miała pojawić się piana.

- Proszę bardzo. Proszę przynieść sobie tyle, ile się pani żywnie podoba, ale potem proszę stanąć na końcu kolejki. Inni też chcą zapłacić, no nie?

- Tak, byłoby miło - popieram kasjerkę, ale nasz protest jest natychmiast odpierany.

- Pójdę do kierownika sklepu! - burczy pod nosem kobieta. - Nie pozwolę się tak traktować!

Kasjerka przewraca oczami, a kolejka stoi za nią murem. Ale kino! Przy czymś takim ekipy z RTL-u naturalnie nie ma.

Wreszcie udało mi się zająć pozycję na czele kolejki. Mam do zapłacenia dwieście trzydzieści pięć euro i czterdzieści pięć centów. I to bez fotela. Za niego zapłacę przy dostawie.

Dwieście euro za tych parę drobiazgów, których w zasadzie nikt nie potrzebuje? Niewiarygodne! Przecież ceny były tak bardzo zredukowane. Wrzucam cały kram do wózka i biegnę do dziecięcego rajku. Zanim tam docieram, rozlega się trzeci komunikat:

- Uwaga, pilne! Proszę odebrać Claudię i Marka z dziecięcego rajku.

Co tam się może dziać? Oblatuje mnie lekki strach.

- Już jestem - mówię do młodej kobiety z okienka. - Może pani zaprzestać nadawania tych komunikatów. Claudia i Mark to moje dzieci.

- Mój Boże, wreszcie - wzdycha. - Pani córka, Claudia, płacze od dwudziestu minut, a mały narobił w majty. Na tę okoliczność nie jesteśmy przyuczeni.

Jak to - nieprzyuczeni? Czy do umycia pupy potrzebne jest teraz przyuczenie? A jeśli nawet, gdzie można taką naukę zdobyć? Claudia biegnie do mnie. Małe, splakane coś.

- Co się dzieje, skarbie? - pytam zatroskana i tulę ją najpierw w ramionach.

- Myślałam, że musimy tu zostać, bo już nas nie chcesz. Potem powiedziałam Markowi, że musimy zostać tu na zawsze, a on ze strachu zrobił kupę. A ta pani z tyłu strasznie się złościła.

Zgroza. Biedne dzieci! Próbuję ją pocieszyć.

- Jeśli mama mówi, że po was przyjdzie, to przyjdzie. Kocham was i nigdzie was nie zostawię - mówię do roztrzęsionego dziecka.

Moje sumienie ma się źle. Robienie zakupów nie należy ostatnio do moich najszcześniejszych zajęć.

- Kupisz nam teraz coś? - Claudia przeskakuje nagle na inny temat.

Czy ten płacz był tylko strategicznym manewrem? Nie mogła się doczekać, kiedy mama jej coś kupi? Małe dzieci potrafią być tak przebiegłe, czy po prostu szybko zapominają? To niemożliwe, żeby moja córka była taką przecherą. Nie może być! Jeśli się mylę, nawet nie chcę sobie wyobrażać, co będzie, kiedy stanie się nastolatką.

- Gdzie jest Mark? - pytam.

Wzrusza ramionami.

- Nie wiem. Ale chyba ciągle siedzi w kulkach. Idziemy teraz na zakupy? Możemy przecież iść bez Marka. On tutaj zostanie. W kulkach.

Jak to miło ze strony Claudii. Może łatwo poświęcić młodszego brata i bez żadnych skrępowań, w imię robienia zakupów, zostawić go w kulkach.



O nie! Z balastem w majtkach, w kulkowej kąpiel. Mam nadzieję, że nie jest tak źle. Dziewczyna z okienka zgłoszeniowego dziecięcego rajku wyraża gotowość przyrowadzenia Marka. Widocznie szybko chce się pozbyć moich dzieci.

- Czy mogę sama tam pójść? - pytam.

Mam złe przeczucie. Dziewczyna przytakuje. Pędzę w kierunku kulkowej kąpiel. Mark siedzi pośrodku baseniku niczym mały Budda.

- Mark - wołam - chodź tutaj, mama już jest.

Mark wcale nie myśli wyjść. Zupełnie mnie ignoruje. Co za uparciuch. Szybko ściągam buty i rzucam się w kulkową kąpiel. On patrzy ze stoickim spokojem - jakbym była zupełnie obcą kobietą.

- Mark, chodź do mnie, proszę - wołam i potykam się na tych przeklętych małych kulczkach.

Już prawie udaje mi się go pochwycić, a tu mała lawina kulek przetacza mi się pod nogami i z impetem wpadam cała w kulkową kąpiel. I wtedy wreszcie mój syn reaguje na mnie, ale śmiechem. Jeśli się wsłuchać w ten śmiech, to brzmi on trochę piekielnie. Mark mnie wyśmiewa! Moja córka jest wyrachowana, a syn cieszy się z czyjś nieszczęścia. Fantastycznie! Niezłe charakterki rosną pod moimi skrzydłami.

- Wychodź stamtąd! - syczę na niego.

Wtedy słyszę głos dochodzący zza baseniku:

- Hej, hej, proszę pani, dla dorosłych wstęp do basenu zabroniony!

Tak jakbym wskoczyła tam z nieposkromioną ochotą!

- Próbuję wyciągnąć stąd mojego syna - odpowiadam, krzycząc.

- Szybko, proszę - mówi opiekunka i stoi dalej przy krawędzi basenu.

Wygląda to tak, jakbym tylko czekała, aż ta oddali się od miejsca przestępstwa, a ja wtedy rzucę się z euforią w kulki. Biorę syna pod pachę i przedzieram się ku wyjściu. Najpierw trzeba się rozeznac w sytuacji. Obracam dziecko i staram się dyskretnie je obwąchać.

- Nie ma kupy - mówi Mark z dumą i wskazuje na kulki.

Co to ma znaczyć?

- Poszła ze spodni - uzupełnia i pokazuje lewą nogawkę spodenek.

Czy on wyciągnął sobie kupę przez spodnie? Mój Boże, ależ to nieapetyczne! Wręcz obrzydliwe! Opiekunka nie spuszcza z nas oka.

- Już idziemy - wołam przesadnie miłym głosem i mam nadzieję, że nie ma pojęcia, co mój syn przypuszczalnie zmajstrował.

W miejscu, gdzie całym ciałem wylądowałam w kulkach, nie obyło się bez strat. Parę kulek najwyraźniej nie wytrzymało mojego ciężaru. Ależ one łatwo pękają! Parę z nich przesuwam stopą na bok, tak jakbym się nimi bawiła, i już jesteśmy poza basenikiem.

- Tak nie można - obrywam jeszcze raz na pożegnanie, ale znoszę to bez sprzeciwu.

Zaciągam dzieci do toalety. Najważniejsze, żeby wybadać sytuację w spodniach. Rzeczywiście! Wydaje się, że Mark miał rację. W spodniach nie ma już nic godnego uwagi. Natomiast można stwierdzić jednoznacznie, że coś tam istotnie było. I mogę nawet prześledzić drogę ujścia. Przez prawą nogawkę aż do dołu. Świadcami są nawet skarpetka i but. Tłumaczę mojemu synowi, że tak nie wolno. Mówi tylko:

- Kupy nie ma.

Wycieram go i myślę jednocześnie, czy to, co jednak zostało, wymaga natychmiastowego opuszczenia Ikei - krainy cudowności. Decyduję się w końcu zostać. Co do zapachu, to nie jest może bez zarzutu, ale nic się nie stanie, jeśli zostaniemy jeszcze na jedną, dwie godzinki.

- Dostanę coś teraz? - piszczy Claudia.

- Tak, ale najpierw idziemy zjeść - muszę, niestety, na krótko rozczarować córkę.

Idziemy do restauracji i zamawiamy firmowe danie Ikei. Trzy razy köttbullar. Kotleciki wieprzowe z frytkami. Claudia zajada tak, jakby brała udział w zawodach na szybkość w jedzeniu köttbullara. Wpycha do swojej małej buzi kompletnie niepokrojone kawałki i wygląda jak na próbie bicia rekordów do księgi Guinnessa.

- Przestań się tak napychać - napominam ją.

Mruczy niezadowolona.

- Chcę na zakupy - bełkocze pomiędzy kolejnymi kęsami. Małe okruszki latają nad stołem.

- Pójdziemy na zakupy, jeśli zaczniesz jeść jak człowiek - strofuję ją, a ona już się krzywi, gotowa do płaczu.

Dzieci i Ikea - czego ja oczekiwałam po takiej kombinacji? Udaje nam się szczęśliwie dobrnąć do końca posiłku. Kończę jeszcze frytki syna - to tyle na temat szczuplejszych ud - i pakujemy najpierw do samochodu gigantyczne zapasy serwetek i podgrzewaczy, a potem udajemy się do krainy łosi.

W dziale dziecięcym Claudia znajduje dla siebie maskotkę. Cóż za oryginalny wybór! Moje dzieci mają już Bóg wie ile maskotek. Podczas gdy robię małej wykład na ten temat, myślę o swoim zbiorze torebek i butów i widzę nagle, że trzeba jednak koniecznie wejść w posiadanie choćby i trzydziestej czwartej maskotki. Claudia bierze świnkę. Świetnie zresztą pasuje do jej manier przy stole. Mark waha się chwilę, po czym jego wybór pada na kostium rycerza. Do tego miecz i rękawice. Jakie to męskie.

Stoimy jeszcze raz co najmniej kwadrans przy kasie i kiedy wreszcie siedzimy w samochodzie gotowi do powrotu, jestem cała zlana potem, mojej córce zbiera się na wymioty, a Mark wymachuje na siedzeniu za mną mieczem, jakby chciał przepędzić armię Rzymian. Koniec bajki - krótko po tym, jak wjechaliśmy na autostradę, köttbullarowe wymiociny trafiają precyzyjnie w nową świnkę. Nowe łyzy i nieopisany bałagan - na śwince i wokół świnki. Wieprz w köttbullarze. Zdziwiająca, ale köttbullar wygląda jak z talerza, jakby nigdy nie został zjedzony. Mark płacze, bo jego miecz został również trafiony. W mojej torebce znajduję wszystko, co byłoby nieodzowne w czasie kilkutygodniowego pobytu gdziekolwiek, ale, niestety, brak tam chusteczek higienicznych. Zastanawiam się, czy nie zatrzymać się na chwilę na stacji benzynowej, ale rezygnuję z tego pomysłu. Byle do domu!

Upaprane wymiocinami jedno, utyłane kupą drugie, zdenerwowani wszyscy, zajeżdżamy pod dom. Pakuję dzieci do wanny - również świnkę i miecz - i kiedy się odmaczają, ja szoruję samochód. Naturalnie biegam pomiędzy wanną a samochodem i sprawdzam, czy jeszcze żyją! Smród w samochodzie jest nieznośny. Przede wszystkim dlatego, że chwilę wcześniej byłam na świeżym powietrzu. Chyba wyjdę z siebie i sama zwymiotuję. Wolę zająć się pełną pieluchą niż wymiocinami. Nawet moich własnych dzieci. Czuję się wykończona, jakbym spędziła cały dzień w buszu na treningu przetrwania. Albo właśnie wyszła za mąż. Poziom stresu był mniej więcej podobny. Chociaż naturalnie wszystko zostało inaczej zaplanowane i z całą pewnością lepiej pachniało.

Kiedy bierzemy ślub, jestem w ciąży. W ciąży z drugim dzieckiem.

- Moglibyśmy w takim razie się pobrać - pragmatycznie odzywa się Christoph podczas grilla, w obecności mojej siostry, brata i rodziców.

Nie o takich oświadczeniach marzyłam przez całe lata - nie padł na kolana, nie ma róż, zamykanego puzderka z wielkim brylantem, nie ma szampana i romantycznej muzyki - ale mimo to mówię „tak”. Prawdopodobnie pod wpływem hormonów ciążowych. Kiedyś jedna z wyczynowych sportsmenek powiedziała mi, że takie hormony naprawdę dopingują. Mam więc

usprawiedliwienie swojej szybkiej zgody. Poza tym jestem jednak na tyle przytomna, żeby natychmiast i głośno dopominać się o pierścionek. Bez skutku.

Christoph po prostu nie reaguje - zachowuje się tak, jakby nagle kompletnie ogłuchł. Taka reakcja to jedna z jego specjalności - u mężczyzn ma to chyba podłoże genetyczne. Głupie, ale robię to, co w takich wypadkach zwykły robić kobiety. Zadowolam się taką właśnie odpowiedzią i daję spokój. Nie chcę przecież wyjść na konserwatywną kozę albo panienkę, która naoglądała się kiczowatych filmów. Albo okropną materialistkę.

A właściwie dlaczego nie? Co za idiotyczne myśli przychodzą mi do głowy? A jeśli zaowocowałyby to jakimś szykownym pierścionkiem? Czy nie powinno się być w takim przypadku egoistką? A może takie pragnienia są jednak naganne?

Wcześniej zawsze twierdziłam, że mały pierścionek z automatu z gumami do żucia jest równie słodki jak wielki diament. Jeśli nie słodszy. Dzisiaj poszłam o krok dalej i twierdzę, że na mój palec pasowałoby coś bardziej przepisowego. Nie mam już przecież piętnastu lat. A palce też się zmieniają.

Pomiędzy decyzją o ślubie a weselem mamy do przejścia długą drogę planowania i przygotowań, która, niestety, niejednemu może popsuć nastrój tej uroczystej chwili. Gdyby ludzie wiedzieli, że to istny spektakl z udziałem małpiatek, daliby sobie spokój. W tym czasie nie mam jeszcze o tym najmniejszego pojęcia i życzę sobie naprawdę wielkiego wesela z całą jego pompą i przepychem.

Prawdę mówiąc, nie muszę koniecznie brać ślubu. Po prostu chciałabym, żeby mnie spytano, czy chcę. Mężczyźni uważają taką argumentację za co najmniej dziwaczną. Myśl, że jest ktoś, kogo kocham i kto mnie kocha, oraz towarzyszące jej uczucie pewności, że on by się ze mną ożenił, zupełnie mi wystarcza. A oświadczyzny są jak potwierdzenie podróży. Najpierw się planuje, ogląda katalogi (w tym wypadku różnych facetów), sprawdza (idzie się z niektórymi do łóżka albo do kina, albo i jedno, i drugie), robi się mały wywiad (rozpytuje dookoła i pokazuje zdobycz), podejmuje decyzję (wybiera się najlepszego), a potem otrzymuje się bilety (można je porównać do oświadczyzn), i już jest się pewną - to dzieje się naprawdę. Jeśli w ogóle zrobi się użytek z biletów. Można polecieć w tę podróż (brać ślub) - ale nie ma przymusu.

Teoretycznie teza pt. „Chcę być zapytana” jest bardzo dobra. Ale co należy odpowiedzieć, kiedy to decydujące pytanie zostaje rzeczywiście postawione? „Tak, dziękuję bardzo, pięknie, że mnie zapytałeś”?

Zapytany musi odpowiedzieć - to oczywiste. A powiedzieć „nie” byłoby nie w porządku. Wydaje mi się, że kocham tego mężczyznę. Całuje nieziemsko, kocha mi się z nim bardzo dobrze (nawet rewelacyjnie), ma poczucie humoru (w każdym razie niekiedy), uwielbia mnie (na swój szczególny sposób) i jest zaradny. Jeśli ktoś oczekuje więcej przymiotów u mężczyzny, na sto procent się rozczaruje.

Mówię więc „tak”. I nie należę do kobiet, które na krótko przed ślubem zmieniają zdanie i dają drapakę. A takich nie brakuje. Wszystko dopięte na ostatni guzik, a tu nagle narzeczoną oblatuje strach tuż przed ostatecznym „tak” i już jej nie ma. Muszę przyznać: chylę czoło. Takie emocje nie są dla mnie. Zabrakłoby mi odwagi. Lepiej wcześniej wydusić z siebie „nie”. Poza tym - jakie to upokarzające dla narzeczonego bądź narzeczonej. Zawsze w podobnych sytuacjach staram się postawić na miejscu drugiej osoby. Jak ja bym zareagowała? Urząd stanu cywilnego pęka w szwach, wszyscy wzruszeni i w uroczystym nastroju, a narzeczonego robi unik. Jaki wstyd. Stoi się tam jak słup z bukietem kwiatów w ręku, wszyscy patrzą skonsternowani w podłogę i myślą intensywnie, kogo szybko powiadomić o nowinie SMS-em. Do tego moja matka, która na bank zapytałaby mnie: „Co zrobiłaś, że on teraz ucieka?”. Tak, jakbym to ja była temu winna. Nie, nie, dziękuję. Takie sprawy powinno się wcześniej naprawdę dobrze przemyśleć.

Jedno jest dla mnie pewne: niezapomniane wesele i podniecająca noc poślubna są nieodłączne. Moja noc poślubna musi być absolutnie odjazdowa. W końcu ma się tylko jedną noc poślubną w życiu. Nawet jeśli ze mnie mało romantyczny typ, i tak wychodzę z założenia, że noc poślubna jest tylko ta jedna jedyna. Każdy doskonale zdaje sobie sprawę, że to tylko iluzja, ale burzenie jej do niczego akurat w tym wypadku nie prowadzi. Zwykle pożyteczny zdrowy sceptycyzm jest tu niewskazany. Również dlatego nie zawarliśmy żadnej intercyzy. Szczerze mówiąc, może nie tylko dlatego - i tak żadne z nas nie jest arcybogate. Gdybym miała zamki i dachy we wszystkich wspaniałych krajach, na Majorce, Côte d'Azur, w Monte Carlo, wyglądałoby to może trochę inaczej. Ale w sytuacji, gdy niewiele się posiada, nie ma też o co się kłócić. Lubię być naiwna. Jest to wspaniale nieskomplikowane. A ponieważ Christoph i tak zarabia więcej ode mnie, nie stanie się nic, co byłoby niekorzystne dla mnie. Czy jest to dowód wyrachowania? Nawet jeśli, to bez poczynienia przedmażeńskich kalkulacji nie warto pakować się w całą ślubną przygodę. W końcu małżeństwo oznacza jedność majątkową, i wszyscy są co do tego zgodni. Jednak w Niemczech rozpada się co drugi związek małżeński. Czy z taką prognozą można w ogóle śmiało podjąć decyzję? Optymistyczna analiza tej statystyki pokazu-

je, że co drugie małżeństwo ma się dobrze albo przynajmniej trwa. Bo przecież fakt, że ludzie się nie rozwodzą, nie ma nic wspólnego z dobrym życiem małżeńskim. Ale przyznaję, że świadomość możliwości rozwodu (tak w razie czego) ma w sobie jednak coś uspokajającego. Wyjście awaryjne to zawsze coś.

Ślub wiąże się z milionem drobnych decyzji. Na przykład transport. Absolutnie nie ciągną mnie powozy ślubne. Christoph zresztą nie przepada za końmi. Myślę, że się ich nawet trochę boi. „Bzdury, nie boję się, ale to są duże zwierzęta i nieszczęśliwie rozgarnięte” - twierdzi, kiedy pytam go, czy ma stracha przed *Fury*\* i spółką. Czyli w kwestii końskiej jesteśmy nad wyraz zgodni. Mamy więc pierwszą rzecz, na której możemy zaoszczędzić. W życiu codziennym też rzadko mam okazję przejechać się bryczką i wcale mi tego specjalnie nie brakuje. Za bardzo lubię szybko się przemieszczać.

\* Niemiecki film przygodowy, którego głównym bohaterem jest koń Fury.

Przedmiotem debat nie będzie także wiejskie wesele w strojach ludowych. Strój heski jest, między nami mówiąc, dość brzydki i w dodatku pogrubia. Panna młoda w zaawansowanej ciąży na pewno tego nie potrzebuje. Poza tym nie chcę bufetu z kiełbachą i kiszoną kapustą. Christoph opowiada się za wariantem oszczędnym. Wystarczyłaby mu mała uroczystość po urzędzie stanu cywilnego. „Wypijemy prosecco na dole pod urzędem, a potem pójdziemy coś zjeść z rodziną” - proponuje. Cóż za profanacja! Napić się prosecco, nawet nie szampana! Poza tym przecież dwa razy w miesiącu chodzimy coś zjeść z naszymi rodzicami lub u naszych rodziców, więc co byłoby w tym uroczystego?

- Bierzemy ślub - mówię i patrzę surowo.

- Wiem - odpowiada. - Pytałem, czy chcesz, o ile sobie przypominasz - dodaje trochę zjadliwie.

Tak jakby jego liche oświadczyły były wspaniałym, wiekopomnym przeżyciem. Po takich oświadczeniach zasłużyłam przynajmniej na fantastyczne wesele.

- Jeśli ślub, to z prawdziwego zdarzenia - stawiam warunki. - Chcę wielkiej imprezy, przemowy, bajecznego jedzenia, fantastycznej sukni, morza szampana, a jako ukoronowania uroczystości - niezapomnianej nocy poślubnej - szkicuję mu z grubsza moje wyobrażenie o ślubie.

W oczach Christopha widać strach. Strach przed gwałtownym zubożeniem. Instynktownie łapie się za kieszeń spodni tam, gdzie zwykle trzyma portfel.

- I?... Andrea, kto miałby za wszystko zapłacić? - pyta mnie.

- Ty! - odpowiadam i śmieję się. - Albo my, bo wszystko, co twoje, jest i moje.

Mój przyszły mąż nie sprawia wrażenia rozbawionego. Robi się blady. Naprawdę nie pomyślał o tym? Nie zdaje sobie sprawy, że niedługo ja i dwoje dzieci będziemy kosztować go parę euro?

Zaczynamy dyskusję na temat spraw zasadniczych. Proponuję mu wziąć należny ojcu urlop po narodzeniu dziecka:

- Ja pójdę pracować, a ty będziesz się troszczył o dzieci i prowadził dom.

Christoph wciąga głęboko powietrze, patrzy na mnie poważnie i mówi:

- W zasadzie nie widzę żadnego problemu, chętnie spędzałbym więcej czasu z dziećmi, ale... - blablaba. I już się zaczyna. - Jeśli wypadnę z obiegu, to już na amen. Prawnicy są konserwatywni, nie będą mnie traktować poważnie i wezmą mnie za głupka. A ty zarabiasz przecież mniej ode mnie.

I tak dalej. Widać wyraźnie, że wpada w lekką panikę. Christoph jest bardziej ambitny, niż mogłoby się wydawać. I do tego to jeden z tych pozornie wemancypowanych mężczyzn, którzy lubią mawiać: „No, niby tak, teoretycznie tak”. Naturalnie, że zgodziłby się zostać z dziećmi, gdyby społeczeństwo nie było tak szaleńczo tradycyjne. I tak w ogóle, po co te wieloletnie studia, jeśli miałby zmieniać pieluchy w świecie pań domu w nieodłącznych legginsach. Czy wstawałby w nocy do dzieci? Co mężczyźni powinni tak naprawdę robić? Może ich następnym krokiem będzie rodzenie dzieci? Nie... taki pakiet żądań jest dla nich niemożliwy do zrealizowania. Dyskusja zaczyna sprawiać mi przyjemność.

- Ale to są też twoje dzieci. A czasami należy przyjąć w społeczeństwie rolę prekursora, aby zmienić coś w dotychczasowej sytuacji.

Jęczy tak, jakbym wymagała od niego, by poszedł nago do biura, albo kazała zrobić publicznie *piercing* w intymnym miejscu. Robię zwrot, sprawiam wrażenie, jakbym nie miała dla niego krzty zrozumienia, i proponuję kompromis:

- Skarbie, mam! Będziemy obydwójce pracować na pół etatu i w ten sposób sprawiedliwie podzielimy obowiązki. Jesteś przecież za równouprawnieniem, prawda?

Który oświecony mężczyzna powiedziałby w takiej chwili „nie”? Musiałby być wariatem. Teraz przeczuwa coś złego i zaczyna ze zdwojoną energią:

- Naturalnie, że jestem za równouprawieniem, czy może masz mnie za zacofanego neandertalczyka?

Krótką przerwę i poważne spojrzenie. Potem następuje ciąg dalszy wywodu:

- Naprawdę, Andrea, co ty sobie o mnie myślisz? Powiedz szczerze, jak miałyby to funkcjonować na co dzień? - pyta nerwowo. - Praca na pół etatu? W moim zawodzie? Miałbym wstać w trakcie procesu i wyjść przed mową obrończą, ponieważ mam szychtę w domu? Jak sobie to wyobrażasz, Andrea?

Zawsze, kiedy zwraca się do mnie po imieniu i jeszcze po raz kolejny z rzędu, niczym jakiś maniak, to znaczy, że jest śmiertelnie poważny. Wtedy jest kropka w kropkę jak mój ojciec. Gdy powiedział surowo „Andrea”, wiedziałam, że to pierwszy sygnał ostrzegawczy. Ale teraz go mam! Tak się boi, choćby tych prawie niezauważalnych ograniczeń zawodowych, że w innych ważnych sprawach gotów jest na duże ustępstwa.

- Odpręż się - radzę przyjaznym tonem. - Możemy omówić to później. Poza tym powiedziałam już w redakcji, że przez pierwsze lata pozostanę w domu. Nikt nie zabierze ci twoich ukochanych akt. - Niemal słyszę, jak kamień spada mu z serca. - Ale wracając do tematu ślubu, chciałabym czegoś naprawdę super. Porządnego wesela.

- Jeśli tak ci zależy - mówi już uspokojony i gotowy na kompromis.

Jest tak zadowolony, że choć na trochę udało mu się uniknąć wcielenia w rolę kury domowej, iż wesele ze wszystkim, czego dusza zapragnie, wydaje mu się mniejszym złem.

Dobra robota, Andrea, myślę sobie znowu i jestem przeświadczona, że zawsze należy wykorzystywać takie okoliczności. Teraz trzeba by tylko zaklepać i przyjąć to jako wiążącą umowę, żeby myślał, że sam niczego innego nie pragnął. Do rozmowy o szczegółach nie jest jeszcze gotowy.

- Rób, jak uważasz - mówi kompletnie nieświadomy, ile pieniędzy będzie kosztowało go to krótkie zdanie.

Niedługo to będzie także mój problem. Drobną zmianą, która wielu mężczyzn napawa strachem - finansowa odpowiedzialność. Koszty są wysokie i w dodatku takie będą już zawsze, a świadomość tego nie jest przyjemna.

Christoph daje mi wolną rękę. Cudownie! W końcu lepsze to od negocjowania w pocie czoła każdego detalu. Nie mogę teraz okazać zbyt wyraźnie swojej radości. Nie popełnię tak fatalnego błędu na ostatnich metrach, bo wróg z łatwością przejrzałby mój chytry plan.



- Dobrze - zgadzam się i lekko wzdycham - sama wszystko zorganizuję. Zabraniam narzekania!

Kręci głową i wydaje się zadowolony, że na tym rozmowa się kończy.

Mam trzy miesiące na zaplanowanie wesela. Wydawałoby się, że trzy miesiące to mnóstwo czasu, ale na spore logistycznie przedsięwzięcie, jakim jest wesele - jednak mało. Uzgodnienie terminu, sporządzenie listy gości, wysłanie zaproszeń, zakup sukni, przemyślenie fryzury, lokalizacja imprezy, wybranie didżeja, znalezienie florystki i fotografa. Ustalenie menu. I do tego: kalkulacja i rosnące przerażenie. Nowa kalkulacja i znów przerażenie. Wydaje mi się, że wesele - i tu muszę przyznać rację Christophowi - cholernie drogo kosztuje. A najtrudniejsze jest pytanie: kogo zaprosić, a kogo nie zaprosić? Rodzina, rzecz jasna. Rodzice, dziadkowie, jeśli jeszcze dziadków mamy, i rodzeństwo z małżonkami lub osobami towarzyszącymi. Ale jak daleko należy się posunąć w wysyłaniu zaproszeń? Co zrobić z kuzynostwem, rodzeństwem dziadków i resztą rodziny? Naturalnie, że są rodziną w pełnym tego słowa znaczeniu. Czy dlatego trzeba ich zaprosić? Chociaż poza takimi rodzinnymi uroczystościami nie ma z nimi kontaktu i często odczuwa się z tego powodu tylko zadowolenie. Decyduję się - pod lekką presją mojej mamy - zaprosić cały klan. Co do znajomych staram się być powściągliwa. Nie robię przecież spotkania dla koleżanek i kolegów z pracy. Zapraszam tylko Sandrę, moją najlepszą koleżankę. Potem nasuwa się pytanie: Czy należy zawsze zapraszać osobę towarzyszącą? A jeśli wcale nie przepadamy za towarzyszami życia obligatoryjnych gości? Czy to nieładnie powiedzieć komuś: „Bylibyśmy szczęśliwi, mogąc CIĘ widzieć na naszym weselu, ale... zostaw tego buraka, z którym jakimś dziwnym sposobem trwasz w związku, w domu!”. Ja poczułabym się obrażona, gdybym dostała zaproszenie, które nie uwzględniałoby Christoph'a. I choćby z tego powodu, z ciężkim sercem, zapraszam także partnerów i towarzyszy życia, których po prostu nie lubię.

Kiedy lista nazwisk jest już wreszcie gotowa - uzbierały się sześćdziesiąt cztery osoby - powstaje pytanie, jak ich zaprosić. Niepozorny e-mail byłby zupełnie nie na miejscu. Czerpany papier z drukowanymi złożonymi literami podoba się mojej mamie, która twierdzi, że jest stylowy i adekwatny do uroczystości. Trudno mi się zdecydować. Coś takiego mogę zawsze zamówić na srebrne gody, a poza tym nie jesteśmy przecież wysoko urodzeni. Oprócz tego takie wytworne zaproszenie pociąga za sobą inne koszty. Koszty jedzenia na przykład. Nie wygląda to dobrze, jeśli hrabia, który śpi na pieniądzach, serwuje zrazy z sałatką kartoflaną. A tak w ogóle: czy lepszy jest bufet, czy jedzenie podane do stołu? Ta bieżączka wokół bufetu może

denerwować. Z drugiej strony można dokonać wyboru, a przy jednym menu może się zdarzyć, że gościom jedzenie nie przypadnie do gustu. Ale nawet gdyby - na tej szerokości geograficznej nie ma nikogo naprawdę wygłodniałego. Decyduję się na jedzenie podane do stołu i ustalony przeze mnie porządek miejsc. Jeśli każdy siadałby tam, gdzie mu się podoba, nikt nie opuściłby swojej kliki. Dzięki ustalonemu porządkowi istnieje szansa korzystnego ulokowania niekochanych krewnych lub znajomych. Gadatliwa ciotka mogłaby usiąść obok słabo słyszącego znajomego rodziców lub podobnie. Taki porządek miejsc może być czymś w rodzaju cichej zemsty. Nerwowa kuzynka obok dziadka, który nie potrafi utrzymać rąk przy sobie, i proszę - już obydwójce mają zajęcie.

Przed zorganizowaniem karteczek na stół (tak naprawdę to napisano o tym książki) powstaje pytanie, gdzie powinno odbyć się wesele. Wesele zimową porą ma swoje dobre strony. Nie trzeba sobie łamać głowy, gdzie się bawić, na zewnątrz czy w środku i czy restauracja ma w ofercie oba warianty. W zimie nie potrzeba tarasu, nie ma koktajlu pod gołym niebem. Decyduję się - po uzgodnieniu z Christophem, ponieważ uważam to za właściwe i miłe - na sympatyczny lokalik z dużą salą całkiem niedaleko nas. Włoska restauracja z przepysznym jedzeniem i znośnymi cenami. Giovanni, szef lokalu, pomaga mi w doborze menu. Sala jest wystarczająco duża, żeby w niej tańczyć, i ma scenę na wszelkiego rodzaju występy. Czego chcieć więcej?

A jednak planowaniu i urządzaniu uroczystości nie towarzyszy tak wiele napięcia, jak zawsze uważałam - myślę naiwnie. No i wykrakałaś, Andrea, sama jesteś sobie winna!

Trudniejsza niż wybór restauracji jest odpowiedź na pytanie: co na siebie włożyć? Pytanie, które dręczy mnie już ładny kawał życia. Nagłący czas i natłok zajęć rzadko dają godne uwagi rezultaty. Tym razem powinno i musi być inaczej. Chcę być wyjątkowo piękną i czarującą panną młodą. W codziennym życiu słowo „czarująca” nie jest koniecznie tym przymiotnikiem, którym można określić moją osobę na pierwszy rzut oka. Ale panna młoda jest panną młodą. Niezwykłe momenty wymagają niezwykłych zabiegów. Kto w dniu swojego ślubu chciałby wyglądać tak jak zawsze? Naturalnie, byłoby pięknie, gdybym była też do rozpoznania, ale trochę więcej uroku niż zwykle musi być.

Moja ciąża nie ułatwia sprawy. W dzisiejszych czasach znane narzeczone lub dziewczyny wielkich osobistości przybierają na wadze niemalże niezauważalnie i w siódmym miesiącu wyglądają nawet szczuplej niż w pierwszym. Ale pomimo wszelkich zabiegów moje ciało, w przeciwieństwie do tych zdyscyplinowanych, wzorcowych ciężarnych, nie jest w stanie się

opanować. Zanim dowiedziałam się, że jestem w ciąży, byłam ciągle głodna. Każda komórka mojego ciała dopominała się o jedzenie. Czy miałam tego nie słuchać? Zatkanąć sobie uszy? Jak one to robią? Jeśli odmówiłabym sobie jedzenia, stałabym się niekomunikatywna i niezdolna do życia w społeczeństwie. Nie mogłabym wtedy opuścić domu z obawy, że napadnę najbliższego przechodnia i dopuszczę się kradzieży drobnych artykułów spożywczych. Teraz mam pisemne potwierdzenie. Jestem w dwunastym tygodniu ciąży, a wyglądam na dobry dwudziesty tydzień. Może w rzeczywistości wywodzę się z rodziny strasznych pulpetów? Albo, jak to się mówi w innych stronach, z rodziny pączuszków? Szybko i niezawodnie zwiększam swoją objętość. Jestem czymś w rodzaju ciasta drożdżowego, ale w przeciwieństwie do niego, wcale nie potrzebuję odpowiedniej temperatury, aby się rozrosnąć wszcz. - To zupełnie normalne - mają wielokrotne mamy - przy drugiej ciąży brzuch ma o wiele większą zdolność rozciągania się.

Jak pięknie! Jaką to radość może sprawić własny brzuch! I dlaczego inne części ciała przyłączają się zaraz do tego mechanizmu? Solidaryzują się z brzuchem? Dlaczego zamiast tego nie mogę turlać przed sobą śmiesznej, zabawnej kulki? Nawet z tyłu wyglądam jak kobieta w ciąży, bo również moja pupa rośnie na dowód jedności z resztą ciała.

Czy niedługo będę jedyną ciężarną, która wygląda jak ciężarna? Tak zwany model na wyczerpaniu. Zamieszczono by potem moje zdjęcia w podręcznikach do biologii - „tak wyglądały kiedyś ciężarne kobiety”. Doprawdy cudowna perspektywa.

Za późno na lamenty. Trzeba wykazać się należytyim sprytem - w tym sęk. Musi być przecież jakaś sukienka albo inny strój, w którym moje kształty będą ładnie wyglądały. Zakryć czy podkreślić? - oto jest pytanie. Nowoczesna ciężarna nosi chętnie sukienki ze streczu, przykuse bluzeczki, przy których brzuch świeci golizną. To może wyglądać całkiem ładnie. Ech, według klasy wagowej może jednak nie do końca ładnie, albo nawet beznadziejnie. Goły brzuch na własnym ślubie - naprawdę sama nie wiem. Jeśli wychodzi się za piłkarza, może by i przeszło, przy Ralfie Schumacherze też dałoby się znieść - poza tym nie pasuje. W głębi serca jestem - i niechętnie sama przed sobą to przyznaję - raczej konserwatywna. Nikt oprócz mnie nie musi tego wiedzieć.

Obeszłam cały Frankfurt. Zdziwiająca, że nie udało mi się zgubić przy tym paru kilo. Może to z powodu grillowanej kiełbaski, na którą pozwoliłam sobie w trakcie ganiań po mieście. Nie pozwoliłam sobie, lecz przede wszystkim dziecku.

Majaczy mi przed oczami sukienka: nie za krótka, z zapasem - kto wie, jak będę wyglądać za parę tygodni - jasna (ale nie biała), w żadnym wypadku żółta (nie pasuje mi - a właściwie to nikomu; w żółtym wyglądam tak, jakby mi było bardzo, ale to bardzo niedobrze). Jeśli to możliwe w kolorze *très chic*. Mam odwagę przestępować progi sklepów, w których nigdy wcześniej nie byłam. Dobrze wiem, że nawet T-shirt kosztuje tutaj połowę sklepowego czynszu, chociaż jest rozmiaru szmatki do podłogi. Ale przy okazji własnego ślubu nie można chytryć. Kto chce oszczędzić na własnej sukni ślubnej, będzie tego kiedyś gorzko żałować. Najpóźniej za kilkadziesiąt lat, w domu spokojnej starości, gdzie się siedzi i przegląda albumy, a potem za każdym razem przychodzi do głowy myśl: Och, gdybym kupiła sobie wtedy jakąś ładną sukienkę! Tak się to u mnie nie skończy. Następny pobyt w takim przybytku powinien być wolny od podobnych trosk.

Moja mama podchodzi do mojej ciężkiej sytuacji absolutnie pragmatycznie.

- Masz przecież bardzo ładną, ciemnoniebieską garsonkę ze spodniami. Taką z porządnego materiału. Ma bardzo klasyczny krój. Załóż ją. Ciemny kolor cię wyszczupli i jest ci w nim do twarzy. W razie czego rozepniesz górę. Jeśli dasz ją do czyszczenia, będzie wyglądała rewelacyjnie.

Muszę dodać, że mama kupuje na wesele nowy kostium. Okazuje się, że łatwiej udzielać rozsądnych rad innym. A do kostiumu konieczny jest oczywiście odpowiedni kapelusz. Moja mama uważa, że ma twarz stworzoną do kapeluszy.

- Kiedy można włożyć kapelusz, jeśli nie na ślubie? Poza tym, Andrea, nie ma lepszego sposobu na ukrycie zmarszczek na czole.

Ja nie chcę włożyć mojej garsonki ze spodniami! Chcę mieć istic weselny *outfit*! Oczywiście to rozrzutność, ale moim zdaniem zupełnie usprawiedliwiona. I kto jest tutaj panną młodą - może moja mama?

Sabine, moja przyjaciółka, towarzyszy mi w pierwszej wyprawie po sklepach. Niestety, nie nadajemy na tych samych falach, jeśli chodzi o ciuchy. Sabine lubi rzeczy przylegające do ciała. Ciasne i krótkie. Ma prostą dewizę: Pokaż wszystko, co jeszcze nadaje się do pokazania. Ciało przyciąga spojrzenia, moda jest tutaj nieważna, w każdym razie dla mężczyzn.

Takie publiczne prezentowanie swoich wątpliwych wdzięków budzi u mnie niesmak. Chociaż jej teza nie jest bez racji. Sabine uważa, że większość kobiet stroi się głównie dla siebie samych.

- Większość facetów nie przykłada do mody żadnej wagi. Czy jakiś ciuch był kiedyś modny, czy może teraz jest właśnie na czasie, wcale ich nie interesuje. Liczy się apetyczny wygląd. Buty na szpilkach czy z okrągłymi noskami, kogo to obchodzi!?! Poproś jakiegoś mężczyznę, żeby ci opowiedział, co miałaś wtedy i wtedy na randce. Albo jakie nosiłaś kolczyki. Można sobie darować takie zabiegi. Na pewno w przypadku facetów. Oni widzą tylko to, czego na sobie nie masz.

Może i racja, ale w tym momencie jest mi to zupełnie obojętne. Nie chodzi mi tylko o mężczyzn. Znalazłam już jednego, który się ze mną żeni. Czas własnej kampanii reklamowej tym samym się zakończył. Tutaj chodzi o mnie. Na moim własnym ślubie chcę wspaniale wyglądać i wcale nie jest to szczególnie nadzwyczajne życzenie. Przemierzamy domy towarowe - mam nadzieję, że ich przetrząsanie da bardziej wymierne wyniki niż pełne rezygnacji poszukiwania w wytwornych butikach.

- Oprócz szala nic więcej do ciebie nie pasuje - oznajmia mi Sabine z niezbyt zawołowaną aluzją.

Mogłaby się trochę bardziej elegancko wyrażać. Ale, niestety, ma rację. Potrzebowałabym dwóch marynarek w rozmiarze trzydziestym ósmym. Jedną na przód, drugą na tył. Sabine uważa, że w różowym kolorze byłoby mi bardzo ładnie. Albo blad różowym. W stylu Jackie Onassis. Proponuje też coś czarnego, kusego i bez rękawów. O nie, tylko nie czerń! No to czerń w połączeniu z różem. Protestuję. Ktoś, kto figurą przypomina zwykłą tuczną świnkę, powinien unikać różowego koloru. Czerń lepiej by pasowała. Ale w czerni na ślub? Na starcie misji - bo zawarcie ślubu jest pewnego rodzaju misją - nie powinno się przywdziewać żałobnego koloru. Byłoby w tym zbyt wiele oczywistego sceptycyzmu.

Przymierzam i przymierzam, i nic nie pasuje. Mam już tego po dziurki w nosie! Poddaję się!

Pozostaje chyba jednak garsonka ze spodniami. Ale nawet ta jest oporna. Musiałabym nie tylko rozpiąć marynarkę, lecz także spodnie. Nie wygląda to bardzo elegancko. Może nadałaby się na mocno ograniczone w czasie przyjęcie na stojąco. Albo trzeba by użyć bandaży elastycznych. Nie wyobrażam sobie jednak, że ciągle uważam na własnym ślubie, czy poszczególne części ciała są jeszcze przykryte.

Christoph uważa, że histeryzuję.

- Odczekaj jeszcze. Wybierzesz coś krótko przed. W najgorszym wypadku kupisz sobie sukienkę ciążową w rodzaju tych worków na kartofle z dziurami na ręce - zdobywa się na odwagę i żartuje.

Poczucie humoru jest co najmniej tak delikatną sprawą jak dobry smak w wyborze ubrań. Od razu zaczynam płakać, przy czym płacz jest wystarczająco wspomagany przez hormony ciążowe. I wtedy właśnie mój przyszły mąż doznaje olśnienia:

- Albo uszyj coś sobie. Na miarę.

Jeszcze przed chwilą groziła mu śmierć z ręki emocjonalnie rozchwianej i rozszalałej ze złości narzeczonej - zresztą nie bez powodu - a teraz proszę, ten mężczyzna staje się bohaterem wieczoru. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam? A zresztą - liczy się efekt! Ależ on ma natchnienie! Miejmy nadzieję, że ten talent pozostanie mu także po ślubie.

Miło jest pomyśleć, że szycie nie będzie wcale dużo kosztowało. Usługi krawieckie nie są aż takie drogie. Tyle że nawet krawcowej mój brzuch niczego nie ułatwia.

- Jak on będzie wyglądał przed przewidzianym terminem? - pyta mnie bardzo uprzejmie.

Jeśli potrafiłabym prognozować takie rzeczy, byłabym bardzo bogatą kobietą. Taka właśnie odpowiedź przyszła mi do głowy, natomiast mówię coś w rodzaju:

- No, będzie wyglądał podobnie, tylko trochę grubszy.

Mała, pulchna krawcowa - prawdopodobnie wybrała swój zawód z powodu ciężkiej sytuacji życiowej - uśmiecha się jak rusałka z bajki.

- Serduszeko, damy sobie radę - mówi i najpierw bierze dokładną miarę.

Gdyby ta kobietka potrafiła wyczarować z dyni powóz, nie zdziwiłabym się ani trochę. Optymizm połączony z miłym, uprzejmym poczuciem wyższości - bajeczna kombinacja. Zagrzebuje się w olbrzymich belach materiału i pokazuje mi coś szlachetnego i delikatnego. Azjatycki jedwab - coś bardzo szczególnego w kolorze kości słoniowej.

- Będzie pani wyglądała jak bogini - obiecuje, a ja chcę jej wierzyć całym sercem. Słowami: „Coś wyczaruję, moja dziewczynko”, zdejmuję mi ciężar z pleców.

Ta kobieta powinna być na receptę. Valium przy niej to placebo.

Najmniejszy problem sprawia ustawienie stołu na prezenty. Trzeba tam zadbać o każdy szczegół, ale taką usługę oferują nie tylko sklepy z porcelaną, lecz także prawie wszystkie duże domy towarowe. Mogłabym spędzić całe dnie na wyborze najpiękniejszego. To absolutnie mój ulubiony etap przygotowań. Co prawda przez chwilę wydaje mi się, że na swoim ślubie powinnam być wspaniałomyślna i poprosić gości o przekazanie jakiejś sumy na cel dobroczynny.

Przyznaję jednak ze skruchą - moja wspaniałomyślność nie jest wystarczająco silna, gdy pokusy są nie do odparcia. Oczywiście, wyobrażam sobie, że wszyscy byliby poruszeni moją bezinteresownością, ale wyobrażenie to nie jest tak piękne, jak widok gigantycznego stosu prezentów. Od telewizora plazmowego przez najdroższe kremy do twarzy aż do łyżeczek z masy perłowej, którymi je się jajka. Po prostu nie mogę się pohamować. To jest tak, jak w najbardziej szalonych dziecięcych snach. Jesteś sama w dużym domu towarowym i możesz mieć wszystko. I to nic nie kosztuje. Ludzie z gatunku pragmatycznych mogą się tylko uśmiechnąć, słysząc takie rachowanie. Wobec tego, ile kosztuje porządne wesele, ze wszystkimi możliwymi dodatkami, nie jest ciężko zapłacić za parę prezentów - ale od kiedy to ja mam do czynienia z wyższą matematyką?

Weselna maszyna ruszyła i wszystko nabiera tempa. Sukienka rzeczywiście wygląda jak marzenie... Dotychczas tylko dwie osoby zapowiedziały swoją nieobecność na uroczystości. Moja kuzynka od świerzbączki ogniskowej z Aschaffenburga z mężem Fredem nie mogą, niestety, przyjechać. Fred „Spocone Ręce” jest fatalnie, uderzająco podobny do Freda Feuersteina. Wielka szkoda. Mają zawody finałowe w tańcu standardowym i trenują pilnie cały sezon. Czy będę dla nich wyrozumiała? Naturalnie, że będę. Mistrzostwa Górnej Bawarii w tańcu standardowym - kto chciałby, żeby go tam zabrakło?

A jeśli już poruszamy ten temat, pyta mnie:

- Czy umiecie już tańczyć walca weselnego? Ćwiczyliście?

O kurczę.

Nowy punkt na liście „do załatwienia"! Ani nie ćwiczyliśmy, ani też nigdy nie tańczyliśmy ze sobą. W każdym razie walca. Christopha nie można, niestety, nazwać urodzonym tancerzem. Czy uda mi się nakłonić go do próby? Jeśli nie, to nie.

Drugą odmowną odpowiedź dostaliśmy również od krewnych. Babki siostra z mężem z dalekiej północy. Odbywają w tym czasie rejs. Długo oszczędzali na tę podróż i bardzo się cieszą, że zrealizują wreszcie swoje plany. Kim ja jestem, żeby niweczyć starszym ludziom życiowe marzenie? Obydwojgu życzę dużo przyjemności, a oni mi wspaniałego wesela.

- Prezent przyślemy - mówi ciocia, a moja zachłanność zostaje zaspokojona.

Ukoronowaniem planów i przygotowań jest moja weselna niespodzianka. Będziemy bawić się po sąsiedzku, restauracja jest, jak to się mówi, rzut beretem od nas. Ale, rzecz jasna, po weselu nie chcę nocować w domu. W takim dniu można sobie spokojnie pozwolić na więcej. Przede wszystkim dlatego, że nie zaplanowaliśmy podróży poślubnej. Z powodu mojej ciąży.

Chcemy pojechać spokojnie dopiero wtedy kiedy dziecko się urodzi. Tylko my dwoje. A dzieci będą u teściów. A my - młode szczęście - polecimy dokądkolwiek, gdzie jest gorąco. Jeśli nie ma podróży poślubnej, musi być przynajmniej mała nocna wyprawa. Rezerwuję apartament. Potajemnie. Nikomu nic nie mówię. Nie jakiś tam pierwszy lepszy apartament, ale apartament we Frankfurter Hof. W najbardziej renomowanym hotelu. Z kompletną dekoracją weselną. Specjalność zakładu. Różane płatki na łóżku, szampan w srebrnym kubelku, pralinki i królewskie śniadanie do łóżka. Cena może niejednego wprawić w przerażenie, potem krótko można mieć nadzieję, że chodzi o tureckie liry, ale w głębi duszy wiadomo, o jakiej walucie mowa, i pozostaje tylko tę kosmiczną sumę przełknąć. Chcę, aby była to niezapomniana noc. Po paru latach trwania związku troszkę urozmaicenia nie zaszkodzi. Menedżer hotelu obiecuje mi mały rabat i baśniową noc. Sposób patrzenia tego kolesia sugeruje, że jest wliczony w cenę.

Można zaczynać. Im bliżej terminu, tym jestem spokojniejsza. Sukienka wisi gotowa i wygląda bardzo dobrze, fryzjer przychodzi jutro do domu, a Giovanni, nasz restaurator, podkreśla na każdym kroku: *Tutto a posto*.

W dniu ślubu ogarnia mnie jednak lekkie zdenerwowanie. Pogoda jest wyśmienita. Wprawdzie nie bierzemy ślubu na wolnym powietrzu, ale dobra pogoda wpłynie korzystnie na nastroje i lepiej wypadną zdjęcia przed urzędem stanu cywilnego.

Christoph jest całkowicie zrelaksowany i rzeczywiście wygląda tak, jakby się cieszył.

- Naturalnie - mówi, kiedy go pytam. - Będę mężem najcudowniejszej z kobiet. Dlaczego miałbym się nie cieszyć?

Kto mu podsunął taki tekst? Niesamowite. Niejeden mógłby mieć wątpliwości, że sam to wymyślił. Schmidt - dodaję sobie otuchy - przecież to mówi twój mężczyzna, już bardzo niedługo twój mąż. To coś niezwykle pięknego. A ty jak reagujesz? Nic dziwnego, że potem mężczyźni odnoszą wrażenie, że nie potrafią powiedzieć kobiecie czegoś naprawdę porywającego.

Christoph ubrał się odpowiednio do okazji w ciemnogrnatowy garnitur. Wygląda tak, że mogłabym go zjeść. Bardzo porządnie i ładnie. Całujemy się. Winszuję sobie wyboru, a potem przychodzi już fryzjer. Facet zażyczył sobie takiej sumy, że musi wyczarować na mojej głowie coś naprawdę fantastycznego. A zrobienie wystrzałowej fryzury z moich włosów to zadanie niełatwe. Są jasne i cienkie, model „spaghetti”. Fryzjer zaczesuje je do góry i pracuje nad czymś w rodzaju wianka z włosów, czyli ekstradodatku do mojego codziennego uczesania.

Claudia jest zdenerwowana. Z okazji uroczystości dostała nową sukienkę. Naturalnie w różowym kolorze. Inne kolory są przez nią nie do zaakceptowania i w tym mogłaby być nie-



odrodną córką mojej przyjaciółki Sabine. O godzinie czternastej jesteśmy gotowi. Pytam sto razy, czy Christoph zabrał obrączki (skromny, gładki model) - zabrał - tak więc firma „małżeństwo” może startować.

Kiedy stoimy w drzwiach naszego domu, zajeżdża zielony jaguar. Za kierownicą mój brat. Stary jaguar typu E. Kto by pomyślał? W dodatku kabriolet w soczystej ciemnej zieleni. Wspaniale przyozdobiony - przód gęsto udekorowany herbacianymi różami. Christoph blednie na widok jaguara.

- Cholera jasna, Andrea, strasznie mi przykro, ale zapomniałem o twoim bukecie. O bukecie panny młodej.

To nie może być prawda! Niemalże codziennie w ciągu ostatnich kilku tygodni przypominałam temu mężczyźnie, aby zamówił coś odpowiedniego do mojej sukienki.

Bez tak zwanej kaszki. Nie było innych życzeń. Po prostu piękny bukiet - to wszystko. Mój bukiet. A teraz o nim zapomniał! Czy to jakiś zły znak? Co powinnam powiedzieć?

- Ślub bez bukietu dla panny młodej nie jest ślubem - zaczynam rozpaczać. - Ja tak nie mogę wyjść za mąż.

Christoph patrzy jak sparaliżowany, a mój brat, który miał nas zawieźć z Claudią na miejsce, uważa, że przesadzam.

- Przecież to takie niepraktyczne - próbuje mnie uspokoić. - Bez bukietu masz przynajmniej wolne ręce.

Męska logika.

- Postaramy się o jakiś w drodze do urzędu - mówi Christoph, bierze mnie za rękę i patrzy skruszony.

Postanawiam nie wprowadzać zamieszania, w końcu to dzień mojego ślubu.

- W porządku - zgadzam się, ale mimo to w duchu jeszcze trochę się złościę. - Pojedźmy najlepiej na stację benzynową, przecież tam najchętniej kupujesz kwiaty - proponuję, żeby dowcipem rozładować sytuację.

- Świetny pomysł, Andrea, tak zrobimy - mówi Christoph, uznając, że mówię poważnie.

Czy on się szaleju napił? Czy naprawdę myśli, że pójdę do urzędu z bukietem ze stacji benzynowej? Mój brat mu przyklaskuje:

- Przecież nie mamy więcej czasu. W urzędzie musimy być punktualnie. Obowiązuje to szczególnie młodą parę.

Mamy dokładnie trzydzieści siedem minut. Czyli tyle, ile potrzebujemy. Nie trzeba więcej niż dziesięć minut na jazdę samochodem, a wystarczy, że będziemy na miejscu pięć minut przed wyznaczoną godziną. Zaczynam liczyć. Pozostały dwadzieścia dwie minuty na znalezienie odpowiednich kwiatów. Teraz należy zachować zimną krew, działać szybko i precyzyjnie. Dyskusje są wykluczone.

- Stefan, jedź teraz na Schweitzer Straße. Tam kupimy bukiet. W tej miłej kwiaciarni, z tyłu, za szkołą. Nie przy szkole Schillera tylko bliżej Freiherr-vom-Stein.

Jeszcze tylko dwadzieścia jeden minut.

- No jedź! - poganiam go.

- Jak panna młoda każe - odpowiada mój przyszły, który oczywiście zajął miejsce za kierownicą i już naciska na gaz.

Kabriolet mknie jak marzenie, choć temperatura na zewnątrz nie jest odpowiednia na jazdę z odkrytym dachem. Mam na myśli zimę. Ale tak lepiej wygląda. Cóż komu po kabrioecie, jeśli dach jest opuszczony? Niestety, także mój wianek z włosów niezbyt dobrze znosi tę jazdę. Głowa tak mi podskakuje, że mam wrażenie, iż jesteśmy na torze saneczkowym. Obydwoma rękami podtrzymuję z trudem ułożoną konstrukcję, która kosztowała sześćdziesiąt siedem euro. Ozdobny wianek z włosów jest więc tylko depozytem i byłoby źle, gdyby poleciał z mojej głowy podczas koszącej jazdy. Wołałabym zamarznąć. Jeszcze tylko dwadzieścia minut. Proszę Christopha, żeby miał na względzie moje włosy.

- Trzeba ustalić priorytety - śmieje się. - Albo włosy, albo bukiet.

Ładnie się zaczyna! Jeszcze nie jesteśmy po ślubie, a on już stawia warunki. Przyciskam włosy dłońmi i liczę na niezawodność fryzjerskiego kunsztu. Za sześćdziesiąt siedem euro konstrukcja powinna przetrzymać przynajmniej krótką jazdę kabrioletem. Za siedem i pół minuty jesteśmy pod kwiaciarnią. Po drodze machają nam zupełnie obcy ludzie, trąbią klaksonami, ile się da, kompletnie nieświadomi, że ten wielki krok jest jeszcze przed nami. Rozkoszuję się tym występem. Czuję się jak królowa. Mogłabym godzinami tak jeździć i machać.

Kwiaciarnia zamknięta. Żałoba w rodzinie. Koszmar! Teraz już naprawdę nie ma wiele czasu. Tu w okolicy jest jeszcze tylko jedna kwiaciarnia. Kwiatowy *discount*.

- Tam kupimy bukiet - proponuje mój pragmatyczny brat.

Oni mają nierówno pod sufitem! Czy ja mam wystąpić w urzędzie stanu cywilnego z pakietem dziesięciu pomarańczowych tulipanów? Może jeszcze w celofanie?

- Nigdy! - decyduję.

Na sprawę rozwodową chętnie, ale na ślub nie. Claudia marudzi. Ona woli jechać kabrioletem. Uciszam ją:

- Później. Teraz pojedziesz ładnie ze Stefanem.

Na to naprawdę nie mamy czasu. Zostało jeszcze tylko trzynaście minut na zakup bukietu. Musi się udać. Chciałabym usiąść na krawężniku i zawyć. Czy w moim życiu nic nie może normalnie funkcjonować? Czy możemy zacząć ten dzień od nowa?

- Andrea, jeśli chcesz wyjść za mąż, powinniśmy jechać już do urzędu - z bukietem lub bez niego - usiłuje przemówić do mnie Christoph.

Mój brat też chce już jechać.

- Pojadę pierwszy i uspokoję cały klan - mówi, pakuje mrużącą z niezadowolenia Claudię do samochodu i odjeżdża.

Christoph opiera się o kabriolet i sapie. Tak jakby całe zamieszanie było z mojej winy. Ale kto zapomniał o kwiatach? Nagle twarz mu promienieje i odczepia parę róż z maski samochodu.

- Czy one nie pasują idealnie do twojej sukienki? - wciska mi je do ręki.

I rzeczywiście - jeśli chodzi o kolor, nie mogę im nic zarzucić.

Trzy dorodne kremowe róże. Bardzo ładne.

- Czemu nie... - mamrocę pod nosem - po ślubie dostanę jeszcze parę kwiatów do ręki.

Christoph wygląda, jakby mu kamień spadł z serca, gdyż udało mu się wyjść cało z opresji numer jeden. Siedem minut przed wyznaczoną godziną ślubu zajeżdżamy przed urząd. Po drodze, w iście artystyczny sposób, ściągnęłam podwiązkę z pończochy i przewiązałam nią kwiaty. Nie mam przynajmniej w ręku luźnej wiązanki. A jeśli chodzi o szczęście, nie ma to chyba większego znaczenia, gdzie znajduje się podwiązka. To tylko dekoracja. Nie noszę pończoch bez podwiązek. Przy moim szczęściu zsunęłyby mi się w decydującym momencie i wisiały w okolicy łydki.

Ale Heike, moja przyjaciółka z Monachium, powtarzała mi wystarczająco często, że powiedzenie: *something old, something new, something borrowed, something blue* przy okazji ślubu należy wziąć sobie do serca. Mogłabym w zasadzie sama być uosobieniem *something old*, nowa jest moja sukienka, podwiązkę pożyczyłam, a ponieważ nic innego nie wpadło mi do głowy, włożyłam niebieskie majteczki.

Pięćdziesiąt minut później jest już po. Jestem zameżną, czcigodną kobietą. Wycisnęłam naturalnie z siebie dwie, trzy łezki i czuję się wspaniale. Nie inaczej niż przed dwiema godzi-

nami, ale wspaniale. Zdecydowanie. Obrączki pasują, wszyscy się wzruszyli (przede wszystkim moja teściowa, która szlochała i pociągała nosem niczym pies policyjny na tropie), a teraz stoimy w deszczu ryżu przed urzędem. Moja fryzura nie wygląda już tak jak na początku, ale upojona szczęściem, nie potrafię się, niestety, przejmować takimi głupstwami.

Fotograf pstryka zdjęcia jak szalony i teraz można rozpocząć prawdziwą zabawę. Na ostrym, zimowym powietrzu, ale w jasnych promieniach słońca pijemy szampana. Ja też pozwalam sobie na małą lampkę i proszę malucha w moim brzuchu o wyrozumiałość. Każdy z każdym wymienia serdeczności. Moja teściowa Inge bełkocze co chwilę:

- Witamy w rodzinie, wreszcie należymy do jednej.

Dla niektórych ludzi ślub jednak coś zmienia. Tak jakby jej wnuczka stała się dopiero od dzisiaj jej prawdziwą wnuczką. Ale dziś mi to obojętne - jeśli tylko sprawia jej to przyjemność.

Nasi przyjaciele rozciągają przed nami prześcieradło, a my jednymi nożyczkami musimy wyciąć serce i przejść na drugą stronę. Mamy też przepiłować razem pieniek. Nie przepuścimy najgłupszego weselnego zwyczaju. Nie mogę nie zadbać o swoje szczęście! Jeśli coś przynosi szczęście, musi się odbyć!

Wszyscy chwalą moją sukienkę. Myślę, że będzie fantastyczne wesele. Rzucam mój wymyślony na poczekaniu bukiet ślubny, celuję w Sabine, która z wielką chęcią wyszłaby za mąż, ale moja siostra staje na drodze i chwyta go. Jej mąż spogląda surowym wzrokiem. Kurt, mój szwagier, uważa, że to wcale nie jest zabawne.

- Jak mam to niby rozumieć? - krzyczy, a wszyscy dookoła są lekko skonsternowani.

- Ty nic nie musisz rozumieć - Birgit broni się dziarsko. - Generalnie jest to twoja specjalność.

Wydaje się, że ci dwoje są w wyśmienitym humorze. Moja siostra, zwykle poddana swojemu małżonkowi, okazuje nagle sprzeciw. Chciałabym zawołać: Tak trzymaj! Udaje mi się jednak opanować i tym samym nie psuć ogólnego nastroju.

Następuje przerwa. Chwila na złapanie głębszego oddechu przed wieczorną hulanką. Pędzimy jaguarem do domu, a za sobą ciągniemy około piętnastu puszek po coli light. Christoph się śmieje i cieszy - czy to jazdą jaguarem, czy ślubem - a w domu ciągnie mnie prosto do sypialni.

- Czy mógłbym szybko schrupać moją żonkę? Chata wolna - nagabuje mnie.

Claudia jest u babci. Owszem, miałabym ochotę, ale wstyd się przyznać - obawiam się o moją fryzurę. Przede wszystkim dlatego, że Christoph należy do mężczyzn, którzy mocno zajęci są przy głowie, podczas gdy pracują dwa piętra niżej.

- Mój wianek - ociągam się.

- Pieprzyć to - mówi lekko, ale jako argument jest to za mało. - Poprawię ci potem tę pierdółkę, jeśli się osunie - oferuje ochoczo.

- Nie mogę się na tym położyć, a nie chcę polegać na twoich fryzjerskich umiejętnościach - odpieram.

- A kto powiedział, że musisz leżeć? - mruczy i mamy swoją małą, miłą chwilkę zapomnienia po południu.

Fryzura nie jest może zupełnie nienaruszona, ale ten numerek był tego wart.

- Zostaw sobie coś na dzisiejszą noc poślubną - napominam go tymczasem, a on obiecuje mi wszystko.

Także wieczorem wkładam swoją nową sukienkę. Taki ciuszek musi się przecież zamortyzować. Krótco przed wyjściem do restauracji Giovanniego Christoph wyciąga małe pudełeczko z kieszeni. Małe i w turkusowym kolorze. Tiffany!!! Hurra!!! Pierścionek. Do włożenia na palec przy obrączce. Z małymi diamencikami dookoła. Okay, z dość małymi, ale ponad wszelką wątpliwość są to diamenty. Brylanciki. To przepiękny i bardzo gustowny pierścionek. Wyszukał go bez niczyjej pomocy. Nawet pasuje. Mogłabym zawyć, i właśnie to robię. Ze szczęścia! Nasz popołudniowy program jeszcze raz potwierdził, że mój wybór był znakomity. Mam wyśnionego męża. Świat jest moim przyjacielem.

Giovanni dotrzymał słowa i jedzenie było fantastyczne. Mój ojciec wygłosił przemowę - wypowiedział pod moim adresem tyle miłych słów, że aż sama się zdziwiłam. Już jestem na rauszu. I w amoku szczęścia, chociaż nie odpakowałam jeszcze ani jednego prezentu. O wpół do trzeciej obsługa rozpoczyna porządkowanie sali. Czuję się wykończona. Jeszcze raz przepraszam dziadziusia za te trzy kieliszki wina i już się cieszę na bogato zaścielane łóżko w hotelowym pokoju. W głębi duszy jestem nawet zupełnie zadowolona, że przełożyliśmy noc poślubną na dzisiejsze popołudnie.

Teraz ja zaskoczę Christopha. Spędzimy noc w luksusowym hotelowym apartamencie. Żeby nie zepsuć nam wieczoru, Giovanni proponuje przesłanie rachunku pocztą. Jakie to eleganckie z jego strony. Ach, ci Włosi, to naprawdę wytworny naród! Dobre jedzenie, przystojni

mężczyźni - może czasami zbyt niscy - naprawdę godni uwielbienia. Christoph nie chce odwlekać zapłaty rachunku. Nie jest typem kredytobiorcy ani zwolennikiem rat.

- Załatwię to teraz - mówi niczym światowiec i delikatnie wypycha mnie z lokalu.

Na zewnątrz czeka jego przyjaciel Jörn, któremu powiedziałam „cześć” przed piętnastoma minutami na pożegnanie.

- A co ty tu jeszcze robisz? - dopytuję się.

- Czekam na ciebie - odpowiada i wydaje mi się to bardzo śmiało.

Nie, żeby nie pochlebiała mi jego propozycja, ale bezpośrednio po ślubie być nagabywaną przez prawie najlepszego przyjaciela męża? Z jego strony to akt wielkiej śmiałości. Jörn byłby może i wart malutkiego grzeszku, ale dziś nie mam nań najmniejszej ochoty.

- Jörn, wpadnij za jakieś dwadzieścia pięć lat, wtedy może... - próbuję zbyć go w miarę elegancko.

Patrzy na mnie zdumiony.

- Andrea, jesteś chyba porządnie padnięta. Ja nie robię nic innego, tylko wykonuję polecenie.

Jörn wydaje się lekko dotknięty. Teraz jestem trochę rozczarowana. Pochlebiałoby mi, gdyby całkiem przystojny mężczyzna podrywał mnie w moim stanie - po ciężkim dniu, z kompletnie osuniętym ozdobnym wiankiem we włosach. Z drugiej strony - cóż to byłby za przyjaciel?

Lokuje mnie w swoim samochodzie, zawiązawszy mi wcześniej oczy.

- Poczekaj Jörn, ja nie chcę! - protestuję - mam na dziś pewne plany!

- Andrea, Christoph powiedział, żebym w żadnym wypadku nie słuchała, co masz do powiedzenia, i nie wierzył w ani jedno twoje słówko. Oszczędź więc sobie gadaniny.

Christoph uważa, że Jörn jest absolutnie niezawodny i ciężko go na coś namówić albo do czegoś przekonać. Grzecznie więc poddaję się losowi. Może Christoph ma gdzieś jeszcze ukryty prezent i chce mnie przetransportować do miejsca jego wręczenia. Albo może zawiozą mnie na lotnisko i jednak polecimy w podróż poślubną? To musi być to! Zarezerwował podróż na Karaiby! Piaszczysta plaża... Mam nadzieję, że pomyślał o złożeniu wniosku urlopowego. A co będzie z Claudią?

- Jörn, a gdzie będzie Claudia w tym czasie? - pytam szybko.

- U babci - odpowiada krótko. To bardzo miło ze strony mojej mamy.

Jestem doprawdy wzruszona. Mam nadzieję, że zapakował mi coś odpowiedniego do ubrania. Ale co tam! Wszędzie można coś kupić w razie potrzeby.

Zatrzymujemy się i Jörn wyciąga mnie z samochodu. Dochodzą mnie dźwięki jakby z lotniska. Dostaję rajzefiber. W tym momencie wyglądam chyba na kompletnie wytraconą z równowagi, ale pannie młodej szybko się wybacza. O niebiosas, żeby tylko zabukował biznes class! Z moim brzuchem dziesięć godzin w klasie turystycznej, gdzie traktują cię jak worek kartofli? O nie, zdecydowanie nie jest to moim marzeniem!

- Jörn, mam nadzieję, że Christoph zabukował coś porządnego? - zdobywam się na odwagę i próbuję zaspokoić ciekawość.

- No jasne, Andrea. Coś najlepszego.

Nie chcę niczego nadinterpretować, ale zabrzmiało to jak first class. Prawdziwy cud! Przecież zawsze twierdził, że podróż pierwszą klasą to absolutna rozrzutność. Lepiej przecierpieć pięć godzin skurczów w nogach niż płacić podwójnie. „Nawet gdyby było mi to kompletnie obojętne, można przecież oszczędzić te pieniądze” - chętnie powiada, kiedy na tapecie jest właśnie planowanie podróży. W przypadku lotu do Hamburga mogę przyklasnąć jego argumentacji, ale przy dłuższej podróży wolałabym coś wygodniejszego. Zabawne, ale nie słyhać lotniskowych komunikatów. Z drugiej strony to normalne o tej porze. Ranne samoloty startują zwykle dopiero koło piątej, a wcześniej obowiązuje zakaz lotów. Zostaję wciśnięta w krzesło i muszę spokojnie siedzieć.

- Tylko nie podglądaj - warczy na mnie Jörn.

Jestem posłuszna. Potem jedziemy windą. Prawdopodobnie z parkingu na terminal. Drzwi. Mogę wreszcie otworzyć oczy. Stoję przed Christophem. Jörn ulotnił się w jednej chwili.

- Ale to przecież nie lotnisko. - Mam złe przeczucie.

- Skarbie, co to za powitanie? - obejmuje mnie mój mąż (jak to szalowo brzmi: mój mąż).

- Jesteśmy w Kempinski Gravenbruch. Nikt nic nie mówił o żadnym lotnisku, prawda?

Cholera jasna. Ten mężczyzna miał dokładnie taki sam pomysł jak ja.

- Nie, to nie tak - jąkam się.

Pokój jest bardzo ładny. Duży, piękny pokój dla dwóch osób. Ale nie apartament. Co ja teraz zrobię? Jestem potwornie zmęczona, najchętniej rzuciłabym się na poduszki, ale świadomość, że około piętnaście kilometrów dalej czeka na nas pałacowy apartament, nie daje mi

spokoju. Apartament za sześćset siedemdziesiąt euro za noc. Noc, której przynajmniej połowę mamy za sobą. Fatalna sprawa.

- Skarbie, to wszystko jest wspaniałe, ale zaplanowałam właściwie coś innego - zaczynam ostrożnie wyjaśniać sytuację.

- Upierasz się, żeby spać dzisiaj w domu? Czy wraz ze ślubem stałaś się domatorką? - dziwi się Christoph.

- Nie, ale we Frankfurter Hof czeka zarezerwowany dla nas apartament. Ode mnie. Niespodzianka dla ciebie. Musimy już tam jechać.

Oczekiwałam okrzyków radości, ale Christoph się tylko naburmuszył.

- Misiaczkule, odwołaj. To naprawdę słodkie z twojej strony, ale jest już cholernie późno. Mam dosyć. Chodźmy do łóżka i zapomnijmy o apartamencie.

Uważam, że to głupi pomysł. Nie tylko dlatego, że zapłaciłam z góry.

- Apartament jest o wiele ładniejszy i większy - obwieszczam triumfalnie.

Widzę, że Christoph jest już trochę rozzłoszczony.

- Wsio ryba o tej porze, czy jest większy, czy mniejszy. Chcesz się bawić w kotka i myszkę? Mamy tu fantastyczne łóżko i ja na pewno zaraz się tam pakuję.

Tak nie będzie! To śmierdzi pierwszą awanturą świeżo upieczonych małżonków. Dlaczego moja niespodzianka jest mniej warta niż jego? Mogłabym przełknąć „nie”, ale tak kategorycznej odmowy absolutnie nie przyjmuję. Dziś w nocy może nastąpić punkt zwrotny w naszym związku. Jeśli powiem „tak, kochanie” i wślizgnę się posłusznie do łóżka, na długo postawię się na straconej pozycji. Andrea Schmidt, choć świeżo po ślubie, tak szybko nie daje za wygraną.

- Sądzę, że powinniśmy pojechać do Frankfurter Hof. I to zaraz. Chcę do łóżka usłanego płatkami róż - jeszcze raz daję mu możliwość zmiany decyzji.

Mój mąż rozbiera się niewzruszony i wskakuje do łóżka.

- Chodź już, bądź dobrą żoną - mruczy i podnosi kołdrę.

Wyraźnie poślubiłam zakamuflowanego macho. Brawo, wiesz! Zapowiada się to diabelnie dobrze.

- Nic z tego - trwam w postanowieniu. - Jadę do Frankfurter Hof.

Za groźbą musi iść czyn. Chwytam moją torebkę i otwieram zamek dwuosobowego pokoju. On daje susa za mną i zupełnie goły stoi w hotelowym korytarzu.

- Andrea, bądź rozsądna. Przecież to bzdura! - krzyczy przez korytarz.



Bądź tu rozsądna. Tego właśnie zabrakło. Przed hotelem wskakuję w pierwszą lepszą taksówkę i pędzę, odprowadzana zdziwionymi spojrzeniami nocnych portierów.

Wzbudzam zdziwienie także we Frankfurter Hof.

- Oczekiwaliśmy pani trochę wcześniej, pani Schmidt - wita mnie konsjerż. - Na początek najlepsze życzenia - mówi dalej i potrząsa moją ręką.

Najchętniej krzyknęłabym: „Niech pan oszczędzi sobie życzeń, jestem krótko przed rozwodem!” - powstrzymuję się jednak.

- A gdzie jest małżonek? - mężczyzna już na wstępie zapuszcza się na teren mocno zaminowany.

- Przyjdzie później - to musi mu wystarczyć jako wyjaśnienie, chociaż jestem w takim nastroju, że najchętniej rzuciłabym się temu, jeszcze przed dwoma minutami nieznanemu, mężczyźnie na szyję i wyłakała na piersi, wyjąc wniebogłosy.

Jestem głupia. Głupia jak but. Ależ urządziłam dramat! W końcu Christoph chciał mi zrobić tylko miłą niespodziankę. A ja, w podzięce, wszczynam rewoltę. Zrzucę winę na moje zmęczenie. I na ciężę. Kiedy docieram na miejsce, wpadam w zachwyty. Dwuosobowy mały pokój Christopha może się schować. Ten apartament jest przepyszny. Trochę przyblakłe ściany nadają mu jeszcze wytworności. A łóżko - delikatnie podświetlone i pokryte płatkami róż. W tym łóżku spali już rzekomo Bill Clinton i Boris Becker. Ale pomimo tego kwiecica nie jest to łóżko, do którego łatwo mi wpuścić własnego faceta. Nie chciałabym, żeby intymne zachowania wielkich tego świata stały się częścią mojego codziennego życia. I na co mi płatki róż i apartament bez Christopha? Na nic! Czuję się paskudnie. Strasznie paskudnie. Pakuję tylko parę belgijskich pralinek do torebki i zanim zdążę przetestować łóżko, robię zwrot w kierunku hotelowego wyjścia.

Jesteś wielka, Schmidt! - chwalę samą siebie. O wpół do czwartej wsiadam w taksówkę i przepełniona smutkiem, zmieszany z odrobiną skruchy, wracam do swojego męża. Taksówkarz zaniemówił. To ten sam, który wiozł mnie z Gravenbruch do Frankfurter Hof.

- Stałem tutaj przed hotelem i okazuje się, że w nocy we Frankfurcie jest piekielny ruch - wita mnie. - Dobrze, że panią jeszcze raz widzę, bo znalazłem coś i nie mam pewności, czy to należy do pani.

Trzyma w ręku mój ozdobny wianek. Kiwam potakująco głową i czuję, że zaraz się rozpłaczę. Zauważył, że nie jestem w najlepszym nastroju.

- Coś nie poszło dziś wieczorem? Gdzie mam teraz zawieźć miłą panią? - pyta bardzo uprzejmie.

- Z powrotem, szybko. Do Gravenbruch. Do Kempinskiego - jąkam się.

- Już się robi - wciska porządnie pedał gazu i grzecznie powstrzymuje się od komentarza.

I niech ktoś powie, że frankfurczycy są nieczułymi, surowymi gamoniami. Od tego mężczyzny wielu mogłoby się czegoś nauczyć. Dokładnie jedenaście minut później jesteśmy na miejscu i kiedy chcę płacić, taksówkarz mówi:

- Niech pani zostawi. Tak nieszczęśliwej panny młodej dawno nie widziałem. Leć i doprowadź swoje życie do porządku - przeszedł na „ty”. Mam szczęście. Nie starczyłoby mi pieniędzy. Muszę zaproponować jego kandydaturę do niemieckiego Krzyża Zasłużonych.

- Gdybym nie była już zajęta, mogłabym się w panu łatwo zakochać - mówię i wyskakuję z taksówki.

Przebiegam szybko przez hall i pędzę do windy. Pokój 504. Pukam. Najpierw nieśmiało, potem mocniej. Cisza. Jeśli Christoph śpi, to śpi na amen. Jestem uparta i pukam dalej, aż kobieta z 503, z naprzeciwka, wystawia głowę zza drzwi. Jest wściekła.

- *It's four o'clock in the morning* - gdera i patrzy tak, jakbym miała trzy lata i nie potrafiła samodzielnie odczytać godziny na zegarku.

- *My husband* - próbuję się tłumaczyć. - *He is in this room. We just married today. And now he sleeps and does not hear me.*

Dobrze, że mój nauczyciel angielskiego nie słyszy tego bełkotu.

- *I need to sleep and you should ask at the desk, maybe he is ill or dead.*

Dobry Boże, ale zacięta! Natomiast pomysł, aby poprosić na dole o otwarcie pokoju wydaje się *clever*. Mówię: *Sorry*, a łaskawa pani znika wraz ze swoim ślicznym neglizem w pokoju.

W recepcji wszyscy są bezradni.

- Pani mąż wyszedł przed około piętnastoma minutami. Zapłacił i wyszedł.

Myślą pewnie, że obydwójce jesteśmy stuknięci. Na sto procent pojechał do Frankfurter Hof. Ale jeśli tam pojedę, on zapewne w tym samym czasie będzie jechał tu z powrotem. Którś z nas musi to skończyć. Postanawiam być rozsądna, zostać w dwuosobowym pokoju i poczekać, aż Christoph znowu się tu pojawi. Ktoś powiadomi go we Frankfurter Hof, że jestem tutaj, i najpóźniej za godzinę powinien tu być. Mogłaby to być zmieniona wersja *Żurawia i czapli*.

- Gdyby był pan tak miły - proszę nocnego portiera - i zadzwonił do Frankfurter Hof, aby ktoś przekazał mojemu mężowi, że czekam tutaj.

Jest zirytowany. Wcale się nie dziwię. Też pomyślałabym, że dwoje schizofreników ma dzisiaj wychodne. Portier obiecuje mi jednak, że zadzwoni. Bez zbędnych pytań. Nocą mają tu pewnie zazwyczaj do czynienia z innym rodzajem spraw. Wlokę się znów do pokoju i kładę do łóżka. To jest ostatnia rzecz, którą sobie przypominam z mojej nocy poślubnej.

O wpół do dziesiątej budzi mnie Christoph, otwierając drzwi pokoju.

- A ty gdzie byłeś? - pytam zakłopotana.

- Zasnąłem w apartamencie - przyznaje się.

Mały płatek róży w jego włosach świadczy, że mówi prawdę. Kiedy nie było mnie w apartamencie, pojechał do naszego domu. A potem znowu do apartamentu. Tam położył się na próbę i obudził dopiero dziś rano z kacem, całkiem wymiętoszony.

Obydwoje śmiejemy się. Noc jak z horroru.

- To była próba generalna, Andrea. Musiała się nie udać, żeby premiera poszła już dobrze.

Jemy śniadanie. Najpierw w Kempinkim, a potem we Frankfurter Hof. Nic nie może się zmarnować.

Tak wyglądała nasza pamiętna noc poślubna. Bardzo kosztowna i bez krzty seksu. No ale mamy przecież przed sobą całe życie.

À propos czasu. Jeszcze tylko trzy dni dzielą mnie od urodzin Christopha, a ja właściwie niczego nie przygotowałam. Oprócz bonu na prezent i naprawdę złego humoru. Kiedy dzieci znajdą się wreszcie w łóżkach po fatalnym wypadzie do Ikei, zacznę coś planować. Dzieciom nie podoba się jednak pomysł pójścia do łóżka i odstawiają cyrk. Mark chciałby pochwalić się jeszcze raz nowym, świeżo wykąpanym mieczem, a Claudia jest głodna. Nic dziwnego, köttbullar wyłądował na tapicerce samochodu. Oprócz tego chcą poczekać, aż Christoph wróci z pracy. Jestem bliska obłądu. Dlaczego nikt się nie pojawia i mnie nie wybawi? Nie schwyta moich dwóch zbuntowanych bestyjek i nie usunie ich z mojego otoczenia? Grozę, klnę i nachodzi mnie naraz ochota sprzedania dzieci na eBay-u. Niech się inni też pomęczą.

Wyciągam cyfrówkę i fotografuję dzieci. Łapię je w momencie, gdy wyglądają zupełnie milutko. Jeśli się nikt dokładnie nie przygląda. Perfekcyjnie! Teraz do internetu. Zobaczymy, jakie opinie zbiorą na eBay-u. Jasne - wiem, że nie można licytować dzieci. Tak naprawdę wcale tego nie chcę, bo, prawdę mówiąc, bardzo je kocham i wsadziłam w ich wychowanie

mnóstwo czasu, pieniędzy i pracy. Ale taka zabawa niezwykle mnie uspokaja. Fajnie czasem być wstrętnym - choćby tylko w myślach. Nikt nie chce pokazywać złej strony swojej natury, więc okazja, żeby się wyżyć, pojawia się wyjątkowo rzadko.

Redaguję, tak tylko dla siebie samej, zabawny tekst, w którym jedynie wytrawni rodzice potrafią rozszyfrować werbalne znaki ostrzegawcze:

para rezolutnych dzieci - rodzeństwo (prawie 6 i prawie 3 latka); ciekawskie i pełne energii, żadne wiedzy i skore do czynu poszukują na dłuższy czas miłego, życzliwie nastawionego domu; żelazne nerwy będą dużą zaletą, cena wyjściowa: 1 euro.

Tak mogłoby pójść w net. Sama myśl, że ktoś byłby gotów zlicytować moje dzieci, wprowadza mnie w stan odprężenia. Jeśli Christoph nadal będzie się tak nieznośnie zachowywać, może dołączyć do ich towarzystwa. Zgodnie z mottem: *Take two, get one free*. I tu szybko nasuwa mi się odpowiedni tekst:

małżonek, używany, ale nie bez zalet,  
z dobrą posadą i eleganckim bmw  
szuka nowego domu; potrzebuje regularnych ciepłych  
posiłków i dużo miejsca na swoje akta.  
Drobne radości współczesnych matek.

Kiedy tak surfuję po internecie, dostrzegam powalającą z nóg torebkę i mam już inny priorytet. Przerywam wyprzedaż rodziny i poświęcam się polowaniu na torebkę. Jest to jedna z „Kelly Bag”. Symbol statusu pięknych i bogatych. Nie zaliczam się wprawdzie ani do pięknych, ani do bogatych, ale jeśli miałabym się taka stać, na pewno potrzebuję odpowiedniej torebki. Niestety, obiekt mojego pożądanego jest też dostępny dla innych. Pojawia się jeszcze paru wirtualnych chętnych, którzy z radością weszliby w posiadanie przynajmniej namiastki władzy, jaką daje „Kelly Bag”. Torebka została już wyceniona na dwieście siedemdziesiąt trzy euro. Nie można tego nazwać okazijną ceną, ale każde dziecko wie, że jakość kosztuje. Także na eBay-u. Daję trzysta trzy euro i w tym momencie ja oferuję najwięcej. Super! Wpływa to genialnie na mój nastrój. Pozwalam dzieciom nie spać i poczekać na tatę. Najważniejsze, żeby teraz nie spuścić z oka torebki. Aukcje na eBay-u przypominają prawdziwe życie. Trudno jest uwierzyć, że zostaniesz numerem pierwszym, a tu w końcu się udaje. Nie zdążysz się obrócić, a już ktoś kogoś wyprzedził. Ostatnim razem ktoś mnie ubiegł dwie minuty przed końcem licytacji. „Zajęczefuterko457” przelicytowało mnie marnymi dwoma euro. A to lisica! Na pewno daleko jej do zajęczego futerka, które brzmi zbyt miłutko. To musiała być niezwykle przebiegła

użytkowniczka eBay-a. Cicho siedziała aż do samego końca, a potem bum! - pojawia się znikąd i porywa kostium od Jil Sander. Ciemnobrązowy tweedowy kostium. Niespotykane elegancka rzecz. Na eBay-u można nauczyć się nienawidzić. Przede wszystkim wtedy, kiedy chodzi na przykład o taki właśnie kostium. Przy torebce nie powtórzę tamtego błędu. Po dzisiejszym dniu mam palącą potrzebę sukcesu. Można powiedzieć, że torebka jest już w moim posiadaniu. Jeśli ją dostanę, będę miała udaną resztę tygodnia.

Christoph przychodzi do domu. Zostawiam włączony komputer i jestem względnie odprężona, ponieważ za dwie godziny i czterdzieści cztery minuty stanę się posiadaczką „Kelly Bag”, przedmiotu bezbrzeżnej zazdrości wszystkich kobiet dookoła. Christoph nie wygląda na takiego, który ma dobry humor. Ale dlaczego miałby mieć lepszy humor niż ja? Mark naskakuje na ojca z mieczem.

- Nowy! - krzyczy.

Christoph podziwia miecz i mruży pod nosem coś jak: Cześć wszystkim. Jego twarz wygląda tak, jakby starał się poprzez jej mimikę wyrazić przeciwieństwo ekstazy.

Postanawiam być miła i od razu nie zrzędzić. Myślę o swojej liście i mówię:

- Jak ci minął dzień? - Wymuszam nawet uśmiech.

- Chcesz to naprawdę wiedzieć, Andrea? - pyta mnie głosem, w którym da się słyszeć groźną nutę. - Patrzę na niego badawczo i decyduję się na „nie”.

Moja odpowiedź guzik go obchodzi. Rzuca:

- Spędziłem dzisiaj minimum trzy bite godziny na wyjaśnianiu wszystkim ludziom, których znam, dlaczego moja żona jeździ na gapę.

Mam wielką ochotę krzyknąć! Sto razy wolałabym sprzątać wymiociny dzieci ze szczelin tapicerki samochodowej niż tego wysłuchiwać. Udaje mi się jednak trzymać buzię zamkniętą. Wzruszam ramionami i mówię tylko:

- Mam coś do zrobienia.

- Ach, madame ma coś do zrobienia! Aha! Ale byłoby miło, gdybyś w najbliższym czasie powstrzymała się od jazdy tramwajem. Jeśli ci się uda. I jeśli to możliwe, również od występów w telewizji. Langner z kancelarii nie był za bardzo ubawiony. I wyjątkowo muszę przyznać mu rację.

Aha, ten doktor Langner. Wielki bóg kancelarii zaszczycił słowem mojego męża. Toż to cud! I jeszcze zrobił mu burę. Jakaż to obelga! Biedny Christoph!

- Chleb i coś do smarowania są w kuchni, a dzieci pewnie też chętnie wezmą coś na ząb. Życzę miłego wieczoru - kończę tę krzepiącą rozmowę.

Co on mi może!? A jednak może. Jestem tak podminowana, że od jutra jeździłabym najchętniej tylko na gapę. I za każdym razem przedtem informowałam o tym RTL. Dobry Boże, ależ on stroszy piórka! Nawet nie przyszło mu do głowy, żeby zapytać, jaki miałam dzień. I ja temu ignorantowi zamówiłam dzisiaj fotel pierwsza klasa. Aleś ty głupia, Schnidt! - ganię się i idę w stronę komputera. Komputer stoi w piwnicy. To kawał drogi. Jestem ciekawa, jak Christoph sobie poradzi z zaciągnięciem dzieci do łóżek. Ja wypadam z zabawy. W każdym razie do jutra rana.

Cena torebki podskoczyła tymczasem do trzystu dziewięćdziesięciu ośmiu euro. Która to taka szalona? Jej eBayowski *nick* to „superelegancka”. Trzysta dziewięćdziesiąt osiem euro. To prawie osiemset marek! Za jedną jedyną torebkę. Waham się. Ale „Kelly Bag”, oryginalna „Kelly Bag”, kosztuje zwykle około cztery tysiące euro.

Jeśli się taką dostanie. Tworzy się nawet listy oczekujących. Wstukuję czterysta dwadzieścia dziewięć euro, wyobrażam sobie zdębiałą „superelegancką” i klikam na „oferuję”. Tak, zapowiada się postny miesiąc.

Potrzebuję pożywki dla swoich nerwów i wołam w stronę kuchni:

- Możesz zrobić mi też dwie kanapki?

Nie ma odpowiedzi. Bardzo proszę. Brak odpowiedzi jest też odpowiedzią. Idę więc sama zrobić coś do jedzenia. Kuchnia jest pusta. Tylko resztki masła na desce do krojenia i brudne talerze świadczą, że ludzie spożywali tu posiłek. Robię sobie trzy kanapki. Z nutellą. I jeszcze krótkie spojrzenie na swoją listę:

Chcę:

- więcej napięcia
- więcej seksu
- więcej uznania
- mieć szczuplejsze uda
- mieć fantastyczny nastrój

I wszystko szybko, proszę. Bardzo szybko.

Nie ma seksu, nie ma uznania, ani śladu po fantastycznym nastroju, a jeśli zjem jeszcze kanapki z nutellą, mogę pożegnać się z wizją szczuplejszych ud. A już na pewno dzisiejszego

wieczoru. Czy dziecięce wymiociny i kupę w basenie z kulkami można zaliczyć do punktu „więcej napięcia”? Mam wątpliwości.

Ale moje ciało, a przede wszystkim moja dusza potrzebują teraz tych kanapek. Uda chudsze czy uda grubsze - obojętne. Za niecałe dwie godziny stanę się właścicielką torebki. By odwrócić uwagę, spoglądam kątem oka w telewizor. Nawet program telewizyjny jest bezna-  
dziejny. Christoph tupie nogami na schodach. Demonstracyjnie.

Schodzi do piwnicy. Chyba nie będzie musiał zasiać do komputera? Jak w panice, biegnę za nim. Tymczasem Christoph siedzi już przy biurku.

- Nie, tak nie będzie - mówię tylko. - Ja tam teraz siedzę.

- Słucham? - odpowiada. - Siedzisz właśnie przed telewizorem, ale jednocześnie jesteś przed komputerem?

- To w związku z twoimi urodzinami - kłamię, bo „Kelly Bag” nic go przecież nie obchodzi.

- Czy na urodziny mam dostać torebkę? - pyta zdumiony. Niestety, odkrył już najwidoczniejszą stronę eBay-a.

- Nie, i nie bądź taki ciekawski - kłamię dalej.

Chociaż, tu wcale nie skłamałam. Sądzę, że ta torebka rzeczywiście nie jest dla niego. Bardzo niechętnie sprząta biurko.

- Muszę jeszcze trochę popracować, Andrea. Byłoby więc miło, gdybym jednak mógł tu usiąść.

Obiecuję, że będzie mógł. Tak czy inaczej za dokładnie trzydzieści sześć minut wyjaśni się kwestia torebki, a w przyszłości zawsze mogę się upierać, że zamówiłam fotel przez internet. Jeśli w ogóle o to zapyta.

Cholera jasna, ciągle nie jestem w czołówce oferujących. „Superelegancka” zaczyna mi działać na nerwy. Torebka osiągnęła już cenę czterystu siedemdziesięciu euro. Więcej niż pięćset euro byłoby kompletnym szaleństwem - ustanawiam sobie granicę, dopóki mój umysł goni jeszcze resztką rozsądku. Wstukuję czterysta dziewięćdziesiąt osiem euro. Uff! znowu jestem na czele. A gdzieś w Niemczech siedzi inna kobieta i sapie ze złości. Tak, „superelegancka”, tak szybko mnie nie pokonasz. Zdaje się, że tylko my dwie bierzemy udział w tym wyścigu. Zaczyna się końcowa bitwa o torebkę. W zasadzie to durne. Byłoby o wiele sprytniej, gdyby się wiedziało, kim jest ta druga osoba. Wtedy można by się jakoś umówić przez telefon,

zamiast wzajemnie wpędzać w bankructwo. W sumie śmieszne, ale własna pożądlivość rośnie wprost proporcjonalnie do pożądlivości innych.

Kupiłam już raz kiedyś sandały tylko dlatego, że inna pani bardzo chciała je mieć. Była ostatnia para i właściwie o całe pół numeru na mnie za mała. A jednak dałam się złapać. Czasami nie jestem zbyt wspaniałomyślna. Muszę nad sobą popracować. Pięćset piętnaście euro. „Superelegancka”, ty zmij! A ty, Schnidt, wyłącz komputer, pięćset euro to absolutna granica. Z drugiej strony, dać się pokonać z powodu piętnastu euro? To byłoby zbyt głupie. Pierwszorzędnie windujemy cenę w górę. Przy cenie pięćset osiemdziesiąt siedem euro mam wilgotne palce i muszę uważać, aby nie zmoczyć klawiatury. Jeszcze tylko cztery minuty. Jestem pierwsza także minutę przed zakończeniem. Zaraz mogę zakrzyknąć: trzy - dwa - jeden - moja! Pokonałam „superelegancka”! Prawie mi jej żal, ale w tym momencie ja bardziej potrzebuję torebki niż ona. Dla swojej psychiki. Muszę uzgodnić ze sprzedawcą, że na druku przelewu nie napiszę hasła „Kelly Bag” czy „torebka”. Nie mam ochoty na domowe dyskusje. Może wpiszę „odzież dziecięca”? Albo „sprzęt kuchenny”? Christoph i tak nie ma o tym pojęcia. Ale, ale! Co tu się dzieje? Odzywa się mój komputer. Najwięcej oferuje teraz niejaki „Coolman”. Kim jest ta przebrzydła, wyrafinowana istota? Przypuszczalnie jakiś facet. Co on chce zrobić z moją „Kelly Bag”? Pięćset dziewięćdziesiąt trzy euro i jeszcze tylko parę sekund zostało do końca. Christoph woła:

- Andrea, ja naprawdę pilnie potrzebuję usiąść przy komputerze, pozwolisz mi?
- Zaraz! - krzyczę. - Teraz nie mogę!

Wstukuję sześćset jeden euro. W momencie, kiedy potwierdzam, licytacja dobiega końca. Wygrał „Coolman”. Najchętniej pojechałabym teraz do „supereleganckiej” i z majstrowała wspólnie mały zamach na „Coolmana”. To doprawdy bardziej niż nie *fair*. Podśmiewający się ten trzeci, subtelny i wyrafinowany. Jacy okropni mogą być ludzie!

Wstaję od komputera i idę do łóżka. Z makijażem. Mam nadzieję, że wylicytowana torebka to jakiś szkaradny worek. Ze sztucznej skóry. Zaoszczędziłam sześćset euro i nie czuję nawet cienia radości. Jutro wszystko będzie inaczej. I bez „Kelly Bag”. Nie potrzebuję tak pilnie podobnych symboli społecznego statusu. „A właśnie, że potrzebujesz!” - woła jakiś wewnętrzny głos, a potem zasypiam.



## Dzień czwarty

Niech pani nie zapomni o dzisiejszym zebraniu rodziców - przypomina mi następnego ranka wychowawczyni Claudii z przedszkola.

- O niczym innym nie myślę od tygodni - podkreślam z zapałem i myślę: Tego tylko brakowało!

Zebrania rodziców nie należą do moich ulubionych zajęć. Przede wszystkim nie w takim dniu jak dzisiaj. Mark dostał dziwnej wysypki na buzi, a Claudia grymasi tak, jakby była nastolatką. Natomiast Christoph rozmawiał ze mną dzisiejszego ranka, o dziwo, względnie normalnie, co było bardzo miłe z jego strony. Ani słowem nie wspomniał o tramwaju ani o doktorze Langnerze. Zawsze to już coś. Zamawiam jedzenie na urodzinowe party pojutrze. U Giovanniego. Od wesela stał się naszym nadwornym włoskim kucharzem.

- Trochę późno, Andrea, *amore*, jak mam zorganizować tyle jedzenia? - jęczy, kalecząc słowa wyraźnym włoskim akcentem.

Udaje mi się go jednak namówić.

- Tylko ty, Giovanni, potrafisz uratować mi skórę - podlizuję się Włochowi.

Jak większość ludzi jest wrażliwy na pochlebstwa.

- Tylko dla ciebie - mówi, stękając ze dwa, trzy razy i obiecuje mi wyczarować coś pysznego.

Uff! Deser zrobię sama. Zaoszczędzę pieniądze i zatroszczę się jednocześnie o swój image. Następna stacja - znajomy sklepik z napojami. Sprzedawca nie może się powstrzymać od dowcipkowania na temat tramwaju, ale piwo, wino i wodę chce dostarczyć dopiero jutro.

- Jest pani jak gwiazda! - śmieje się na pożegnanie.

Niezły ze mnie VIP. Pewnie na moim pogrzebie ktoś jeszcze wspomni jazdę na gapę.

Powinniśmy się przeprowadzić. Nie tylko z powodu okropnej historii z tramwajem, ale, tak po prostu. Aby nadać naszemu życiu rozpęd. Siedzę w samochodzie i telefonuję do Christophu. Przypominam mu, aby punktualnie przyjechał z biura do domu i popilnował przyszczałego Marka ze względu na zebranie rodziców w przedszkolu. Nie wydaje się zachwycony. Proponuję mu więc, żeby sam tam pojechał. Nie, on już woli być punktualnie w domu. Pytam go, co myśli o ewentualnej zmianie miejsca zamieszkania.

- To znaczy, że znowu chcesz się przeprowadzić? - przerażony odpowiada pytaniem na pytanie.

- No tak - rozmyślałam głośno - moglibyśmy spędzić parę lat w Hiszpanii albo w Australii.

- Żeby hodować kangury albo wypożyczać parasole słoneczne? - chciał być chyba dowcipny.

- O właśnie! - mówię i kończymy rozmowę. Mobilność - wyraz obcy dla Christopha. Żeby nie można było z własnym mężem trochę pofantazjować! Pudło.

Muszę iść znowu do pracy. Może wtedy nie będzie mi tak odbijać. Chcę stąd uciec! Opuścić tę kolonię domków szeregowych. Jeszcze raz szybko dzwonię do Christopha.

- Myślę, że chciałabym pójść znowu do pracy - przechodzę od razu do rzeczy. - Nie chcę, ale czuję, że muszę zaraz coś przedsięwziąć - wyrażam wprost swoją nagłą potrzebę.

- Jeśli mam przyjechać wcześniej do domu, muszę już teraz wcisnąć więcej gazu.

Dobrze, porozmawiamy o tym później.

Jadę do domu. Udało mi się jednak załatwić catering na urodziny-niespodziankę. Teraz na gwałt potrzebuję napić się kawy. Może jedna z sąsiadek ma czas wypić małą czarną? Byłoby uroczo.

U Anity przed drzwiami stoi samochód z paskiem. Policja. Kogut nie jest jednak włączony. Czy ona także stała się osobą karaną? Wzięła przykład ze mnie? Albo, o Boże, mam nadzieję, że to nie wypadek! Chętnie zadzwoniłabym do jej drzwi, ale nie mam śmiałości. Może jej Friedhelm został ukatrupiony przez jednego ze swoich oszalałych uczniów, a policja właśnie przyjechała, żeby przekazać jej tę smutną wiadomość? Biedaczka! Tamara (z naprzeciwka) niby przypadkiem kręci się przy bukszpanach rosnących przy płocie.

- Wiesz, co się tam stało? - pytam podenerwowana.

- Coś w związku z materiałem wybuchowym - mówi, wyraźnie zadowolona, że może komuś przekazać nowinę.

- Bomba? I ty tutaj tak spokojnie sobie stoisz?

- Ewakuowaliby nas, gdyby to było coś poważnego; przecież znasz Anitę i wiesz, że ona lubi przesadzać. Poza tym gwarantuje to wizytę miłych panów, którzy mieliby ewentualnie zabezpieczyć bombę.

Tamara tak często ogląda telewizję, że dokładnie wie, o czym mówi.

- Powinniśmy do niej zadzwonić? - pytam Tamarę. We dwie bym się odważyła.

- Zwariowałaś? - patrzy na mnie oburzona. - Dzwonek mógłby odbezpieczyć bombę.

Myślę, że powinnam odstawić Marka w bezpieczne miejsce. Poza tym mój syn będzie z powodu tej wysypki wyglądał niedługo jak prawdziwe ciasto z kruszonką, jeśli nie pójdziemy szybko do lekarza.

- Co się stało małemu Markowi? - Tamara w taki sposób pyta o mojego syna, jakby go wcale obok nas nie było.

- Nie mam pojęcia. Alergia, odra, ospa, różyczka albo przedwczesny trądzik młodzieńczy - odpowiadam. - Albo wysypka u ponadprzeciętnie uzdolnionych - dodaje i szczerzę zęby.

Tamara jest poruszona.

- Czy Mark jest ponadprzeciętnie uzdolniony? - zaraz chce zaspokoić swoją ciekawość.

Jej syn Emil wykazuje bowiem tak wybujałe zdolności, że czasami nie wie, jak je spożytkować. Wtedy rusza z pięściami. Tamara twierdzi, że właśnie z powodu swoich niezwykłych talentów. Można powiedzieć, że przeskoczył pewien etap. Osobiście uważam, że jej mały jest notorycznie agresywny - ale zaraz, zaraz, od kiedy mam jakieś pojęcie na temat nieprzeciętnie uzdolnionych?

- Dzisiaj w południe idę z Markiem do lekarza i zobaczymy, co będzie dalej - kończę temat.

W tym momencie otwierają się drzwi od mieszkania Anity. Wychodzą dwaj mundurowi, a za nimi rzeczona Anita. Z daleka nie wygląda jednak na „zaślimaczoną” z płaczu. Na szczęście.

- Czy wszystko okay, Anita? - wołam do niej. - Czy z Friedhelmem wszystko w porządku?

- Och, tak, u niego wszystko w porządku, a niedługo u ciebie będzie dużo bardziej niż w porządku - daje mi nieco zagadkową odpowiedź.

Panowie mundurowi żegnają się, nie rzucając w naszą stronę nawet uśmiešku. Anita wyraźnie pokazuje na mnie. Czy ona chce mnie wyswatać, czy może jeden z nich jest mną zainteresowany? Policjanci wsiadają do samochodu i przejeżdżają obok Tamary i mnie. Nawet nie pomachają. Nasi przyjaciele i pomocnicy w opresji.

Biegniemy do Anity.

- Opowiadaj - rzuca krótko Tamara.

- Wejdźcie lepiej do środka. - Anita sprawia wrażenie niezwykle tajemniczej i rozkoszuje się pozycją osoby będącej w centrum zainteresowania. - Kawy? - pyta.

- Tak, ale opowiadajże w końcu! - napieramy na nią.

Stawia na stole przed nami trzy perfekcyjne latte macchiato z pierwszorzędą mleczną pianką (kto dzisiaj robi zwykłą kawę?), przysiada się do nas i wreszcie zaczyna:

- A więc dzisiaj rano dzwoni do drzwi listonosz i pyta, czy mogę przyjąć paczkę. Pewnie, że mogę. Stawiam ją w kuchni. Tam, obok mikrofalówki. Pół godziny później wyciągam odkurzacza i zaczynam sprzątać.

Tu robi dużą przerwę i upija łyk kawy. Do tego momentu jej opowieść wydaje mi się przeciętnie zajmująca. I nie widzę powodu, aby wzywać policję. Czy odkurzacza jej eksplodował? Nie, stoi pośrodku pokoju i jest stąd bardzo dobrze widoczny.

- No i co dalej? - pytamy jednogłośnie.

- I - mówi - w pewnej chwili słyszę taki dziwny dźwięk, coś jak warkot. Wyłączam odkurzacza i nasłuchuję. Warkot ustał. Włączam odkurzacza i znowu to słyszę. Zostawiam więc włączony odkurzacza i próbuję namierzyć, skąd dobiega odgłos. A to z tej paczki. Nie ma wątpliwości. Z tej właśnie paczki, którą zostawił u mnie listonosz. To był taki śmieszny dźwięk. Kiedy wyłączyłam odkurzacza, warkot znowu ustał.

Tamara zbaraniała.

- Dziwne - mówi, ale ja, niestety, nie podzielam jej zadziwienia.

- Dlaczego na warkoty z paczki pojawiła się tu policja? - pytam, może jednak trochę naiwnie.

Tamara na moje słowa łapie się za głowę.

- To ty nie wiesz, co to może znaczyć? Przecież to mogłaby być bomba zegarowa albo jakiś inny materiał wybuchowy!

Nie wolno przyjmować żadnych paczek z niewiadomych rąk! Tak jak w Tajlandii. Przecież tam mogły być narkotyki z przemytu! Albo dynamit!

No dobrze, można i tak o tym pomyśleć. W dzisiejszych czasach należy być ostrożnym.

- A dla kogo była ta paczka? - próbuję dowiedzieć się od Anity.

- Poczekaj! Ale zrobisz oczy - wypowiada słowa, które znaczyć mogą wiele, i ciągnie dalej: - Szybko wyłączam odkurzacza i myślę. Dzwonię do Friedhelma, ale on ma akurat lekcje. Potem wpadam na pomysł: od czego jest policja!? Dzwonię najpierw z zapytaniem. Ci się strasznie zdenerwowali. Bardziej niż ja. Kazali mi położyć paczkę w ogrodzie i czekać. Z daleka. I w żadnym wypadku więcej nie odkurzać.

Nigdy nie sądziłam, że policja może komuś zabronić odkurzać. Jak na razie to najbardziej komiczny fragment opowieści Anity.

- A co potem? - Tamara podniosłym tonem doprasza się o ciąg dalszy.

Anita odchrząkuje.

- Potem, po jakichś dziesięciu minutach, przyjeżdża policja. Dzwonią do drzwi, a z ogrodu dochodzi mnie warkot z paczki. Większy z nich, ten z wąsami, jest straceńczo odważny. Chwyta paczkę i lekko nią trzęsie. Ja w tym czasie siedzę w piwnicy. „Niech pani tam zostanie, my otworzymy paczkę” - wołają do mnie. Siedziałam tutaj, przy zejściu na schody. Pomyślałam, że jeśli mają wysadzić mój ogród w powietrze, to chciałabym przy tym być.

- Aleś ty odważna! - mówi Tamara pełna podziwu.

- No i? - burzę podniosły nastrój (w końcu Anita nie wyswobodziła żadnego dziecka z rąk porywaczy i nie należy przesadzać z podziwem).

Poza tym ogród wygląda dokładnie tak, jak wyglądał.

- Co było w środku, Anita, przyrząd do robienia purée, budzik czy jeszcze coś innego?

- Taaak - mówi Anita, która nie ma za grosz poczucia humoru - właściwie to ma coś i z jednego, i z drugiego.

Wstaje, idzie do kuchni i wyjmuje z szafy otwartą paczkę. Zamaszyście wyciąga z niej zawartość. Jest to... wibrator. Różowy wibrator z czymś w rodzaju uszka na górze. Różowy, wiecznie rozochocony zajaczek. Taki sam jak ten, od którego prawie uzależniona była Charlotte z *Seksu w wielkim mieście*. Nagle wpadło mi do głowy, dla kogo mogła być ta paczka. Heike, wielkie dzięki!

Tamara jest zafascynowana, przede wszystkim słysząc, że to ja jestem adresatką. Mark chce się tym pobawić. Jeszcze tego brakowało! Wysyłamy go do ogrodu. Staram się sprawiać wrażenie, jakby Heike zrobiła mi przykrą niespodziankę, o której nie miałam zielonego pojęcia.

- Co to ma znaczyć? - jąkam się. - Co jej przyszło do głowy? Co ja z tym niby miałabym robić?

Jednocześnie szybko wyjaśniam, że moja przyjaciółka z Monachium jest lesbijką, tak jakby lesbijskie przyjaciółki miały zwyczaj rozsyłania wibratorów. Zwłaszcza lesbijki.

- Jeśli go nie chcesz, ja się nim zaopiekuję - mówi Tamara i patrzy bez żenady na różowy przedmiot.

- Jeśli chcesz, bardzo proszę - odpowiadam wspaniałomyślnie - ja, przy moim Christophe, naprawdę nie potrzebuję czegoś takiego.

Tamara łapie „zajaczka napaleńca”.

- Świetnie - mówi - już wcześniej miałam coś takiego, ale nie był aż tak ładny. Poza tym od dawna nie działa.

Anita kręci głową z dezaprobatą:

- Uważam, że taki kawałek plastiku jest wręcz obrzydliwy. Nawet nie chcę sobie wyobrazić, co można z tym robić!

- A ja, owszem - mówi Tamara i już zbiera się do wyjścia. Z moim zajączkiem napaleńcem. Nigdy!

- Hej, Tamara, nie miej mi za złe, ale ja chcę odesłać to coś Heike.

- Szkoda - wzdycha Tamara - naprawdę szkoda. Ja w każdym razie na pewno sobie taki kupię. Jaki on miłutki. I jaki duży. Małymi też można sprawić sobie dużo przyjemności, ale taki duży dla odmiany to byłoby coś.

Myślę, że ta wypowiedź miałyby znaczyć mniej więcej tyle, że jej mąż Stevie ma bardzo małego... Biedaczka! Ale za to ma szerokie bary i lata bez przerwy na siłownię. Kobieta nie może mieć wszystkiego. Gdybym miała wybór, chętnie zrezygnowałabym z paru centymetrów w barach.

Proszę jeszcze raz obie sąsiadki, żeby zatrzymały całą historię dla siebie, choć z góry wiem, że nic z tego nie będzie. Taka *story* jest plotką miesiąca dla każdej marnej nasiadówki przy kawie. Sama byłabym zachwycona i nie mogłabym się doczekać okazji do jej rozpowszechnienia. Pomimo to robię sobie małą nadzieję na dyskrecję. Zabieram pod pachę syna, zdradziecką paczuszkę i się żegnam.

- Miłej zabawy, Zajączku! - wołają za mną Tamara i Anita.

Niezła ksywka, już się do mnie przykleiła. Wielkie dzięki, różowy zajączku! Wielkie dzięki!

W domu dzwonię do pediatry i ustaliam termin wizyty dla mojego syna. Wydaje mi się, że ma podwyższoną temperaturę. Poza tym jest dziwnie spokojny. W sumie to bardzo miłe. Jakby lekko apatyczny. Termometr pokazuje 38,6 stopnia. Nie ma powodu do paniki, jednak to więcej niż normalna temperatura. Przy pierwszym dziecku, przy Claudii, byłam już zdenerwowana, kiedy mała miała 37,3. A to się zdarza. Dzieci szybko dostają gorączki. Wychowywanie potomstwa uczy bezbłędneho rozpoznawania groźnych i błahych objawów chorobowych.

Mark nie jest głodny, chce tylko trochę jogurtu i tym samym mogę sobie oszczędzić gotowania. Oglądam więc w zupełnym spokoju małego zajączka. Paskudna rzecz. Działanie hi-ghtech-wibratora opisano w instrukcji obsługi. Załączono również pilota. Po co wibratorowi

pilot - to dla mnie wielka zagadka. Ale dziś wieczorem się dowiem. Po zebraniu z rodzicami. Chowam mojego nowego kolegę do szafy i zajmuję się domem. Pojutrze jest urodzinowe *party* Christopha i nie chcę wypaść na największego flejtucha w dzielnicy. Przede wszystkim nie przed kolegami Christopha. I tak mam już opinię gapowiczki, więc chcę być w ich oczach przynajmniej zadbaną gapowiczką i panią domu, w którym panuje porządek. Podziwiam kobiety, którym jest wszystko jedno, co inni o nich myślą. Kobiety, które funkcjonują w totalnym domowym rozgardiaszu, ignorują kurz i „koty”, czytają i popijają kawusię. To dowód niezachwianej pewności siebie. Jest jeszcze jeden punkt, który muszę dopisać do mojej listy: trenowanie pewności siebie. Nie przejmować się, co sobie myślą inni. Wyznaczyć własne kryteria oceny. Znaleźć czas dla siebie.

Może nie tak od razu, ale zmiany zajść muszą. Poza tym nie mogę tak naprawdę osiągnąć stanu całkowitego odprężenia i zrobić użytku z mojej nowej zabawki, kiedy na dole jęczy mały bąk pokryty wysypką. Pucuję łazienki, podnoszę z podłogi to, co reszta mojej rodziny zwykła upuszczać - ręczniki, brudne ubrania, ściereczki, rolki papieru toaletowego. Potem w zupełnym spokoju zajmuję się Markiem.

Czytam mu na głos, a on jest zachwycony czytaniem ciągle tej samej historyjki o Myszcze Bobo. Jest nam razem bardzo przyjemnie - tak sobie siedzieć i czytać. Mark ma mnóstwo książek, ale w żadnym wypadku nie pragnie odmiany. On kocha rutynę - czytanie ciągle tej samej bajki. Pamięta ją tak dobrze, że potrafi wyłowić każde moje słowo, którego nie ma w tekście. Pod tym względem dzieci są nieszczerólnie ciekawe świata. Z drugiej strony my też przecież chodzimy bardzo chętnie do tej samej restauracji po prostu dlatego, że wiemy, czego możemy tam oczekiwać. Równe prawa dla wszystkich. A kto jest chory, ma prawo podejmowania decyzji.

Mam nadzieję, że Claudia się nie rozchoruje. Moje dzieci mają skłonności zarażania się jedno od drugiego i po paru takich tygodniach mam wrażenie, że jestem nie matką, ale pielęgniarką.

Bycie matką to poważna sprawa. Nagle jest się rzuconym w świat dorosłych. W świat, w którym rządzą rozsądek, poczucie odpowiedzialności i nigdy niekończąca się troska o dziecko. Obojętne, co się dzieje: mama to załatwi. Przy wszystkich matczyńskich radościach, których doświadczyłam i które sobie bardzo cenię, można jednak bardzo spokojnie. Zdarzają się momenty, kiedy przychodzi ochota, żeby wstać i wyjść; zostawić wszystko za zamkniętymi drzwiami. Zorganizować sobie chwilę wytchnienia, a potem z nowymi siłami zacząć od nowa.

Takie ucieczki ciężko jednak zorganizować. A poza tym, kto zatroszczy się w tym czasie o dzieci, jeśli nie ja?

Wychodzę z podziwu, kiedy widzę kompletnie spełnione, pozbawione rozterek matki. Co takiego mają one, czego nie mam ja? Są może bardziej pragmatyczne i potrafią bezwarunkowo poddać się swojemu losowi, czy może macierzyństwo stanowi dla nich rzeczywiście szczyt marzeń? Większość kobiet o tym nie mówi. Być może, słusznie. Jak długo nie stawia się pod znakiem zapytania istoty sprawy, nie rozkłada jej na części pierwsze, tak długo nie odczuwa się nieprzyjemnego poczucia niepokoju. W każdym razie pozornie jest zupełnie w porządku. Gdy pewnego razu zwierzyłam się mamie z poczucia niepewności i bezradności, była prawie oburzona.

- Przecież taka była twoja decyzja! - niemalże mnie skrzyczała. - Nikogo się dzisiaj nie zmusza do rodzenia dzieci!

Tak, zdecydowałam się, owszem, nikt mnie do tego nie zmuszał, ale czy to oznacza, że nie powinnam mieć żadnych wątpliwości? Czy taka jest cena? Mieć wątpliwości nie znaczy przecież mniej kochać.

Teraz na tej sofie, z gorącym, małym, pokrytym czerwoną wysypką Markiem jest mi bardzo dobrze. Nigdzie nie czułabym się lepiej.

Jedziemy do przedszkola i przywozimy Claudię. Claudia nie ma ochoty iść do lekarza, ma muchy w nosie i z czystej nudy zaczyna opowiadać bratu horrory o olbrzymich strzykawkach. Mała czarownica. Ganię ją, a tymczasem Mark już wyje ze strachu i w żadnym razie nie chce iść do lekarza. Najchętniej wysadziłabym po prostu małą na najbliższym rogu. Przed półgodziną nie chciałam być nigdzie indziej, a teraz owszem, miałabym taką ochotę. Nastroje tak szybko się zmieniają. Aby uspokoić Claudię, zahaczam o małą lodziarnię.

Mark ma różyczkę. Nic groźnego, ale diabelnie zaraźliwe. Powinniśmy się trzymać w miarę możliwości z daleka od niego. A tak niedawno przytulaliśmy się do siebie na sofie!

- Mam nadzieję, że nie jest pani w ciąży, pani Schnidt? - pyta mnie lekarz.

- Mam nadzieję, że nie - mówię i jestem bardziej niż pewna.

Przy takiej częstotliwości, z jaką uprawiamy seks, graniczyłoby to z cudem. Jeśli już mowa o seksie, znów przychodzi mi do głowy mój różowy napalenić i uśmiech rozjaśnia mi twarz. Jednak coś jest w tej maksymie, że przedsmak rozkoszy jest największą rozkoszą.



Każde z nas pozwala sobie na wypełniony po brzegi pucharek z lodami. Zamawiamy „Pinokia”, „Pszczółkę Maję” i „Spaghetti”. Uwielbiam lody „Spaghetti”. Inne nie wchodzi w rachubę. W przypadku lodów jestem nad wyraz konserwatywna.

W domu dzieci bawią się w absolutnej zgodzie klockami lego. Claudia jest czarująca dla swojego brata. Stara się mocno nim kierować. Strofuję ją. Okazuje się, że to z powodu różyczki.

- Ja też chcę mieć różyczkę - mówi tylko.

Przy moim szczęściu jej życzenie na pewno się spełni.

Christoph dotrzymuje słowa i przyjeżdża wcześniej do domu. Jemy mrożoną pizzę. Znowu się do mnie odzywa i nie wspomina nic o tramwaju ani o RTL-u. Ja też nie wspominam nic o zajączku. Sama nie byłabym zachwycona, gdyby Christoph z radosną miną opowiedział mi o gumowej lali. Chociaż wibrator i lala nie są porównywalne. Wibrator nie ma ciała i twarzy. Może dlatego, że my, kobiety, mamy po prostu więcej fantazji. Albo mniej ochoty, aby za każdym razem pompować przedmiot rozkoszy. Niedawno, podczas jakiegoś sondażu, mężczyźni istotnie stwierdzili, że woleliby gumową lalę niż kobietę z krwi i kości, bo taki manekin nie zrzędzi. Tylko czy manekin robi kolację, sprząta, pierze brudne ciuchy? Od razu widać, jaka jest filozofia mężczyzn! Gumowa lala miałaby zastąpić kobietę! A kto robi herbatę albo okład, kiedy wy, faceci, macie 36,9 stopnia i stoicie w obliczu śmierci z powodu przeziębienia? Czyżby manekin?

Tak ogólnie dziś u nas w domu panuje zupełna harmonia. Jak pięknie!

O ósmej zaczyna się zebranie rodziców. W naszej rodzinie zdecydowanie babska sprawa. Christoph nie wyraża najmniejszego zapалу chodzenia na spotkania rodziców.

- Ty już się świetnie wправиłaś - to jest jego główny argument.

- Gdybyś poszedł raz, też nabrałbyś szybko wправы, a przy okazji poznał innych rodziców - oto moja kontra.

Ale mogę go zrozumieć. Łatwiej jest siedzieć wygodniczej pupie na małych, twardych krzeselkach, jeśli ma się gwarancję, że przyjdą jedna lub dwie panie, które zawsze miło jest spotkać. Takie, z którymi można sobie pożartować, a potem nawet iść gdzieś na kieliszek wina. Większość mężczyzn, którzy pojawiają się na spotkaniach rodziców, jest co najmniej dziwna. Jeśli już tam idą, odgrywają rolę wielkiego ważniaka. Kandydują do rady rodziców, ustalają nowe reguły i są tak wyniośli, jakby byli na posiedzeniu zarządu Deutsche Banku. Zdumiewam

się też na widok par, które angażują na czas zebrania opiekunkę i przychodzą we dwoje. Czy dlatego, że nie mogą uzgodnić, kto tym razem pójdzie na zebranie?

Dzisiaj zebranie przebiega w miarę sprawnie. Głównym tematem są starszaki, które wkrótce pójną do szkoły. Za dwa tygodnie będzie ten ważny dzień. Mamy jedno zadanie: z papieru skleić dla pierwszoklasistów trójkątne torebki na cukierki. Dla dzieci jest to jednak zbyt trudne, więc zadanie czeka nas, rodziców (czytaj: matki). Każdy dostaje listę zakupów. Wychowawczynie już wcześniej przepytwały dzieci i zrelacjonowały nam, które dziecko życzy sobie jaką torebkę. Moja córka chce zrobić torebkę z obrazkami wróżek. Nic oryginalnego. Najważniejsze dla niej, żeby była w kolorze różowym. A jedynie torebka dla wróżki jest zdobiona pozłotkiem, tiulem i piórkami. Wychowawczynie zrobiły na próbę trzy modele do wyboru: wspomnianą torebkę dla wróżki, torebkę dla kierowcy wyścigowego w kolorze ferrari i torebkę udekorowaną obrazkami zwierzątek - psem, kotem, myszą i zającem. Zającem. Hm! Różowy zajączku, już do ciebie idę! Zobaczymy się niedługo. Mam nadzieję, że będzie to chwila pełna uniesień.

- Torebka wróżki jest trochę bardziej skomplikowana od dwóch pozostałych - ostrzega szefowa przedszkola i mam wrażenie, że przy tych słowach szczególnie uważnie patrzy na mnie.

- Pomysłowość rośnie wraz z wyzwaniem - demonstruję swoją dobrą wolę, na co kierowniczką kiwa głową zadowolona.

Poza tym nic nowego. Znowu podniesiono temat prowiantu dla dzieci do przedszkola.

- Proszę nie pakować słodyczy - słyszymy dyrektywę. Teraz padają pierwsze pytania, mające na celu zdefiniowanie słowa „słodycze”.

- Czy muffinki to słodycze? - dopytuje się Gisi. Gisi mianowicie piecze namiętnie ciasta i ktoś przecież musi je pochłaniać.

- Właściwie to tak - wyjaśnia Susa, jedna z wychowawczyń.

Gisi nie daje jednak za wygraną.

- Ale ja piekę z pełnoziarnistej mąki i miodu - triumfuje.

- No tak - poddaje się Marion, szefowa - jeśli nie codziennie, to okay.

Gisi jest z siebie dumna. Zachowuje się tak, jakby po całonocnych negocjacjach wywalczyła taryfę ulgową dla siebie i związków zawodowych rodziców przedszkolaków.

- A co z jogurtem, przecież jest zdrowy? - pada pytanie Uschi.

Jogurt bezspornie zaakceptowali wszyscy.

- Jeśli można jogurt, można też jogurtowe „owocowe ludki” - stwierdza Tina, mama z pewnością najgorzej wychowanego bąka w całym przedszkolu. Daniel liczy sobie cztery lata, ale w pełni kontroluje swoich rodziców. Robi się coraz bardziej interesująco. Kwestia „owocowych ludków” jest niezwykle ważna. Temat rzeka od lat. Już w pierwszym przedszkolu, do którego chodziła Claudia przed przeprowadzką, spędzało się wiele czasu na dyskusjach o „owocowych ludkach”. Marlen, mama małej Kim, najlepszej przyjaciółki Claudii, trąca mnie pod stołem nogą. Zna Tinę lepiej niż ja i dokładnie przeczuwa, co zaraz nastąpi. Walka gigantów. Szefowa przedszkola na ringu z Tiną, która udowadnia swój upór (tego notabene brakuje jej w wychowywaniu panicza Daniela). Ale Marion nie daje się tak szybko zbić z tropu.

- „Owocowe ludki” są, o czym już często mówiliśmy, prawdziwymi cukrowymi bombami, dlatego zaliczamy je do słodczy, i dlatego nie są mile widziane - tymi słowami odmawia Tinie i małemu Danielowi prawa do „owocowych ludków”.

Teraz dopiero zaczyna się przedstawienie. Ludzie, którzy zwykle nie mają zdania na żaden temat, debatują zaciekle.

- Ale mój Daniel nie chce nic innego - perswaduje Tina - poza tym są też takie, które zawierają mniej cukru.

Mój Boże, czy ona nie jest aby menedżerem produktu pt. „Owocowe ludki”? Bo dlaczego tak by się przy nich upierała? Ale Marion nie chce żadnych „owocowych ludków” w swoim przedszkolu.

- Jeśli Daniel będzie je miał, inne dzieci też będą chciały i przestaną jeść swoje kanapeczki z pełnoziarnistego pieczywa. - A tego przecież nie chcemy - torpeduję Tinę.

- Pozostali rodzice też mogą kupować „owocowe ludki”, jeśli chcą tego ich dzieci - Tina się nie poddaje.

Rodzice stają jednak po stronie Marion. Aby podlizać się szefowej przedszkola, czy może dlatego, że istotnie nie chcą „owocowych ludków” - kto to wie? Ważne jest, aby pokazać się Marion od dobrej strony. W końcu głównie ona decyduje o przydziale miejsc w przedszkolu. Poza tym Daniel nie da się lubić. Nie jest to miłe, ale prawdziwe. Szczypie, bije i wszystko wie najlepiej. Każdy pryszcz na twarzy byłby mi miłszy niż popołudnie z Danielem.

Zawsze, kiedy denerwują mnie moje dzieci, staram się myśleć o Danielu. Minidyktator. Tina widzi, że sprawa jej „owocowych ludków” nie wygląda dobrze. Ale skapitulować w sprawie tak wielkiej wagi? Nigdy! Stawia wszystko na jedną kartę.

- Podniosę ten temat na gminnej radzie, i wtedy zobaczymy!

Marlen i ja z trudem powstrzymujemy się od śmiechu.

Do twarzy Marion napłynęła krew. Ze złości.

- Proszę, jak pani sobie życzy - wydusza z siebie nie bez wysiłku.

Ja na jej miejscu już dawno bym przyfasoliła takiej Tinie. Rano użerać się z nieznośnymi dzieciakami, a wieczorem prowadzić dyskusje z jeszcze gorszymi dużymi dziećmi na temat „owocowych ludków”. Koszmar! Notujemy jeszcze parę terminów, obiecujemy przyłożyć ręki do flancowania ogrodu, i na tym koniec. Marlen namawia mnie, żeby pójść gdzieś coś wypić, ale odmawiam.

- Mark jest chory - mówię, ponieważ głupio jest mi powiedzieć: czeka na mnie różowy zajaczek.

Chore dzieci jako wymówka zyskują natychmiastową akceptację. Z paroma krosteczkami różyczki poradziłby sobie spokojnie również sam ojciec, ale ponieważ matki uważane są generalnie za niezastąpione (zgodnie z prawdą zresztą), mogę wracać do domu. Tina proponuje towarzyszyć Marlen. Ta próbuje się wymigać, ale nie udaje jej się tak szybko znaleźć wymówki. Uff! Miałam szczęście. Tego mi jeszcze brakowało! Wieczoru z Tiną! Marlen patrzy na mnie błagalnie. Ja mówię tylko: „Mark”, i biorę nogi za pas.

Christoph siedzi przy komputerze. „Dzieci śpią”. Było spokojnie - melduje mi.

- Przyjdiesz zaraz do łóżka? - pytam, ale on kręci przecząco głową.

- Nie, Andrea, muszę jeszcze pośleć. Potrzebuję około dwóch godzin.

Dobrze, to była twoja szansa. Wołałam jego od zajaczka. Przy Christophie odczuwam pełnię zadowolenia. Nawet jeśli rzadko je wywalczę. Ale kto nie chce, sam sobie winien. Obojętnie, jak sprawdzi się zajaczek, to mogła być ostatnia szansa Christopha.

- Dobrze, skarbie - mówię - ja idę już na górę.

Zamykam drzwi sypialni i wyciągam zajaczka z szafy.

Do czego może służyć pilot - to dopiero zagadka! Trzeba go trzymać w ręku i dyrygować? Po przeczytaniu instrukcji nie jestem ani odrobinę mądrzejsza. Wiem tylko tyle, że są trzy stopnie, tak jak w mikserze. Stopień turbo jest dla bardziej zaawansowanych. Nie ma na co czekać - najlepsze, co można w takim wypadku zrobić, to rozpocząć ćwiczenia. Chodź tu, różowy zajaczkule, i odbierz mi rozum! Instrukcja obiecuje niewiarygodny szal zmysłów i mam nadzieję, że to właśnie przeżyję.

Muszę przyznać, że zajaczek coś potrafi. Więcej niż kilku moich wcześniejszych kochanków. I jest dosyć zmyślny. Szybko dochodzę do wniosku, że moglibyśmy stać się bardzo

dobrymi przyjaciółmi, bo sprawy między nami wyglądają obiecująco. Przede wszystkim dlatego, że zajacek nie ma żadnych wymagań. Nie trzeba o nikim myśleć, tylko o sobie samej. Też pięknie - seks z własnym ego.

W pewnym momencie mój zajacek wyraźnie przyśpiesza. O co chodzi? Czy on ma własne życie wewnętrzne? Całkowicie przestaje nad sobą panować. Z dołu dochodzą mnie dźwięki telewizora. Myślałam, że Christoph jest przed komputerem. Czy on teraz włącza telewizor? A czego chce mój zajacek? Nie przekonuję go do siebie? Wpadam w lekką panikę. Naciskam pilota, aby przyhamować mojego nowego przyjaciela. Kilka sekund później słyszę gigantyczny łoskot. Tępy, ale głośny. Zdecydowanie z zewnątrz. Coś się dzieje przed naszym domem. Potem słyszę krzyk. To Christoph. Wrzucam zajaczka do szuflady nocnego stolika i pędzę po schodach w dół. Ten numerek wyobrażałam sobie bez efektów specjalnych. No tak, może potrzebujemy trochę czasu, aby się dotrzeć.

Drzwi od domu są otwarte, a na zewnątrz lamentuje Christoph. Chociaż jestem bardzo skąpo ubrana (tylko w koszulkę, ale jednak dosyć długą), ośmielam się wyjść na zewnątrz i natychmiast ogarniam wzrokiem przyczynę hałasu. Drzwi od garażu otworzyły się i zaklinowały na bmw Christopa, który zaparkował przed nimi. Przeczuję coś niedobrego. Mój pilot do zajaczka i drzwi do garażu - czy istnieje ewentualnie jakiś związek pomiędzy nimi?

Christoph sprawia wrażenie kompletnie bezradnego.

- Przeklęta elektronika - mówi mężczyzna, który uwielbia wszelkiego rodzaju elektroniczne bajery.

Mogę tylko przyznać mu rację. Jednakże z powodów, których on zupełnie się nie domyśla. Odeślę tego napaleńca! Przeklęta elektronika! Albo poszukam sobie nowego. Bez pilota. Baterie do środka i gotowe.

Prawdopodobnie napalenie przełączył się na stopień turbo w momencie, kiedy Christoph włączał telewizor. Pilot musi być bardzo wrażliwy.

- To gówno będzie mnie kosztować przynajmniej tysiąc euro! - wykrzykuje Christoph i głaszcze maskę swojego bmw. - Żadne ubezpieczenie nie zwróci mi przecież za to pieniędzy, pomyślą, że miałem stłuczkę. Jak coś takiego mogło się zdarzyć?

Christoph jest kompletnie zdruzgotany. Na szczęście bmw uszkodzone jest tylko na zewnątrz. Ale popsęły się też drzwi od garażu. Nie da się ich zamknąć.

Napalenie jest bardziej wyrafinowany, niż można by pomyśleć. Łapie się wszelkich sposobów, aby zwalczyć przeciwnika z krwi i kości.

Christoph został powalony na łopatki. Przede wszystkim dlatego, że nie potrafi wytłumaczyć sobie tej katastrofy. Niestety, nie mogę go oświecić, zostawiam go więc w błogim stanie nieświadomości. Gorzej jest przyznać się do wpadki z wibratorem niż wystąpić w RTL-u w pokutnym odzieniu. Jest jednak dobra strona katastrofy - Christoph chce iść do łóżka. Wykazuje ograniczone zaufanie do rzeczy martwych i przedtem przestawia samochód.

- Kto wie, do czego jeszcze dzisiejszej nocy zdolne są drzwi garażu - mruczy pod nosem.

Christoph przewraca się pół nocy z boku na bok. Mamrocze coś o błędnym przełączeniu i uniwersalnym pilocie.

- Umiemy latać na Księżyc, a nie potrafimy skonstruować zwykłego pilota. Jutro go roztrzaskam - to jego ostatnie zdanie przed zaśnięciem.

Dłużej niż on nie mogę zasnąć i zastanawiam się, czy mogłabym powiedzieć prawdę ubezpieczycielowi. A co miałabym napisać w raporcie o szkodzie? „Napaleniec przełączył się na turbo, ponieważ mój mąż włączył telewizor. Kiedy ja próbowałam zatrzymać wibrator, otworzyły się drzwi garażu, przed którymi stało nasze bmw...”. Nie, nie, tak nie mogę. W żadnym wypadku.

Albo może producent napaleńca poniesie odpowiedzialność? Kiedy Christoph już śpi, wyciągam z szuflady wibrator. Jest na nim napisane *Made in China*. Czego ci Chińczycy nie produkują! Ta nowa potęga gospodarcza wszelkimi sposobami odciąga nas, Europejczyków, od pracy. Bardzo sprytnie!

# Dzień piąty

Następnego dnia wszystko toczy się znowu normalnym torem. Mark, pomimo różyczki, spał spokojnie i ma tylko lekką gorączkę. Christoph i Claudia punktualnie wyjeżdżają z domu do biura i do przedszkola.

- Dzisiaj zorganizujemy sobie miło czas we dwoje - obiecuję mojemu synowi i już się na to cieszę.

Naturalnie, muszę jeszcze dużo przygotować na jutrzejszą wielką urodzinową imprezę-niespodziankę dla Christopha, ale już udało mi się zorganizować wszystko, włącznie z deserem. Najważniejsze, żeby nie dać „się zwariować” - perfekcja nikomu nie służy. Czekoladowy mus i ciasto muszą wystarczyć. Zrobię je dzisiaj rano.

Po południu w odwiedziny przychodzi Sigrid. Ta Sigrid, którą poznałam w szpitalu, kiedy rodziłam Marka. Ta z tymi przepięknymi lokami i śliczniutką córeczką, małą Betty. Od naszego wspólnego pobytu w szpitalu spotykamy się regularnie. Na początku pojawiała się także i Inge od musli, ale z czasem jej dydaktyczną nutę trudno było znieść. Małego Konstantina zresztą jeszcze trudniej. Sigrid w ciągu tych trzech lat stała się moją dobrą przyjaciółką, z którą można przedyskutować przede wszystkim tematy, które zwykle stanowią tabu. Mężczyźni często myślą, że kobiety rozmawiają na każdy temat. A zwłaszcza ci mężczyźni, którzy oglądali *Seks w wielkim mieście*. Trudno jest jednak o tak swobodne rozmowy jak u Carrie i spółki. Oczywiście, czasem któraś powie: „Ludzie, ale ten mój facet gra mi na nerwach”, ale o różnych wątpliwościach i łózkowych flautach rozmawiają nieliczne. Zwykle chcemy przecież dobrze wypaść w towarzystwie, a poza tym my, kobiety, nie mamy potrzeby obarczać kogokolwiek swoimi problemami.

O kurczę, zapomniałam, że mały Mark ma różyczkę! Czyli mogę się pożegnać z miłym babskim popołudniem! Dzwonię do Sigrid, żeby odwołać spotkanie. Ona jednak nie uważa różyczki za wydarzenie aż tak tragiczne.

- *No risk, no fun* - śmieje się i zapewnia, że wpadnie dziś koło południa.

Nawet z ciekawości, bo w końcu obiecałam jej opowiedzieć topową historię na temat nieszczęsnego wibratora.

- Ja natomiast mam do zaoferowania nowinki z cudacznego świata starszych nastolatków - mówi na pożegnanie.

Wspaniale! Uwielbiam anegdotki Sigrid o nastolatkach. Jej synowie mają już szesnaście i osiemnaście lat i szczególnie ten młodszy dostarcza wybornego materiału na opowiadania.

Mark i ja pieczemy ciasto. Mam nadzieję, że wirusy różyczki do niego nie wskoczą. Chociaż z tego powodu byłaby też niezła uciecha! Niespełna trzylatek rozłożyłby kancelarię Christopha! Ale wypiekanie w prawie stu osiemdziesięciu stopniach zabije chyba każdego wirusa. Robię ciasto marmurkowe. Nie jest może bardzo spektakularne, ale zwykle wszystkim smakuje. Równocześnie roztopiamy czekoladę do czekoladowego musu. Mark świetnie się przy tym bawi, wygląda, jakby miał czekoladowe pryszcze, i można powiedzieć, że obydwójce jesteśmy wyjątkowo produktywni. Co zaś się tyczy moich zdolności cukierniczych, to w czasie trwania naszego związku z Christophem zrobiłam duże postępy. Standardowe ciasta wypadają w miarę bezbłędnie, ale większych eksperymentów zdecydowanie unikam. Zresztą zwykle jest tak, że najzwyczajniej w świecie brakuje mi zapędu do wielkiego gotowania. Mogę uwierzyć, że kulinarna uczta raz w tygodniu i wyczarowywanie na niej smakowitych wspaniałości daje wielką frajdę. W końcu wiele ludzi tak robi. Ale to codzienne gotowanie jest według mnie bardzo nużące. Może nie nadzwyczaj męczące, ale na pewno nudne. Robimy dwa duże półmiski musu czekoladowego. Jeden z białą czekoladą, drugi z ciemną. Piękną stroną musu jest czynnik szybko sycący. Jest on mianowicie tak gęsty, że można się nim szybko zapchać. Tak więc nie ma potrzeby robienia większych ilości. Zaniosę go lepiej do Tamary, bo jeśli go zostawię w domu, Christoph mógłby nabrać podejrzeń, a nie mogę sobie pozwolić, żeby skrupulatnie przygotowywana przeze mnie niespodzianka została zepsuta z powodu dwóch półmisek czekoladowego musu. Tamara otwiera drzwi, chichocząc.

- Co słyhać u Zajączkowej? - wita mnie.

- Przestań mnie tak nazywać! - mówię, a ona chce usłyszeć relację z bliższego poznania.

Bez pominięcia najmniejszego szczegółu. Opowiedzenie czegoś Tamarze oznacza niemalże tyle, co zamieszczenie cało stronicowego ogłoszenia w gazecie „Bild”.

- Nie miałam jeszcze czasu na zajączka - kłamię i proszę ją o udzielenie azylu dla mojego musu.

- Nie ma problemu - mówi i zaraz dodaje: - Mam nadzieję, że potrafię utrzymać się od niego z daleka. Tak ładnie pachnie.

Tamara jest typem szukającym rozkoszy podniebienia, a przy tym małym łakomczuchem. Pewnie dlatego jest bardzo ładnie zaokrąglona. Porządne uda, duża pupa i wydatny biuścik. Rubens zakochałby się w niej natychmiast i spontanicznie. A i mąż Tamary lubi takie krą-



głości. Ciągłe obłapuje swoją żonę w miejscach publicznych. Ale lepszy taki niż na przykład mąż Anity, Friedhelm. Zauważy każdy kęs, który bierze do ust Anita. Kiedy zupełnie niedawno chcieliśmy zjeść razem francuskie ciasto ze słoninką i nałożyłam Anicie na talerz dwa kawałki, powiedział:

- Zostaw, Andrea, dla Anity nie będzie dzisiaj żadnego ciasta. Wiesz przecież, że zbliża się czas bikini.

Doprawdy zaniemówiłam. Gdyby to był mój mąż, przestałby nim być w tym samym momencie. Odeszłabym. Natychmiast! Co ci mężczyźni sobie wyobrażają? Tymczasem Anita popatrzyła tylko zboląła, kiwnęła głową, co miało oznaczać pogodzenie się z losem, a potem, przy sprzątaniu kuchni, zjadła resztki ciasta.

Wypijam kawę z Tamarą. Ma coś nowego do opowiedzenia o Emilu. O wysoce uzdolnionym Emilu. Emil jest w drugiej klasie, uczy się też francuskiego i gra w heskiej drużynie sportowej. Emil jest dzieckiem, które może napędzić niezłego stracha przez to swoje rzekome superrozgarnięcie.

- Słuchaj - mówi Tamara - wiesz, co Emil powiedział do swojej nauczycielki, tej wysuszonej babki, pani Plotz?

Naturalnie, nie mogę wiedzieć.

- Nie mam pojęcia, Tamara - odpowiadam zgodnie z jej oczekiwaniami.

- Więc zapytał tę chudą babkę, czy ona właściwie ma piersi.

- I co ona na to? - pytam.

- „Oczywiście, że mam piersi” - powiedziała i wtedy Emil, jak uważam, bardzo dowcipnie i trafnie, zapytał: „Kiedy je przyniesiesz?”.

Niezły bystrzak z tego małego Emila. Kto by pomyślał, że jest synem takiej roztrzepanej mamy. Bardzo sprytne pytanie. Plotkujemy jeszcze jakąś chwilę, a potem Tamara musi zabrać się do gotowania. Dla swojego geniusza.

- Do jutra na imprezie! - żegnam się. - I trzymaj się z daleka od musu.

Śmieje się, a ja z Markiem wracam do domu.

Panuje ogólny spokój, który przerywa telefon od mojej siostry. Birgit przedstawia się zawsze imieniem Brigitta, które rzekomo ładniej brzmi. Jej próżność pod tym względem regularnie wywołuje między nami pewną szczególną gierkę. Ona mówi: „Cześć, tu Brigitta”, a ja odpowiadam: „Cześć, Birgit”. Zemsta młodszej siostry. Oczywiście głuptaśna, ale wieloletnie upokorzenia wymagają zadośćuczynienia. Birgit nieźle mi dokuczała, kiedy była dzieckiem.

Wiecznie komenderowała i szantażowała. A ja do pewnego stopnia dawałam jej robić się w bambuko. Choćby z tego powodu, że bardzo podobali mi się jej koledzy z klasy. Z czasem zaczęliśmy się dobrze rozumieć i jest tak do dzisiaj - o ile nie ma w pobliżu jej męża Kurta, który uważa się za wszytkowiedzącego i irytuje mnie do granic wytrzymałości.

Gdy byłam w ciąży, Birgit sprawiła sobie psa. Ona zawsze stara się być o krok dalej niż ja i życzy sobie mieć ciut więcej ode mnie. Podobny stan - dwoje dzieci u obu sióstr? Niewyobrażalne! Po prostu typowa starsza siostra z wygórowanymi ambicjami. Kiedy obwieściłam wszystkim moją ciążę, odpowiedziała triumfalnie:

- A my kupujemy sobie psa, golden retrievera.

Dla Birgit pies ze schroniska to za mało. W ogóle nie wchodzi w rachubę. Ma małego bzika, jeśli chodzi o pochodzenie. Nawet u psów. „Kto ma dzieci, nie może tak po prostu przyprowadzić do domu byle jakiego kundla. Nie wiadomo przecież, jakie traumatyczne przeżycia ma za sobą. Koniec końców pogryzie ci dzieci i klops”.

Do momentu kiedy moja siostra opowiedziała mi w detalach o procesie zakupu psa, byłam święcie przekonana, że sprawa ma się podobnie jak przy kupowaniu butów. Ogląda się, wyszukuje te, które pasują, wybiera, które się najbardziej podobają, a potem płaci. A tu nic z tych rzeczy! Jeśli ktoś myśli, że to prosta sprawa kupić u hodowcy psa, może się łatwo rozczarować. Birgit była w tym czasie strzępkiem nerwów. Najpierw trwały poszukiwania przez internet - który hodowca, kiedy oczekuje miotu. Potem czeka się miesiącami, zanim pies się w ogóle urodzi. W tym czasie następuje wzajemne poznanie potencjalnego kandydata na właściciela i hodowcy. Coś w rodzaju umowy przedwstępnej. Hodowca znaleziony przez Birgit był z Saarland. Trzy godziny jazdy, aby powiedzieć dzień dobry. Jeśli ktoś, kto, jak moja siostra, chce zdecydowanie najmodniejszego psa - uważanego za najbardziej rodzinnego golden retrievera - musi przejść przez procedury podobne tym, jakie przechodzą przyszli rodzice przy adopcji hinduskiej sieroty. Czy jest się w stanie zapewnić psu porządny dom? Jakie ma się wyobrażenie o wychowaniu zwierzęcia? Kto będzie się o niego troszczył? Ile osób będzie w najbliższym otoczeniu? Czy państwa dzieci nadają się do towarzystwa dla psa? Czy kiedykolwiek mieli państwo w domu zwierzęta? Po pierwszym wywiadzie moja siostra nie okazała się pewnym kandydatem. Nadawała się jedynie na listę oczekujących. Nic ponadto.

- Nie mogę pani niczego obiecać - tylko to powiedział hodowca. - Jest wielu innych chętnych.

Moja siostra nie ukrywała irytacji, bo nie jest kobietą, która chętnie czeka.

- Ale w czym tkwi problem? - pytała hodowcę tak grzecznie, jak tylko potrafiła.

- Nie jestem pewien, czy chce pani rzeczywiście całkowicie poświęcić swoje życie psu - powiedział bardzo serio hodowca.

Dla Birgit tego było już za wiele.

W następny weekend wybrała się do schroniska dla zwierząt. Obejrzała sobie trzydzieści siedem psów, osiemdziesiąt pięć procent z nich stanowiły psy bojowe.

- Nazywając je psami bojowymi, robimy im krzywdę - powiedziała kierowniczka schroniska. - Niech pani zrozumie, zwierzęta nie są winne temu, co zrobią z nich właściciele. Te psy potrzebują swojej szansy.

Birgit przytaknęła, odczuwając patos chwili i pod delikatnym naciskiem kierownictwa schroniska natychmiast przeznaczyła pewną sumkę na ochronę zwierząt. Choćby z tego powodu, aby dać szansę i sobie. Pomimo to nie chciała wziąć pod swój dach białego, krzywonogiego staffordshire'a, teriera o znaczącym imieniu Szef.

- Kiedy nosi kaganiec, jest zupełnie nieszkodliwy - podkreśliła kierowniczka i pogłaskała groźnie spoglądającego psa. - Szef jest jakby stworzony dla pani. Pies z charakterem, który nie pozwoli sobie na wszystko. Przecież nie chce pani bezwolnego zwierzaka. Ten nie jest uległy.

Birgit pozostała niezłomna. Nie odważyła się nawet pogłaskać Szefa, a tym bardziej przyznać się otwarcie, że wolałaby raczej posłuszny egzemplarz. Trzynogi foksterier, Karolek, który wpadł jej w oko (być może dlatego, że prawie nie potrzebowałby wybiegu), nie nadawał się, niestety, na towarzystwo dla dzieci.

- On nie znosi dzieci - wyjaśniła kierowniczka z bólem w głosie. - I słusznie, jeśli go denerwują, to nic dziwnego, że potrafi ugryźć. Pies doprawdy nie jest tak wielką kreaturą jak człowiek - kierowniczka na okrasę zafundowała siostrze mały wykład o psach. - Zwierzę jest szczerze. I nigdy nie rozczaruje - poinformowała ją. - Ja na przykład przebywam tylko ze zwierzętami.

Birgit pomyślała wtedy, że rzeczywiście zapach na to wskazuje. Po tych doświadczeniach w schronisku siostra zwróciła się ponownie do hodowcy, prawie go błagając.

- Dobrze - hodowca zmiękł - niech pani jeszcze raz tu przyjedzie. Ale z całą rodziną. Muszę sobie o was wyrobić jakąś opinię.

Birgit przygotowała stosownie całą rodzinę na to wydarzenie. Wszystko sprawdziła, trenowała odpowiedzi, a po tym, jak przeczytała przynajmniej trzy książki na temat wychowania i

pielęgnacji retrieverów, jeszcze raz popędziła do Saarland. Hodowca był mimo wszystko pod niewielkim wrażeniem.

- Pani syn jest jeszcze zbyt mały na psa, nie chciałbym, żeby go męczył - wyraził swoje wątpliwości.

Birgit niewiele brakowało, aby się poddać i kupić kanarka.

Potem jednak los się odwrócił. Jedna z pań, która była na głównej liście oczekujących, przyznała się przy odbiorze szczeniaka, że pies pójdzie do kojca i będzie pilnował domu. Hodowca mało nie dostał zawału z przerażenia. Tym samym moja siostra przeskoczyła z listy rezerwowych na miejsce tej pani. Chciała psa, a dostała suczkę.

- Lepiej do pani pasuje - zdecydował hodowca. - Ja dopasowuję szczeniaki do właścicieli.

Gdyby wiedział! Birgit jest typem kobiety, która najlepiej się czuje w męskim towarzystwie.

- Im mniej testosteronu w twoim otoczeniu, tym lepiej - pocieszałam ją wówczas.

Od czasu kiedy moja siostra została właścicielką psa, stała się bardziej troskliwa i uważna wobec Ateny - bo tak nazwała nowego pupila - niż wobec własnych dzieci, Desdemony i Siegfrieda. Warto jeszcze wspomnieć, że fatalnie je wychowuje.

Dzisiejszym telefonem przypomniała mi, że obiecałam zostać dzisiaj niańką jej psa.

- Wiesz, Andrea, musimy pojechać na urodziny do matki Kurta. Atena będzie spała dziś u was. Zaraz ci ją przywiozę. Tak jak się umawialiśmy.

Cholera jasna, zupełnie zapomniałam! Ale nic nie szkodzi, jedno mniej czy więcej w domu nie robi różnicy. Odpowiadam tak, jakby intencja telefonu Birgit była dla mnie od początku jasna. „Już czekam na waszego czempiona i bardzo się cieszę”, szachruję trochę. Przy najmniej Mark będzie uszczęśliwiony zapowiedzianą wizytą. Uwielbia psiaka. Kiedy jesteśmy u mojej siostry, godzinami mógłby przy nim siedzieć i go głaskać. Jeśli tylko jego kuzyn mu na to pozwala. Posiadanie psa jest wśród dzieci największym triumfem. Przechwałka nie do pobicia - brzmi tak imponująco. Ponieważ pies przyjdzie bez swojego surowego małego właściciela Siegfrieda, Mark wydaje się tym bardziej zachwycony. Natomiast mój entuzjazm jest raczej ograniczony. Owszem, pies jest miły, ale niezwykle wymagający. I wszędzie zostawia kłaki. No, jeden dzień wytrzymam.

W takim razie Sigrid i ja pójdziemy sobie na spacer. Rozmawiać można przecież także podczas spaceru. A jakie to korzystne dla figury! Nie, żeby Sigrid tego potrzebowała, ale mnie ruch na pewno nie zaszkodzi.

Już pół godziny później Birgit stoi pod moimi drzwiami. Atena (podkreślam - pies) ma więcej bagażu niż mój małżonek na czternaście dni urlopu.

- Czy ona zostanie już na zawsze? - pytam lekko oszołomiona.

Moja siostra marszczy czoło.

- Bzdura. To tutaj to karma. Najpierw trzeba ją trochę zmiękczyć, a potem, po około piętnastu minutach dodajesz, mieszając, wiejskiego serka i jajko. Tylko żółtko. Wiejski serek przywiozłam ze sobą. Nigdy nic nie wiadomo.

Nic nie wiadomo? Czy mam zawsze w domu wiejski serek i inne tego typu cuda? Oczywiście, że nie mam! Dlaczego miałabym mieć? Serek wiejski jest najbardziej mdłym produktem spożywczym, jaki znam. Kto go w ogóle lubi? Biedny pies. Ale w sumie, póki sami nie musimy zjadać tego serka, wszystko mi jedno.

- To tutaj to jej legowisko. A to smycz i przytulanka. Bez kołderki nie położy się zbyt chętnie. Ach, Andrea, byłoby dobrze, gdyby spała w pobliżu was. Bardzo potrzebuje bliskości człowieka. Jest niesamowicie wrażliwa.

Upominający wzrok mojej siostry podkreśla dodatkowo jej dyrektywę.

- Nie ma problemu - kiwam głową.

- I jeszcze jedno. Drobnostka. Atena ma cieczkę, ale przyniosłam wystarczająco wkładek. Nie zapomnij regularnie zmieniać.

Wtedy dopiero udaje mi się dostrzec, że psina nosi pod swoją złotożółtą sierścią coś w rodzaju spodenek.

- I, Andrea, uważaj na psy. Żeby tylko Atena nie przyniosła do domu niechcianej niespodzianki - chichocze na pożegnanie.

Przyrzekam jej osobiście zmierzyć się z każdym natrętnym psem, a moja siostra wreszcie odjeżdża.

- Uff! - mówię do suczki - pobędziemy trochę razem. - Chodź za mną, ty włochata bestio.

Na powitanie Atena dostaje parę plasterków kielbaski. Moja siostra zawsze się dziwi, czemu ten pies tak się do mnie przymila, ale ani pies, ani ja nie zdradziliśmy się z naszym małym kielbasianym sekretem. Mnie też nie podobałoby się być skazaną tylko na serek wiejski i suchą karmę. Taka zdrowa i zdyscyplinowana! Zupełnie jak moja siostra. Ona też nie ma pro-

blemów z figurą. „Uważam na to, co jem. Chcę w końcu utrzymać swoją figurę” - powtarza często niepytana. Zwłaszcza przy mnie, bo sama nigdy nie byłam mocna w rozmowie na ten temat. Wieczorami, przy telewizji moja siostra zajada się kalarepką. Chyba nic więcej nie trzeba tu dodać. Gdyby wiedziała, że potajemnie tuczę jej ukochaną Atenę, chyba by się przekreśliła. Wielką zaletą psa jest, że na mnie nie nakabluje.

Atena i „zarózczkowany” Mark siadają w pokoju.

- Czy mogę zabrać ją do siebie? - pyta mnie.

- Jeśli bardzo chcesz - odpowiadam i dodaję: - Bądź dla niej miły.

- Tak, mam - odpowiada mój syn.

Jakie to piękne i krótkie zdanie: Tak, mam.

Wykorzystuję wolną chwilę, aby zatelefonować do Heike. Wiadomość, jaką przygodę zgotował mi jej prezencik, zrobiła na niej wielkie wrażenie.

- Przykro mi z powodu bmw, ale sprzedawczynie tak gorąco polecała mi tego napaleńca. Osobiście nie mam często do czynienia z tego typu fallusowymi bajerami i dlatego polegałam w pełni na jej opinii. Twierdziła, że pilot jest absolutnym przebojem. Całymi dniami, bez przerwy sprzedaje te rzeczy. Andrea, naprawdę, bardzo cię przepraszam.

Wybaczam od razu. Miała dobre chęci, a liczy się przecież zamiar. Heike też przyjedzie jutro na urodzinową niespodziankę dla Christopha. Super! Będzie naprawdę wspaniała niespodzianka! Moja przyjaciółka obiecuje, że po imprezie dyskretnie zabierze różowego napaleńca i niezwłocznie prześle mi coś w zamian. Przyznaję, że jest trochę używany, ale zdaniem Heike to żaden problem. Te przedmioty można przecież wymyć. Na zakończenie rozmowy pyta, czy byłoby okay, gdyby kogoś ze sobą przywiozła.

- Masz przyjaciółkę? - pytam podekscytowana. Wreszcie! Już dawno na to czekałam.

- Zobaczysz - mówi tylko. - Do jutra.

Bardzo bym się ucieszyła, gdyby Heike wreszcie kogoś sobie przygruchała. Jest bardziej wybredna niż jakakolwiek heteroseksualna kobieta, jaką znam.

- Przyczyna leży w ograniczonym wyborze - mówi, kiedy ją o to zagaduję. - Wy, hetero, macie większy wybór i więcej możliwości poszukiwań. Lesbijek nie ma tyle, co piasku na plaży. A nawet jeśli się kogoś spotka, nie znaczy jeszcze, że ta osoba ma takie same preferencje seksualne. A przede wszystkim powinna mi się podobać.

Mocno naciągane. Wymagania Heike są przecież oczywiste: świetny wygląd, krótkie (najchętniej bardzo krótkie, ale nie ścięte „na chłopaka”, bardzo jasne włosy), ładna, szczupła

figura, lecz z możliwie dużym biustem. Do tego megawysoki iloraz inteligencji. Aha! Bez poczucia humoru nie miałyby szans. A babek z CSU\* nie znosi.

\* Christlich-Soziale Union-Unia Chrześcijańsko-Społeczna (CSU); bawarska chadecja.

Sigrid przychodzi już wpół do trzeciej. Jej Betty jest w szelkach, w nosidelku. To dziecko jest prześliczne. Jak malowana! Bujne włosy, kręcone jak korkociąg (dokładnie takie jak u mamy), olbrzymie oczy - naprawdę urzekająca istotka. Jeszcze nigdy nie widziałam grymaszącej Betty. Cudowne dziecko.

- Co ty jej dajesz, że jest tak spokojna? - często pytam o to Sigrid.

- Zwyczajny, szczęśliwy przypadek. Dla równowagi przy moich chłopcach. Nagroda za to, że wychowałam już dwa chłopaczyska. Bóg jednak bywa sprawiedliwy.

Mam wielką nadzieję, że ma rację - byłaby to duża zaleta Pana Boga. Po przeżyciach z komunikacją miejską i wibratorową katastrofą mała nagroda zdecydowanie by się przydała.

Postanawiamy pójść na piechotę do przedszkola i razem odebrać Claudię. Z psem. Kiedy mamy już połowę drogi za sobą, przypomina mi się, że Atena cały czas ma założone majteczki. Niestety, kilka sekund za późno. Przez ten czas zdążyła znaleźć już sobie niejedną kawałek trawniczka na załatwienie tego, co psy zwykły na trawnikach załatwiać.

- Ona ma jeszcze na sobie majtki! - krzyczę i biegnę w jej stronę, ale jest już za późno.

Pies już w nie narobił. Co ja teraz zrobię z zafajdanym psem? To coś wydostaje się z każdej strony. Majteczki dla psa to, niestety, nie pielucha. Jest to raczej rodzaj stringów z wkładką, która nie daje rady psiej kupie. Nawet w najmniejszym stopniu. Betty i Mark krzyczą jednocześnie pfuj, a ja najchętniej zostawiłabym psa tam, gdzie stoi. Szperam w moich torbach, znajduję wprawdzie dwie, dosyć pomięte papierowe chusteczki i zabieram się do wycierania psiej pupy. Atena myśli, że jest to dodatkowa porcja pieszczot, i merda jak oszalała ogonem. Fantastycznie! W ten sposób powierzchnia sierści do wytarcia powiększa się. Dlaczego moja siostrunia nie sprawiła sobie yorka? Wtedy moje wyposażenie w postaci dwóch chusteczek higienicznych „Tempo” - minimalne, bo minimalne - miałyby jakieś szanse. Tymczasem całość jest jedną wielką babraniną. Wszystko pozostało na sierści psa, a ja mam ochotę zawyć. O rany Julek, gdzie mam teraz wyrzucić te chusteczki!?! Nigdy nie ma w pobliżu koszy, kiedy są naprawdę potrzebne. Sigrid stoi przy krawężniku i nie może przestać się śmiać. Zawsze chociaż jedna z nas dobrze się bawi.

- Przytrzymaj tego psa, żebym mogła go wytrzeć jeszcze pod spodem - proszę ją.

Ona jednakże potrząsa grzywą.

- Andrea, zostaw. Zrobimy to potem.

Zgadzam się, bo to prawdopodobnie najrozsądniejsze rozwiązanie, ale co mam zrobić z psimi majteczkami i chusteczkami? Ten delikatny ekwipunek trudno byłoby dołączyć do zawartości mojej torebki. Decyduję się zostawić wszystko na trawniku. To takie obrzydliwe. Nie mogę przecież pójść do przedszkola z ufajdanymi psimi majteczkami w rękę, a tym bardziej po moim telewizyjnym występie w tramwaju. Z drugiej strony, czy nie mówi się, że reputacja jest dopiero wtedy zrujnowana, gdy nie odczuwa się zażenowania? Tak, położę to tutaj. Ten smród jest zbyt okropny.

Odbieram Claudię. Reszta towarzystwa i utyflany pies czekają na zewnątrz. Za chwilę ktoś mi przypomni o przyszłotygodniowym terminie prac w przedszkolnym ogrodzie. Tymczasem żebrzę o jakąś plastikową torebkę. Tam w drodze powrotnej będę mogła upchnąć psie majteczki.

Jednak rzeczony majteczki zniknęły. Do czego to dochodzi w dzisiejszych czasach? Czy ludzie zabierają wszystko, co nie jest przyspawane lub mocno przybite gwoździami? Popyt jest nawet na ufajdane majteczki! Tylko chusteczki jeszcze tu leżą. Nie może mi się to pomieścić w głowie. Pakuję mimo wszystko chusteczki do plastikowej torebki, aby przynajmniej w ten sposób zademonstrować swoją dobrą wolę.

Niewiarygodna historia z kradzieżą majteczek wyjaśnia się, kiedy spotykamy panią Jürgens. Rzekomo daleką krewną Udo Jürgensa. Mieszka blok dalej i jest znaną osobą w tej okolicy. Głównie z powodu swego psa - niezwykle okazałego owczarka, przed którym całe otoczenie odczuwa głęboki respekt. Chociaż jeszcze nigdy się nikomu nie naprzykrzył, budzi powszechny strach. Przede wszystkim dlatego, że pani Jürgens trzyma go zawsze blisko siebie i na krótkiej smyczy. Słysząc ją już z daleka, kiedy krzyczy:

- Proszę nie dotykać! Rex tego bardzo nie lubi.

Tak jakby cały naród o niczym innym nie myślał, jak tylko o głaskaniu Reksa. Ale zawsze to lepiej, niż gdy psisko wielkości cielaka rzuca się na kogoś, a jego pani lub pan krzyczy: „On chce się tylko pobawić!”. Niedawno słyszałam, jak ktoś wołał: „Zwykle nic nikomu nie robi”. Co znaczy „zwykle”? I kiedy jest to „zwykle”?

Pani Jürgens była zupełnie wytrącona z równowagi.



- Niech pani sobie wyobrazi, pani Schmidt, co też mój Rex złapał dzisiaj do pyska! Coś tak obrzydliwego! Majtki! Bardzo dziwne majtki. Z boku można je było odpiąć. Takie z zapięciem. Ciężko mi to wymówić, ale z wkładką i tym wszystkim. Do tego kompletnie zasrane.

Ostatnie słowa prawie szepcze i potrząsa z oburzeniem misternie ułożonymi loczkami. Myślę, że pani Jürgens należy do tych nielicznych kobiet, które jeszcze robią trwałą. I kiedy jej loczki ciągle drgają z nieukrywanego oburzenia, dzieje się coś strasznego. Reks zrywa się i rzuca na Atenę.

- Ona ma cieczkę! - wykrzykuje, ale nie doceniam burzy hormonów u Reksa.

Dwie zdenerwowane kobiety nie potrafią przechytrzyć rozochoczonego owczarka. Pani Jürgens ciągnie go w jedną stronę, a ja Atenę w drugą. Rex jednak dokładnie wie, co zrobić. Na szczęście nie wygląda na to, żeby był w typie Ateny. Ta nie da się tak łatwo pokryć, i mogę ją zrozumieć. Nie powinno się obyć bez odrobiny konwersacji lub delikatnego obwąchania. Albo przynajmniej króciutki, wspólny spacer. Atena nie jest łatwą „dziewczynką”. Zaczyna gryźć. Nie widziałam jeszcze tego spokojnego zwierzaka w takim stanie. Broni się i nie pozwala się dopaść Reksowi.

- Pani Schmidt, jak pani może wyjść z takim psem z domu? - pyta mnie zbulwersowana pani Jürgens.

- Która z nas traci kontrolę nad swoim psem, pani czy ja? - odpowiadam pytaniem na pytanie i jestem bardzo zadowolona, że w końcu udało się pani Jürgens odciągnąć Reksa na drugą stronę chodnika.

Czy zdaniem mojej siostry byłby to wymarzony kandydat dla Ateny? Wątpię.

Rex sapie przeraźliwie. Musi być gorzko rozczarowany, że był tak blisko celu, a tu nici. Liże sobie rany. Atena majestatycznie otrzepuje sierść i wyraźnie rozkoszuje się swoim zwycięstwem. Biedna pani Jürgens. Przy takich staraniach, jakie poczynił Rex, będzie na pewno pysznie wyglądał. Atena nie jest w końcu całkowicie wytarta po awarii z majteczkami. Na pewno Rex też się w tym nieźle utyłł. Ale jego pani będzie zła! Teraz szybko trzeba zmykać, z dala od pani Jürgens i jej naszpikowanego hormonami Reksa. Prędzej czy później skojarzy jedno z drugim i domyśli się, do kogo należały osobliwe majteczki z wkładką. Dobrze, że nie ma jeszcze zwyczaju badania DNA psiej kupy. Kiedyś ktoś rzucił zupełnie serio taką propozycję - aby wreszcie właściciele psów nie czuli się tak bezkarni za pozostawione dookoła miny. Do dzisiaj uważałam, że pomysł nie jest zły. Proszę, jak szybko można zmienić zdanie.

Oblewamy Atenę wodą ze szlauchu w ogrodzie. W takim stanie pies nie może wejść przecież do domu. Nie mam ochoty znajdować na jutrzejszym party resztek kupy na dywanie, a tym bardziej na garniturze doktora Langnera! Jeszcze tego by brakowało! Dzieci mają dobrą zabawę z prysznicą Ateny. Podkulony ogon wystaje spod jej brzucha. Trzęsie się. Biedactwo. Myję całego psa szamponem. Jeśli mycie, to kompletne. Ponieważ jest mi trochę żal biedaczki, używam szamponu do włosów wrażliwych. Nie będzie piekł w oczy. Odżywkę już jej daruję. Czy to ma jakieś znaczenie dla psa, czy włos da się potem łatwo rozczesać i czy uzyska niepowtarzalny jedwabisty połysk? Dzieci i Atena zostają na dworze.

- Dopóki ten włochaty czworonóg do końca nie wyschnie, zostanie tutaj - decyduję kategorycznie.

Markowi przeszła już gorączka, a świeże powietrze mu nie zaszkodzi. Dzwoni moja siostra z pytaniem, jak ma się pies.

- Fantastycznie - kłamię - jest jak nowy.

To z kolei nie jest do końca nieprawdziwe. Birgit czuje się uspokojona i dziś wieczorem ma zamiar zadzwonić jeszcze raz.

- Jak uważasz - mówię trochę poirytowana i odkładam słuchawkę.

Dopiero teraz Sigrid i ja mamy chwilkę, żeby opowiedzieć sobie nowinki.

- Szaleństwo! - mówi tylko, kiedy relacjonuję jej wypadki z RTL-em i wibratorem. - Dasz mi go zobaczyć? - pyta zaciekawiona.

- No jasne! - odpowiadam i już drepczemy do sypialni. Pokazuję mojego napaleńca - Rambo od drzwi garażowych - i nie pozwalam Sigrid nawet tknąć pilota.

Opowiada mi (po mojej uprzedniej przysiędze, że zabiorę to ze sobą do grobu) o swoim wibratorze delfinku, z którego była bardzo zadowolona. Przyjemności te porzuciła jednak definitywnie, kiedy pewnego dnia, podczas kontroli bagażu na lotnisku we Frankfurcie, musiała rozpakować swoją walizeczkę i pod zaintrygowanymi spojrzeniami mężczyzn w garniturach zaprezentować ową zabawkę.

- Ale było mi wstyd! - wspomina. - Jak oni tam patrzyli tymi wybałuszonymi oczami! A jeden chłystek ze służby bezpieczeństwa bez przerwy włączał go i wyłączał. Myślę, że dawno nie mieli takiego ubawu. Oblałam się rumieńcem, a chciałam mieć tylko trochę przyjemności wieczorami podczas mojej krótkiej delegacji.

- Jak mogłaś schować delfinka do podręcznego bagażu? Czy to nie było trochę nierozsądne? - dziwię się.

- Wyjeżdżałam tylko na dwa dni i miałam jedynie bagaż podręczny. Poza tym schowałam delfinka do torebki na kosmetyki, a wcześniej jeszcze owinełam go w folię. Aluminiową folię. Myślałam, że to pomoże, ale zadziałało zupełnie odwrotnie. Nigdy nic nie wiadomo. Kto by pomyślał, że można być aż tak niedyskretnym? Wyrzucili zawartość mojej kosmetyczki: tampony, maszynkę do golenia, pęsetę, moje hormony na tarczycę - po prostu wszystko. I rozłożyli na oczach tych prostodusznych eleganckich biznesmenów. To było okropne! Tampony „extrachłonne” rozsypały wszędzie!

Mogę sobie łatwo wyobrazić całą sytuację. Sigrid czuła pewnie dokładnie to samo, co ja podczas jazdy tramwajem.

- To takie straszne - okazuję empatię - być skompromitowaną i zupełnie bezbronną.

- Oczywiście, tak - potwierdza moje myśli. - A na zakończenie przygody jeden z tych gapiów zajął miejsce koło mnie i podczas startu położył mi rękę na kolanie. Obrzydliwość! Kiedy chciałam ją odsunąć, powiedział: „Jeśli pani chce w łóżku prawdziwego zwierza, niech pani weźmie mnie. Zamiast swojego delfinka!”. Myślałam, że zwymiotuję. Najchętniej przyłożyłabym parę razy temu obleśnemu facetowi, ale się nie odważyłam. Natomiast opowiedziałam głośno o kłopotcie stewardesie i zapytałam o inne wolne miejsce. Niestety, wszystkie były zajęte. Wtedy jakaś starsza pani, dwa rzędy przede mną, wstała i powiedziała: „Niech pani tu przyjdzie, ja się z panią zamienię. Przy mnie większość z nich ma się pod kontrolą. W moim wieku jest się dla takich obleśniaków zupełnie niewidoczną”. I rzeczywiście - zabrała rzeczy i zamieniła się ze mną na miejsca. Mówię ci Andrea, to był spektakularny numer! W ten sposób każdy w samolocie dowiedział się, co za obrzydliwy, sprośny facet koło mnie siedział. Tego rodzaju aktu solidarności się nie spodziewałam. A ten typ, mówię ci, najchętniej wślizgnąłby się do swojego podręcznego bagażu. Przede wszystkim wtedy, kiedy kilkoro ludzi spontanicznie wyraziło swój aplauz. Na pewno szybko już nie położy swojej zaniedbanej łapy na żadnym kobiecym kolanie! A i paru innym taka lekcja na pewno się przyda! A teraz opowiem ci coś zabawnego. Arne jest zakochany. I to jeszcze jak! - zmienia temat.

Arne jest młodszym z synów Sigrid. Chętnie pali trawkę, nie przejmuje się zbytnio szkołą, lubi się bawić, czasami wagaruje i chce zostać aktorem.

- Andrea, ten mały tak się zmienił. Nie poznałabyś go! Ciągłe bierze prysznic (bez przymusu), sam dobrowolnie wkłada czyste ubranie i pędzi do szkoły. Codziennie! I bez napomnień z mojej strony. A wszystko dlatego, że jego wybranka chodzi z nim do tej samej klasy. Mam nadzieję, że on też się jej podoba i coś z tego wyjdzie. Wątpię, czy mój syn długo wytrzyma

taki program zaostrzonej dyscypliny. Poza tym naciska go brat. Nazywa go „dziewicą”, bo Arne jeszcze nie miał dziewczyny. A mój straszny syn z kolei od rana do wieczora opowiada nieproszony o pieprzeniu. Wybacz mi to słowo, ale tak właśnie rozmawiają chłopcy. Jak się na co dzień z takimi przestaje, przejmują się pewne paskudne sformułowania.

Zazdroszczę małemu, jeśli ma tyle do powiedzenia na ten temat. Ja akurat nie mam się czym chwalić. Odrobiny seksu nie można nazwać przecież wielkim ciupcianiem. Dużo bym przesadziła!

- Chciałabym móc więcej o tym powiedzieć - zwieram się Sigrid.

- Komu to mówisz? Ja prawie nie pamiętam, jak to się robi - wzdycha - a kiedy już raz wypadnie się z rytmu, potem cholernie trudno na nowo nabrać rozpędu.

Słowa mojej przyjaciółki zdecydowanie poprawiają mi humor. Czasami odnoszę wrażenie, że jestem jedyną kobietą na całym świecie, której mąż nie wykazuje ochoty. Nie żeby Sigrid nie należał się wspinały seks, ale niezwykle pociesza mnie, że nie jestem osamotniona w tej materii.

- Znam wiele par, w których kobiety miałyby ochotę, a panowie jak tylko wejdą do łóżka, od razu zasypiają - dodaje jeszcze.

Sigrid nie zna, niestety, rozwiązania problemu. Pójść do terapeuty, na nowo siebie poznawać i zacząć wszystko jeszcze raz? Łatwo powiedzieć! Nikt nie chce błagać na kolanach własnego męża o trochę seksu. Tak nieodzowne w końcu to nie jest. A może jednak? W każdym razie nikt nie ma ochoty tego przyznać. Ale na pewno nie doszło jeszcze do sytuacji, żeby skazać się na jałmużnę. Sigrid chichocze.

- W ostatnim przyływie namiętności kupiłam sobie cholernie seksowną bieliznę. W outlecie „La Perla”. Czerwono-czarną, z koronką i podwiązkami. Za sto trzydzieści euro. I tak przyjełam wieczorem mojego Waltera. Ubrana wyłącznie w te małe czerwono-czarne szmatki. Chłopcy wyszli, Betty spała w łóżeczku. Doskonale. Przygotowałam talerz owoców morza i butelkę chłodzonego szampana. Wszystko po to, żeby nabrać właśnie tej odrobiny rozpędu. Owoce morza są w tym wypadku bardzo polecane.

- I? - pytam. - Jak poszło?

- Bardzo się rozczarowałam - mówi. - Bardzo. Walter popatrzył na mnie, podniósł jedną brew i powiedział: „A co ty latasz po domu taka roznegliżowana? Wiesz przecież, jak szybko przeziębiasz pęcherz. Lepiej szybko się ubierz”. Potem pochłoniął owoce morza i zapytał, czy jest coś porządnego do jedzenia.

- I to wszystko? O cholera! - Jestem przerażona.

Opowiadam Sigrid, co powiedziała na ten temat moja przyjaciółka Sabine. Była totalnie skonsternowana, słysząc, że u mnie w łóżku nic się nie dzieje. Sabine uważa, że seks cztery czy pięć razy w tygodniu to coś zupełnie normalnego, dlatego chętnie zmienia partnerów. Przyrównała seks w długotrwałym związku do jedzenia w kantynie. I wtedy pomyślałam: Ma rację. Coś w tym jest! Ale zwróćmy uwagę, że jedzenie w kantynie nie zawsze jest niedobre. Wiesz, co dają. Znasz to i wiesz, że będzie ci smakowało. I nie musisz o każde jedzenie robić nie wiadomo jakiej afery. Jak się chce, można też szybko konsumować. Bez przystawki i deseru. To niewątpliwa zaleta. Poza tym nie ma takiego ciśnienia, żeby kleić się do siebie w każdej publicznej toalecie. Jest przecież dom.

- No tak, jeśli tak się na to patrzy... - wzdycha Sigrid. - Oczywiście coś w tym jest. Ale pięć razy w tygodniu to już by mnie denerwowało. Przecież są inne rzeczy do zrobienia.

Przyznaję jej rację i zadaję pytanie, które nie może mi cały czas dać spokoju:

- A gdzie do diabła jest ten „La Perla” outlet?

Opuszczamy sypialnię, aby rzucić okiem na nasze pociechy. Betty i Claudia zrobiły Ate nie przynajmniej dwadzieścia warkoczyków, poza tym wszystko w najlepszym porządku. Mark grzebie bezmyślnie w piasku. Czy wspominałam, że mój syn jest fetyszystą piaskownicy? Daj mu foremkę, a ten zacznie bez końca „piec babki”. A mówi się, że mężczyźni nie interesują się wypiekaniem ciast. Okay, gdyby go tak zostawić, uznaliby na pewno, że zniszczenie „piekarni” jest nawet trochę bardziej ekscytujące niż pieczenie, ale najczęściej udaje mi się zapobiec najgorszemu. Kiedy tak na niego patrzę w piaskownicy, przerzucającego w pełnym spokoju piasek łopatką, przypomina mi się ostatnie lato:

- Lecimy do Turcji - ale się cieszę! Jest to nasz pierwszy długi urlop we czwórkę. Mark ma roczek i osiem miesięcy, a Claudia prawie pięć lat. W tym roku pozwalamy sobie naprawdę na wspaniałą podróż. Kategorycznie odrzuciłam możliwość wynajmu domku letniskowego. Zajmowałabym się na urlopie tym, czym zwykle się zajmuję. Tylko nie zmywanie naczyń! Dziękuję bardzo. Na czas wakacji mogę zrezygnować z prania i gotowania. I chętnie poznałabym kogoś nowego. Ostatni długi urlop mieliśmy trzy lata temu. Costa de la Luz. Ależ było pięknie! Samo słońce! Christoph i ja mamy w tym roku małe życzenie - chcemy mieć trochę czasu dla siebie.

Dlatego załatwiamy sobie klubowy urlop - jedziemy do „Klubu Robinsona”. Nie dlatego, że chcemy być nieustannie zabawiani przez animatorów. Wręcz przeciwnie - myśl, że ktoś

mógłby przez cały czas stać obok mojego leżaka i namawiać mnie do wesołych zabaw w basenie, szlachtowania gąbek morskich (ależ ubaw!) lub poświęcenia godzinki na aerobik w palącym słońcu, jest wręcz odstrasżająca. Prospekt obiecuje jednak oprócz zabaw i sportu coś naprawdę wspaniałego. Opiekę nad dziećmi - również najmłodszymi. Oczyma wyobraźni już widzę, jak leżymy sobie na plaży z kolorowymi koktajlami w ręku, zapatrzeni w morze. Bez dzieci, które muszą iść natychmiast do toalety, na gwałt potrzebują lodu albo zaraz chcą budować zamek z piasku. Na trzy godziny rano i trzy godziny po południu można oddać dzieci do tak zwanego miniklubu. Z tego względu urlop ten jest cholernie drogi. Zdaję sobie naturalnie sprawę, że takie podejście ma w sobie coś groteskowego. Najpierw człowiek cieszy się z dziecka jak wariat, a po krótkim czasie jest gotowy zapłacić niebotyczną sumę, aby ktoś przez parę godzinek zajął się maluchem. Jest to trochę zwariowane, jednakże bardzo nęcące. Rezerwujemy dwa tygodnie na tureckiej Riwierze. Bezwzględnie chcę słońca, a w Turcji pada nadzwyczaj rzadko.

- Będziecie spływać potem - twierdzi moja mama.

Mimo jej ostrzeżeń jakoś się tym w ogóle nie przejmuję. Jak wystarczająco długo siedzę w cieniu i nikt nie oczekuje ode mnie niczego wielkiego, nie mam najmniejszego kłopotu z upałem.

- Jak będziesz przechodzić menopauzę, podejdziesz do kwestii upałów z większym dystansem - kwituje mama.

Tymczasem jestem zupełnie spokojna. Jeśli mamy się spocić w trakcie urlopu, to tylko z powodu naszej karty kredytowej.

Do życia na klubowym urlopie należy się przyzwyczaić. Człowiek staje się zwierzęciem stadnym. Wszyscy mówią sobie po imieniu, a stare wygi, które sprawiają wrażenie, jakby się w takim klubie urodziły, objaśniają nowo przybyłym zasady funkcjonowania tego małego światka. Światka klubowego życia.

Reguła numer jeden: niestosowne jest zasiąść do jedzenia tylko w towarzystwie własnej rodziny. Absolutnie nie do pomyślenia! To sakrament. Od czego są tutaj te sławne stoły z ośmioma krzesłami? Właśnie po to, aby spotkać się z innymi ludźmi przy posiłku albo spontanicznie się do kogoś przysiąść i porozmawiać. Reguła ta, jak większość reguł, ma swoją dużą zaletę: jeśli ktoś ma ochotę zawierać znajomości, ma to ułatwione. Trzeba usiąść gdziekolwiek - no bo kto chce jeść na stojąco? - wtedy szuka się wzrokiem sympatycznie wyglądającej rodziny (może już wcześniej poznanej na plaży) i zadaje pytanie, czy można się przysiąść. Po-

wiedzenie „nie”, jeśli ktoś się pyta, uznane jest za absolutnie niegrzeczne, dozwolone tylko wtedy, gdy jest się już umówionym z kimś innym. Nikt w klubie nie zapomni wieczoru, kiedy to pewna pani (względnie nowa) na pytanie „czy można się dosiąść?” odpowiedziała beztrąsko, że nie, bo chciałaby zjeść tylko w towarzystwie swojej rodziny. Prawie grzech śmiertelny, który doprowadził do tego, że przez najbliższe tygodnie była postrzegana jako ta, która rzuca się w oczy swoim niewłaściwym zachowaniem.

Reguła numer dwa: po kolacji chodzi się na organizowane przez klub różnego rodzaju show. Nie ma to znaczenia, czy lubisz musicale, czy też gustujesz w czymś zupełnie innym. Kto decyduje się na klubowy urlop, nie może opuścić klubowych show. Po pierwsze, są one wliczane w cenę urlopu, po drugie, i tak nie można od nich uciec, ponieważ taka impreza zaopatrzona jest w bezlitosny sprzęt nagłaśniający.

Poza tym nasza córka Claudia wykazuje fatalne skłonności do show-biznesu. Jak mały pies Pawłowa, ciągnie nas wieczorami do klubowego amfiteatru, gdzie pocimy się jak myszy. Mamo, miałaś rację, jest barbarzyńsko gorąco i parno, nawet w nocy o wpół do jedenastej! Patrzymy z podziwem na biednych animatorów skaczących w grubych kostiumach kotów do piosenki z musicalu *Cats* lub w czymś podobnym i tęsknimy za małym, zacisznym barem na plaży, chłodnym piwem i strefą wolną od dzieci i musicali.

Raz w tygodniu jest duże dziecięce show. Wydarzenie tygodnia z kamerą wideo. Claudia naturalnie chce brać w nim udział. Światło reflektorów ma magnetyczną siłę. Jeśli ktoś chce wystąpić wieczorem, musi ćwiczyć w ciągu dnia. Nie było to zupełnie jasne dla naszej córki. Połknęła jednak bakcyla i grzecznie poszła do miniklubu na próbę.

Rozkład dnia jest w klubie bardzo napięty. Całą dobę można uprawiać sport. Już rano, o siódmej trzydziści, w programie widnieje jogging.

- Pójdę tam - oświadczam trzeciego dnia urlopu, mając pełne usta jedzenia.
- Miłej zabawy - mówi tylko mój mąż.

Sam nie ma ochoty. Według niego jest zbyt gorąco na bieganie. Chociaż właśnie on jest w naszym związku tym, który biega. I to biega regularnie. Dla urozmaicenia. Często wysłuchuję hymnów pochwalnych pod adresem joggingu: „Oczyszcza głowę i odpręża”. Tutaj, na urlopie, oferuje wspaniałomyślnie, że zaopiekuje się w tym czasie dziećmi.

- Spotkamy się przy śniadaniu, jak już będziesz po joggingu. - Tymi słowami pozwala wyzwolić się mojemu sportowemu duchowi.

Odprężenie. Dobre sobie! To jest piekło! Jesteśmy ośmioosobową grupą. Pięciu facetów, dwie kobiety - jedna z nich to ja - i animator, nasz przewodnik. Zadziwiające, jak może być gorąco o tak wczesnej porze. Jeden z mężczyzn tak już się spocił, że zaczynam się o niego martwić. Jeśli on tak się poci po przejściu od swojego pokoju do miejsca spotkania, to nie może być przecież objaw zdrowia. Żeby nie dostał tu zawału! Oczyma wyobraźni już widzę, jak próbujemy go wszystkimi siłami reanimować. Niesłusznie, jak się okazuje. Ten pan biegał już godzinę po plaży na rozgrzewkę. Ale się przejął. Pewnie myśli, że taki krótki bieg ze słabeuszami - sportowcami od święta (takimi jak na przykład ja) nie jest w stanie wykorzystać w pełni sił mężczyzny.

- Jeszcze się tu nabiegam - objaśnia pyszałkowato.

- Od czasu do czasu trzeba pobiegać powoli. Jestem maratończykiem. Biegłem też te słynne sto kilometrów w okolicach Biel. Tutaj to raczej rekreacja. Ach, nie przedstawiłem się jeszcze. Nazywam się Klaus.

Jakie to sympatyczne! Muszę zapamiętać sobie jego twarz, żeby wieczorem z przeoczenia nie usiąść koło tego pyszałka-przyjemniaczka.

Moja jedyna sojuszniczka, kobieta, wygląda szalenie sportowo. Włosy ma związane w dwie kitki jak u Pippi Långstrump, a na głowie nosi piracką chustkę. To chyba taki klubowy trend. Mnóstwo kobiet, podobnie wystylizowanych, biega tutaj dookoła. Taki styl wylansowały przyjaciółka Oliego Kahna, Verena, albo Cora Schumacher, żona Ralfa. Pasuje to może do uroczych trzynastolatek, ale według mnie u dorosłych kobiet jednak razi. Co one chcą tym pokazać?

Tak czy siak moja sojuszniczka nazywa się Lili i chętnie biega również w domu. Ale tylko w studio fitness. Oprócz tego uczy od czasu do czasu aerobiku i pilates\*. Ma na swoim koncie wiele kursów i warsztatów w LA.

\* Metoda ćwiczeń fizycznych przy dźwiękach spokojnej muzyki; ma na celu poprawę wyglądu ciała oraz wprowadzenie w dobry nastrój.

- My w Niemczech jesteśmy daleko w tyle. Amerykanie noszą zupełnie inne rzeczy - opowiada mi.

Lili wygląda fantastycznie. Ma na sobie malutkie spodenki, a do tego turkusowy staniczek. Patrząc na nią z zazdrością. Gdybym ja latała tu po lesie w takich ciuszkach, gwarantowane, że tubylcy uznaliby mnie za kawałek przerośniętego mięsa, który właśnie uciekł spod ręki



rzeźnika. Ale moja nowa koleżanka jest idealnie zbudowana. Jak te babki to robią, że tak się trzymają? A przede wszystkim - jak powinny się nosić trzynastolatki, jeśli takie wapniaki jak my w sprawach mody tak swobodnie wchodzą na ich teren?

Animator, Tim, wysoki, posągowy przystojniak (z pochodzenia wuppertalczyk) rozdaje zegarki do mierzenia pulsu, upomina, aby trzymać się grupy, i objaśnia trasę.

- Moi państwo, będziemy biec przez las piniowy, trzymajcie się razem, inaczej można się łatwo zgubić. A jeśli tak się zdarzy, nie schodźcie ze szlaku. Oznaczyliśmy całą trasę.

Na szczęście trasa wiedzie przez las. Bieg plażą byłby zbyt męczący. Właściwie najchętniej zawróciłabym zaraz do pokoju. Wygląda mi to na piekielnie profesjonalną i poważną sprawę. Ale zawrócenie z trasy byłoby teraz hańbą - nie mogę tego po prostu zrobić. Najpóźniej za trzy godziny miałabym kompletnie przechlapane. Coś takiego szybko się rozchodzi. Przechodzę więc do ofensywy:

- Nie mam wprawy, a bieganie nie jest moim ulubionym sportem - uprzedzam spodziewaną klapę.

Zawsze lepiej tak to rozegrać, jakby nic się nie potrafiło, a potem zaskoczyć znacznie lepszym wynikiem. Stosowanie takiej taktyki zawsze wychodziło mi na dobre. Tutaj raczej nic z tego nie wyjdzie. Grupa patrzy na mnie mało zachwycona. Tylko Tim, nasz animator, nie daje nic po sobie poznać.

- Nie ma problemu, Andrea, dostosujemy się do najsłabszych w grupie.

Nareszcie to ja jestem tą, która określa warunki. Zawsze coś.

- No to wszyscy za mną - wołam usatysfakcjonowana do towarzystwa.

Trzeba się mentalnie stymulować. Niektórzy robią krzywe miny.

- To jak, zaczynamy wreszcie? - dopytuje się pyszałek, który na rozgrzewkę biegał już godzinę po plaży, a teraz nerwowo kłusuje w miejscu niczym jakiś hiperaktywny koń.

- Tak jest! - odpowiada Tim i startujemy.

Czy on powiedział, że „tylko najszybsi dostaną śniadanie”, bo niby dlaczego wszyscy tak pędzą przed siebie? Czy czegoś nie usłyszałam? Pięknie się zapowiada! Biegniemy wzdłuż drogi. Dwaj Turcy, którzy siedzą na krawężniku i w błogim spokoju łuskają pistacje, patrzą na nas jak na chorych psychicznie i w duchu przyznają im rację. Dlaczego ja to sobie robię? Po około czterystu metrach skręcamy w dosyć wyschnięty laszek piniowy, a mój puls osiąga tymczasem sto sześćdziesiąt. Mam nadzieję, że przeżyję tę małą wycieczkę. Pyszałek wyprzedza.

- Tim, ja znam tę trasę i wybiegnę trochę do przodu - informuje animatora, a ten się zgadza.

Jest to znak także dla innych. Cała grupa przebiega obok mnie. Co ty sobie, Andrea, myślisz - przecież było do przewidzenia, że nikt tu nie będzie na ciebie czekał!

- Nie mogę szybciej! - jęczę. Nawet trudno jest mi mówić.

- Trenujesz regularnie? - dopytuje się Tim.

Czy to ma być mały żart? Czy on się ze mnie nabija? Chciałabym teraz usiąść i dojść do siebie. Co ja właściwie robię w tym brzydkim lesie? Wszędzie walają się śmieci i tyle tu piasku. W lesie! Równie dobrze mogliśmy pobiegać po plaży. Jeśli już mam się tak męczyć, przynajmniej bym się przy tym opaliła. Na plaży jest też mniej śmieci. Mój puls osiąga sto siedemdziesiąt i Tim zaczyna się nade mną litować.

Idziemy parę kroków i rozmawiamy. To jest o wiele przyjemniejsze. Tim pracuje w klubie od dwóch lat. W zimie w klubie narciarskim, a w lecie zawsze tu, w Turcji.

- Czy to twoje wymarzone zajęcie? - dopytuję się.

On zaczyna się śmiać, nawet trochę histerycznie.

- Na początku tak było. Ale teraz to już dla mnie okropność. Urobisz się z takimi typami jak ten Klaus. Wszyscy to alfy i omegi, małe bossy, których wymaganiom nigdy nie można sprostać. Oni wiecznie próbują ci pokazać, że wszystko lepiej potrafią. Szlag mnie wtedy trafia.

Oho! Dotknęłam delikatnej sprawy. Tim wydaje się zadowolony, że może się przed kimś wygadać.

- Od pół roku kieruję tutaj sekcją sportową. Od rana do wieczora sport. A w tym czasie jeszcze wieczorne show. Ale zawsze to lepiej niż być zajęтым w klubie dla dzieci. Moim kolegom niewiele brakuje, żeby rzucić się ze skał do morza.

Teraz ja jestem trochę zaskoczona. Co za problem zajmować się dziećmi? Tim wyczuwa, co myślę.

- Dzieci nie są aż tak wielkim problemem, ale ich rodzice. Ci to wyrabiają! Niesamowite. „A dlaczego moja Jenny nie gra głównej roli? Niech pani pamięta, aby smarować kremem Lukasa co dwie godziny, Lotta ma alergię na roztocza, a Jean-Pierre nie lubi zabaw piłką”. I tak całą dobę. Do tego jeszcze małe akty zazdrości. „Zawsze Nadine dostaje pierwsza loda. Dlaczego przy jedzeniu siedzi koło ciebie Holger, a nie mój Nicolas?”. I tak na okrągło. Nie ma tematu, który byłby zbyt banalny. Koszmar! I zanim zakodujesz sobie, że Lotta ma alergię na roztocza, ta już wyjeżdża i masz nową porcję maluchów. Tak bez końca.

Okazuję mu zrozumienie i szybko szukam w pamięci, co ja takiego powiedziałam już opiekunkom. „Claudia musi nosić kapelusik, bo ma skłonności do szybkich poparzeń. Czasami zapomina pójść do ubikacji, proszę ją więc regularnie tam zaprowadzać, a już na pewno nie może wchodzić do wody bez nadzoru”. To chyba nie było aż tak nieznośne.

Klub, w którym spędzamy urlop, jest tak zwanym klubem rodzinnym. Są organizowane specjalne kluby dla samotnych i dla rodzin, ponieważ wymagania okazują się najczęściej bardzo różne. W klubie dla singli ciągle musi się coś dziać. Samotni z różnych miast, chętni do dobierania się w pary, ciągle krążą od pokoju do pokoju. Istna Sodomia i Gomora. Pytam Tima:

- Czy kluby rodzinne nie są trochę bardziej spokojne, przynajmniej pod pewnymi względami?

Tim szczerzy zęby w uśmiechu.

- Gdzie tam! W klubach rodzinnych dzieje się przynajmniej tyle samo, co w innych.

- Co takiego? - pytam zdumiona. - Co masz na myśli?

Tim przewraca oczami - bardzo ładnymi, zielonymi zresztą.

- Gdybym chciał, mógłbym sobie schrupać co wieczór inną mężatkę. One są tak wygłodzone, że aż nie do wiary. Dostaję najbardziej gorące oferty. Co i raz słyszę: „Timmy, kochanie, Dieter będzie surfował przez najbliższych parę godzin, mógłbyś wtedy przeżyć szal zupełnie nowych uniesień”. I takie tam bzdury. Oblizywanie warg, muskanie niby mimochodem i cały arsenał innych zaczepk.

Jestem bardziej niż zdumiona, niemal porażona.

- Niektóre są bardzo bezpośrednie: „Mam pokazać ci swój pokój?”. Tak jakbym nie znał standardu pokoi i pomieszczeń w klubie!

Czyli biorą sobie takiego animatora do pokoju, podczas gdy ich mężowie wypróbowują siły na desce surfingowej.

Coś niesamowitego! Poza tym bardzo to odważne. Przy moim szczęściu Christoph wróciłby do pokoju, bo zapomniał kremu do opalania. To byłoby dla mnie zbyt ryzykowne. Jestem raczej tchórzem, a przy tym zbyt świeżą mężatką, seksualnie jeszcze w miarę zaspokojoną. Tim odwraca się do mnie i mówi, mrugając okiem:

- Wyobraź sobie, Andrea, że niektóre podczas joggingu udają, że się skaleczyły albo są już tak wyczerpane, że nie dają rady biec dalej. A wszystko po to, aby tylko przez chwilę побыć ze mną sam na sam.

Czuję, że robię się na twarzy czerwona jak indor. Temu już się chyba w głowie przewróciło! Czy on myśli, że rzucę się na niego tu w lesie? Zasłabłam, aby uwiesić mu się na szyi? Jakie to upokarzające! Czy ja wyglądam na taką, która koniecznie potrzebuje szybkiego numerku? A właściwie jak takie kobiety wyglądają?

- Powiedz, jak ty na to reagujesz? - mówię zamiast tego. - Ja żyję na szczęście w bardzo szczęśliwym związku - dodaję jeszcze. - Poza tym nie mam potrzeby zaliczania animatorów.

Tak, to powinno wystarczyć.

- Nie denerwuj się! - mówi szybko. - Powiedziałem tylko, że to się czasami zdarza. A że ty akurat teraz nie dasz rady biec dalej, jest dla mnie oczywiste. Nie chcę tu nic insynuować.

No dobrze, czuję się udobruchana. Nawet jeśli te joggingowe historyjki nie były zbyt eleganckie. Lepiej być mało wysportowaną niż dziko napaloną. Do tego dochodzi jeszcze ten feler, że on nie jest w moim typie. Owszem, ma ładne oczy, ale poza tym właściwie to żaden z niego Apollo. Jest według mnie zbyt napakowany. Bałabym się, żeby mnie zgniótł albo nie mając grama tłuszczu, przyglądałby się moim problematycznym częściom ciała.

- Nie chcę od ciebie niczego ponad to, żebyś mnie bezpiecznie wyprowadził z lasu, rozumiesz?

On się śmieje. Przez resztę urlopu chętnie zrezygnuję z tych porannych przeżyć. Uprawianie sportu w takich temperaturach nie może być zdrowe.

W jadalni już czeka na mnie Christoph z dziećmi. Idę tam w sportowym ubraniu. Nie jest nawet zbyt przepocone. Ani śladu po pyszałku - Klausie czy Lili i reszcie mojej grupy.

- Wszyscy cię wyprzedzili? - pyta Christoph zdumiony.

- Coś w tym rodzaju - mówię tylko i nakładam sobie na wstępie okazałą porcję jajecznic.

Jedno trzeba przyznać: tu w klubie potrafią przygotować smaczne jedzenie. Serwują wszystko, czego dusza i żołądek zapagną. Dzieci połykają na śniadanie góry naleśników. Codziennie rano obiecuję sobie podchodzić wyłącznie do specjalnego bufetu z dietetycznym jedzeniem. Na małej tabliczce jest nawet wypisane, ile kalorii, tłuszczu i węglowodanów zawiera każda potrawa.

Kiedy pozwalam sobie jeszcze na świeżego jagodowego mufinka, do naszego stolika podchodzi Lili. Lili z piracką chusteczką na głowie. Christoph rzuca długie, pełne zachwyty spojrzenie na jej nogi (co mogę zrozumieć, choć w ogóle mi się to nie podoba) i pyta, czy ma ochotę się do nas dosiąść.

- Chętnie! - odpowiada Lili i przynosi sobie malusieńką porcję sałatki owocowej, z której odsuwa na bok talerza nawet melona. - Melony podnoszą cukier we krwi, przez co za cztery, pięć godzin znów byłabym głodna - komentuje swoje zabiegi przy sortowaniu sałatki na talerzu.

Za cztery lub pięć godzin? To pewne jak dwa razy dwa, że za co najmniej dwie godziny będę miała niespożyty apetyt i na pewno nie z powodu zjedzenia melona. W pewien sposób jestem zafascynowana kobietami, które tak konsekwentnie przestrzegają dyscypliny. Mnie się udaje, ale tylko czasami. Jeśli jakieś spodnie nie wchodzą na mnie i niewiele mi brakuje do honorowego członkostwa w klubie grubasów, stosuję dietę przez jakiś tydzień czy dwa. Ale żeby narzucić sobie taką dyscyplinę przez całe życie tylko dla perfekcyjnej figury? O nie! Na to nie mam najmniejszej ochoty. Cóż może być piękniejszego od przepysznego jedzenia przy butelce dobrego wina? Czy posiadanie szczupłych ud jest tak samo przyjemne i upajające? Muszę i powinnam o tym kiedyś w spokoju pomyśleć. A teraz jeszcze jednego małego wafelka. Lili patrzy na to i wtedy udaje mi się wychwycić na jej twarzy cień łakomstwa. Tak, hurra! Ona też jest ludzką istotą!

- Ach! Też sobie coś jeszcze przyniosę - mówi i kieruje się w stronę bufetu.

Uśmiecham się do Christopha, który dorwał się właśnie do resztek naleśnika z talerza Marka. Christoph jest raczej smukłej budowy ciała. W ostatnim czasie zrobił mu się jednak mały brzuszek. Nie ma dramatu, przeciwnie, to właściwie normalne. Odpowiada mi uśmiechem, wyciera sobie usta i szepcze mi do ucha:

- A jednak kawałek niedobrego melonka.

Ja stawiam na wafelka, przypominając sobie, jak łąpczywie na niego patrzyła. A tu ani melonek, ani wafelek! Liii przyniosła sobie zieloną herbatę. Ta kobieta jest niesamowita!

- Do duszy było na joggingu - zaczyna opowiadać chwilę potem. - Klaus wybiegł do przodu, na co jak na wyzwanie odpowiedział Willi, ten z łysym czołem. Na końcu zostałam ja z Feliksem, tym młodziakiem w brzydkich spodenkach liliowego koloru. - Wzdycha. - Właściwie nie został ze mną z uprzejmości. Nie dał im najzwyczajniej rady, ale naturalnie sprawiał wrażenie, jakby biegł ze mną, bo jest dobrze wychowany. A potem ta jego propozycja, żeby pobiec na skrót. Rzekomo biegł już tą trasą iks razy. Pomyśleliśmy sobie, że to byłby niezły dowcip, gdybyśmy dobiegli do końca przed Klausem i innymi hiperambitnymi.

- I co, wyprzedziliście ich? - pyta zainteresowany Christoph.

- Nie, Felix w pewnym momencie nie był pewny drogi i sprawiał wrażenie, jak zresztą wszyscy mężczyźni, jakby nie był to dla niego problem. Biegliśmy na pewno jakieś trzy kilometry w zupełnie złym kierunku. Tak się przy tym zasapał, że prawie toczył pianę, a na koniec zapytał, czy nie miałabym ochoty pójść z nim pod prysznic, gdzie on by na mnie już poczekał - przecież też mogłabym zrobić mu małą grzeczność. Gdyby wiedziała o tym ta jego koza, Rita! Jest tak przesadnie układna. Zasłużyła sobie na takiego.

Lili bierze jeszcze łyk herbaty i musi już iść.

- Andrea, miałabyś ochotę na ćwiczenia „brzuch, nogi, pośladki”? Naprawdę super, daje energię.

Jest krótko przed wpół do dziesiątej rano, biegałam już w zasyfionym lasku piniowym, a teraz miałabym jeszcze pójść na kurs „brzuch, nogi, pośladki”? Za darmo i nawet nie za dobre słowo!

- Właściwie to chętnie - kłamię jak z nut - ale obiecałam Christophowi zaopiekować się teraz Markiem. Claudia idzie do miniklubu.

Christoph nic nie kapuje.

- Idź spokojnie, Andrea - mówi, tak jakby naprawdę nie kojarzył, o co chodzi. - Zorganizujemy sobie z Markiem wyśmienicie czas.

On się jednak ze mnie nabija. Podły. Kapuje doskonale, w czym rzecz, wie dokładnie, że nienawidzę takich kursów, i chce naocznie sprawdzić, jak z tego wybrnę.

- No chodź, Andrea, nie daj się prosić - dopinguje mnie Lili, a ja widzę, jaką zabawę ma Christoph.

- Naprawdę, Andrea, możesz iść spokojnie. Powinnaś sobie na to pozwolić - namawia mnie.

Tak, propozycja Lili wydaje mu się szalenie zabawna.

- Ja zaprowadzę Claudię do miniklubu i pójdę z Markiem na basen; o nic się nie martw.

Tak, naprawdę wspaniale. Albo powiem prawdę, albo pójdę na ćwiczenia. Jestem słabym człowiekiem. A przed takimi kobietami jak Lili tym trudniej przyznać się do letargu mojego sportowego ducha. Przede wszystkim dlatego, że temu typowi kobiet trudno zrozumieć, że istnieją istoty o tłustawych udach, jak ja, które pomimo to wolą zjeść muffinka niż pójść na ćwiczenia „brzuch, nogi, pośladki”.

W drodze do sali ćwiczeń Lili opowiada mi, że ona i jej Leo, którego widziałam raz krótko przy kolacji, są razem od prawie roku.

- Leo musiał się najpierw rozwieść, co było skomplikowane z powodu dzieci. No i także dlatego, że jego żona jest chciwa.

Co to właściwie za uwaga?

- Czy oni długo byli razem, to znaczy: byli małżeństwem? - pytam ją, żeby stworzyć dokładniejszy obraz stanu rzeczy.

- Siedemnaście lat, a dzieci mają czternaście, dziewięć i dwa lata. Do tego są cholernie denerwujące. Dziewięciolatek jest z nami. Widziałaś go, Andrea, prawda?

Tak, widziałam. Bardzo blade, wysokie dziecko, w piekielnie drogich markowych ciuchach. Zazwyczaj „Polo Ralf Lauren” albo „Lacoste”. Nic dziwnego, że chłopiec nie wykazuje cienia podobieństwa do Lili.

- Czy ona opuściła jego, czy on ją? - chcę jeszcze wiedzieć. Właściwie to sama mogę sobie odpowiedzieć na to pytanie, ale nigdy nic do końca nie wiadomo. W dzisiejszych czasach zwykle kobiety inicjują rozwody. I często, kiedy przyglądam się mężczyznom, mogę zrozumieć ich decyzję. Lili zanosí się trochę sztucznym śmiechem.

- Kto opuściłby tak wspaniałego mężczyznę jak mój Leo? To musiałaby być kompletnie kopnięta kobieta.

Pewnie, że wśród prawdziwych mężczyzn znajdzie się całe mnóstwo cieniasów, daleka jestem jednak od tego, aby pozwolić sobie na ocenę Lea po jednorazowych oględzinach. Na pierwszy rzut oka mało ma jednak z wymarzonego księcia - to raczej przeciętny typ. W każdym razie jego fizjonomia jest przeciętna. Jeden z tych typowych mężczyzn, których można spotkać na wszystkich niemieckich lotniskach. Przerzedzone włosy, korpulentny, w okularach. Nic więcej nie jestem w stanie sobie o nim przypomnieć.

- Leo jest w zarządzie Deutsche Banku - rzuca mi przyciszonym głosem. - Znasz go na pewno.

A skąd ja niby miałabym go znać? Czy znajomość nazwisk z zarządu wszystkich większych niemieckich przedsiębiorstw należy teraz do ogólnego wykształcenia? Wolę się nauczyć na pamięć dopływów Dunaju. Jedno jest jednak zupełnie pewne: Leo ma kupę kasy. Widać to po ubraniach, które nosi jego blade dziecko, i po wielkim diamencie na szyi Lili. Kamień jest tak duży, że nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że może być prawdziwy. Owszem, pieniądze mogą przesunąć mężczyznę o stopień wyżej w skali atrakcyjności. Inaczej trudno byłoby wyjaśnić sukces Dietera Bohlena i Oliego Kahna.

- Leo jest trochę starszy od ciebie, prawda?

Lili znowu się śmieje.

- Tylko o drobne dwadzieścia jeden lat, dokładnie mówiąc. Ale on uwielbia moją młodość.

Jakie to klasyczne i powszechne! Taki typ zostawia żonę z trojgiem dzieci, ponieważ zupełnie przypadkowo zakochał się w młodszej o dwadzieścia jeden lat kobiecie.

- Nie miałaś wyrzutów sumienia z powodu jego żony i dzieci? - decyduję się na poruszenie kwestii, która mnie, szczerze mówiąc, także nic a nic nie obchodzi.

- Nie, ani trochę. Już dawno oddalili się od siebie. Nic między nimi nie było. Skończyło się. Rozumiesz, co mam na myśli?

Wprawdzie rozumiem, ale potem znów nie rozumiem. Czy nie powiedziała chwilę wcześniej, że ich trzecie dziecko ma dopiero dwa lata? I że jest z Leem od niecałego roku? Czy to nie dowodzi, że gdzieś tam jeszcze coś iskrzyło? Ale o co mi właściwie chodzi? To jej życie, nie moje. Wobec takich mężczyzn jak jej Leo mam zawsze duże wątpliwości. Kto raz wymienił żonę na młodszy model, zrobi to raz jeszcze, czyż nie?

Ćwiczenia „brzuch, nogi, pośladki” są męczące, ale do wytrzymania. Trochę głupie jest to, że ćwiczymy na czymś w rodzaju otwartej sceny. Na peryferiach klubu, w bliskim sąsiedztwie innego hotelu. Tutaj wśród facetów z hotelu kurs „brzuch, nogi, pośladki” wydaje się prawdziwą gratką, a wiadomość o nim informacją dla wtajemniczonych. Do pogapienia się. Przynajmniej czterech facetów stoi i się gapi. Zdumiewające, z czego oni mają taką uciechę. Moje muffinki, wafelki, jajecznica są teraz nieźle potrząsane, a zapotrzebowanie na sport zaspokoiliam na najbliższe tygodnie. Na zakończenie kursu faceci klaszczą. Myślę, że oklaski są skierowane bardziej do naszej instruktorki, ślicznej Dani, niż do mnie, ale pomimo to odczuwam zadowolenie. W porównaniu z joggingiem ćwiczenia „brzuch, nogi, pośladki” mogę uznać za sukces.

Od godziny trzynastej na szczęście znów jest coś do jedzenia. W restauracji na plaży. W klubie nikt nie może się zagłodzić. Christoph, który bawił się z Markiem w basenie, ma wyśmienity humor i już się cieszy na swój popołudniowy kurs windsurfingu. Postanowiłam, że dzisiejsze popołudnie spędzę, leżąc leniwie na plaży, a jeśli się poruszę, to tylko po to, żeby zmienić pozycję na leżaku. Claudia je z nami obiad i chce pójść ze mną potem na plażę. Jest zła, ponieważ w klubowym przedstawieniu dla dzieci ma grać chmurkę tak jak inne czterolatki.

- Ale ja mam już pięć lat! - rozpacza. - Chcę być wróżką, a nie chmurką. Chmurka jest głupia. - Prawda, ale po tym, co opowiedział mi dziś Tim podczas joggingu (a raczej spaceru),



będę ostatnią, która pójdzie do miniklubu poprzedzić. Na pewno nie zaszkodzi dzieciom, jeśli raz nie będą grały głównej roli. Ja sama skłaniam się też raczej ku rolom drugoplanowym.

- Może w następnym tygodniu - pocieszam ją, ale tym razem muszę Claudię bardzo namawiać, by poszła do miniklubu.

Mark nie może tam zostać. Nie chcą go. A przecież potrafi być takim miłym dzieckiem! Nikogo to nie interesuje. Rzekomo na prospekcie było napisane, że klubowe przedszkole przyjmuje dzieci poniżej dwóch lat tylko poza głównym sezonem. Powinniśmy uważniej czytać to, co jest napisane drobnym drukiem.

Mark bawi się w piasku, a ja drzemię. Porządnie zasnąć przy niespełna dwulatku? Marzenie! Co trzy minuty muszę podziwiać jakąś nową budowlę z piasku. Kocham to, że dziecku wystarczy powiedzieć „wspaniale” bez dokładniejszego przyjrzenia się dziełu. Przez godzinę bawi się piaskiem sam ze sobą. Potem zaczyna mu się nudzić. Chce, abym zbudowała z nim zamek albo kupiła loda. Decyduję się na kupienie loda.

- Fantastycznie, że jesteście - wita mnie Carlo, jeden z animatorów w restauracji na plaży.

Tyle entuzjazmu tylko dlatego, że kupujemy loda? Pudło. On myśli, że przyszedł tu na popołudniowy quiz. Wykręcam się, ale w końcu udaje mu się mnie namówić, ponieważ właściwie to lubię każdy rodzaj quizu. Potrafię się nawet bawić przy „Kto zostanie milionerem?”. Przede wszystkim dlatego, że w domu przed telewizorem zawsze jest się diabelnie sprytnym. Przyszło około dziesięciu osób. Między innymi Klaus, poranny samochwała, wraz z małżonką. Wychudzona blondyna z wystającymi łopatkami. Na imię ma Heide. Heide zna oczywiście historię mojego joggingu dzisiejszego ranka. Jest triatlonistką, wyznaje mi z lekkim akcentem, chyba ze Szwabii. Czuję się zobowiązana powiedzieć: „Och, to fantastycznie!”, i obiecuję sobie po cichu powetować dzisiejszą hańbę.

- Chodzi o ogólną wiedzę - oświadcza Carlo.

Moje szanse nikną. Historia i geografia niekoniecznie są moimi mocnymi stronami. Ta wiedza okazuje się jednak nieprzydatna, bo pytania są raczej innego kalibru. Na przykład: „Proszę wymienić imiona dzieci Madonny”. Lourdes i Rocco, jakie proste! Naturalnie, wiem także, z kim jest aktualnie związana Sheryl Crow. Z Lance'em Armstrongiem, kolarzem. I na pytanie, dlaczego aktorki grające w *Seksie w wielkim mieście* Samantę i Carrie pokłóciły się w życiu prywatnym, także potrafię odpowiedzieć. Z powodu honorarium! Te pisma tak lekko się czyta! Jestem przecież rutynową czytelniczką „Bunte”. Prawdopodobnie od momentu, kiedy

zostałam asystentką redaktorki. Wtedy czwartek był ulubionym dniem. Wychodziły „Bunte”, „Gala” i „Stern”. Wspaniale! Klaus i Heide z każdym pytaniem stają się coraz bardziej rozdrażnieni.

- Co to ma wspólnego z ogólnym wykształceniem? - złości się Klaus pyszałek.

Naturalnie, że nic, ale też o nic wielkiego tu nie chodzi.

- To tylko gra - po szóstym pytaniu (W jakim filmie ważną rolę odgrywa jubiler? - *Śniadanie u Tiffany'ego*, oczywiście!) Carlo musi uspokoić poirytowane towarzystwo.

Mimo to Klaus jest zły. Przede wszystkim dlatego, że po szóstym pytaniu jest już jasne, że nie można mi odebrać wspaniałego zwycięstwa. Znałam odpowiedzi na wszystkie sześć pytań i wydaje mi się, że jestem bardzo błyskotliwa. Quiz liczy sobie (chyba na złość Klausowi i Heide) tylko dziesięć pytań.

- Możemy już kończyć - syczy Klaus, a potem mówi cicho do Heide (ale nie dość cicho, żebym nie usłyszała):

- Przecież to jasne, że wygra ta głupia kura domowa, przecież ona się niczym innym nie zajmuje, jak tylko czytaniem brukowców.

Jakże chętnie wstałabym teraz i powiedziała: Pozwolą państwo, że się przedstawię, doktor Andrea Schmidt, naukowiec z zakresu badania ludzkiego mózgu. Tymczasem udaję, że nic nie słyszałam, i pozwalam Carlowi pogratulować sobie wygranej. Zwycięstwo nie czyni cię lubianym - zawsze to jakieś nowe doświadczenie. Wygrywam wizytę w *hammam*.

- Pokochasz to, Andrea - obiecuje Carlo, mrugając okiem.

Bon wykorzystuję dwa dni później. *Hammam* jest czymś w rodzaju pomieszania sauny, masażu i długiego mycia - celebrowanego w domu kąpielowym. Szczegół, o którym nikt mnie nie poinformował - będzie mnie mył jakiś facet. Maleńki Turek, bardzo skąpo ubrany, a właściwie tylko owinięty ręcznikiem dookoła bioder. Jego tors jest kompletnie owłosiony, a plecy wyglądają tak samo; tylko bez sutków. Futerko, gdzie nie spojrzysz. W kwestii własnego ubioru jestem trochę zbita z tropu. Czy można mieć na sobie bikini, czy byłoby to zbyt pruderyjne? Z drugiej strony, czy to nie odstraszyłoby tego małego faceta, gdybym zaprezentowała mu się nago? Czuję się bezradna. Wydaje się, że problem nie jest mu obcy.

- Tego nie - mówi i pokazuje na moje bikini.

Hola, hola, ten przechodzi do rzeczy bez ogródek! Poza tym nie odzywa się ani słowem. Mam tendencję do ucinania pogawędki z każdym, ale Turek pokazuje mi jasno, że mnie nie rozumie. Dobrze, nie to nie. Chciałam być grzeczna i trochę rozładować sytuację. Przy *ham-*

*mam* trzeba się położyć na wykafelkowanej powierzchni czegoś w rodzaju leżaka, a mistrz ceremonii zaczyna mydlić. Muska najdelikatniejszą pianą głowę i ma się wrażenie, jakby ktoś głaskał cię miękkimi jak jedwab piórkami. To mogłoby być ekstremalnie przyjemne - mogłoby, jak zauważyłam. Mam problem z odprężeniem się. Wszystko tchnie zbyt dużą dawką intymności. Z powodu zapachu, z jakim rozprowadza pianę kąpielową po moich piersiach, facet jest dla mnie zbyt podejrzany. W powietrzu wyczuwa się erotyzm. W innej sytuacji mogłoby być bardzo przyjemnie, ale teraz leżę bardzo spięta. Diabelnie się boję, że wyślę mylne sygnały i spowoduję, że jemu przyjdzie do głowy jakiś głupi pomysł. Myślę sobie, że może my dwoje wygraliśmy quiz. On wygrał umycie zaokrąglonej blondynki, a ja umycie. Tak to właśnie się w tym klubie rozgrywa - uszczęśliwić dwoje naraz. Na koniec mycia mały facet sadza mnie, staje przede mną i opiera moją głowę o swój brzuch. Polewa mi włosy wodą i jednocześnie je myje. Dziwne, przede wszystkim dlatego, że muszę trzymać głowę bardzo spokojnie, aby nie zsunąć się w niebezpieczne rejony. Jestem szczęśliwa, kiedy cała ceremonia dobiega końca. Mały faczecik proponuje mi jeszcze filiżankę herbaty, ale grzecznie odmawiam. - Dzieci - tłumaczę mu gestem, i już mnie nie ma. *Wow*, co za niebezpieczne balansowanie na krawędzi - pomimo że ten typ znajduje się daleko, właściwie zupełnie poza sferą moich zainteresowań. Ale samo umycie było owszem, owszem.

Na zakończenie udało mi się jeszcze wygrać koszulkę i jazdę na łodzi-bananie. Tu, w klubie, jestem królową quizu. Jednakże czwartego dnia Carlo bierze mnie na bok i prosi o wstrzymanie się od udziału w popołudniowych konkursach.

- Inni się uskarżali, że zawsze ty wygrywasz. Coś takiego po prostu ich nie bawi.

Patrzcie go! A jak jest w wyścigach Formuły 1? Czy komuś przeszkadza, że ciągle wygrywa Michael? Albo jeśli ci sami tenisiści za każdym razem zajmują miejsce na podium? Czy oni też są proszeni o rezygnację? Czy już nie mogą brać udziału w zawodach? Mogą! Nikt nigdy nie twierdził, że życie będzie zawsze sprawiedliwe.

Po tygodniu pobytu czujemy się jak starzy klubowi wyjadacze. Chociaż rutyna i monotonia mogą trochę nużyć, to mają jednocześnie niezwykle miłą stronę. Można się temu najwyżej poddać. Nie trzeba się o nic troszczyć, tylko rozkoszować każdym dniem urlopu. Nie odgrywa żadnej roli fakt, w jakim jest się kraju. Można się opalać, kąpać, jeść i spać w toczącym się obok, doskonałym życiu.

Nie dopuszczamy myśli, że nie zobaczymy kraju, w którym spędzamy urlop. Robimy sobie więc małe wycieczki. Najpierw chcę zobaczyć amfiteatr w Aspendos, ale jest właśnie re-

staurowany i zamknięty dla zwiedzających. Teraz nikt nie może narzekać. Przecież chciałam. Pomniki kultury nie są mi z pewnością obojętne, ale dłuższe wycieczki autokarem na dwa, trzy dni nie wchodzą po prostu w rachubę. Trzeba byłoby na głowę upaść, żeby w żarzącym słońcu jeździć z dwojgiem dzieci autobusem po okolicy. Wszyscy bywalcy klubu i znawcy Turcji absolutnie odradzają nam tego typu wypady. W pełni lata taka wycieczka nie jest wskazana, natomiast jak najbardziej godna polecenia jesienią lub zimą. Jednakże prawie wszyscy w klubie mają inne plany na zimową porę - na przykład Lech lub St. Moritz - dyskutują i wymieniają się żywo zamiarami na zimowe kluby.

Z tego względu w większości nie opuścili jeszcze terenu naszego ośrodka.

- A po co? - mówią. - Mamy tu wszystko, czego potrzebuje człowiek na urlopie.

Sądzę, że niektórzy, gdyby mieli tylko możliwość wyboru, spędziliby w klubie najchętniej resztę życia. Nie jestem raczej typem intelektualistki, ale czy rzeczywiście mogłoby mi to wystarczyć? Nie jestem taka pewna. Nie daję za siebie głowy, czy więcej niż czternaście dni urlopu w klubie nie pociągnęłoby za sobą ofiar w szeregach animatorów.

Jeśli więc chodzi o opuszczanie ośrodka, pozostają nam jedynie marne zakupy w sąsiedniej miejscowości. Zamawiamy więc wczesnym wieczorem taksówkę i przemierzamy leniwie drogę w stronę portu. Jestem już delikatnie opalona, zrelaksowana i gotowa przypomnieć sobie funkcje karty kredytowej. Side - tak nazywa się ta miejscowość - jest na pierwszy rzut oka rajem dla kupujących. Na drugi rzut, niestety, bardzo monotonnym. Są tu trzy rodzaje sklepów. Jubilerzy, sklepy z torebkami i podobne do siebie sklepy z pamiątkami. Po obejrzeniu wszystkich, głównie tych z biżuterią, już mnie nie dziwi, dlaczego większość turystów wyjeżdża z Turcji obwieszona złotymi łańcuchami.

Cieężko jest uciec sprzedawcom, którzy natręctwem niemalże zmuszają do zakupu jednej czy dwóch bransoletek. Dookoła panuje przyczajona agresja. Na każdym rogu da się słyszeć wykrzykującego sprzedawcę: „Bardzo tanio, fantastyczne towary, dwa w cenie jednego” lub temu podobne. Jeśli przejdzie się obok, nie zajrzawszy do sklepu, właściciele czują się obrażeni.

Kupuję cztery torebki. Nie chcę złościć żadnej nacji. Cztery lanserskie torebki. Dwie imitacje Toda i dwie podróbki Prady. Christoph uważa, że za te pieniądze można by kupić oryginalną, ale to tylko dowodzi, jak mało jest zorientowany w cenach torebek.

- Andrea, pomyśl o cle - napomina mnie pan mecenas, kiedy chcę jeszcze kupić piątą i szóstą. - Towary za sumę wyższą niż sto siedemdziesiąt pięć euro trzeba oclić.

Albo przeschmuglować. Nie przesadzajmy, to nie jest aż tak ryzykowne. Gderliwy strachajło - zachowuje się tak, jakbym zamierzała przemycić przez tajlandzką granicę siedem kilo marihuany, i to w dodatku w jego walizce. Rezygnuję z torebki numer sześć i twierdzę, że torebki numer trzy, cztery i pięć są gwiazdkowymi prezentami. Tak ekonomiczny sposób myślenia przekonuje go.

Christoph po dwóch godzinach spacerowania po mieście Side ma już dosyć. Jest mu zbyt gorąco, w powietrzu za dużo pyłu, naokoło zbyt nerwowo - i prawdopodobnie zbyt drogo. Szkoda, znalazłabym jeszcze jedną, może dwie pary butów albo nawet jeszcze jedną torebkę. Moja chciwość została już w pewnej mierze zaspokojona. Jestem klientką, która szybko podejmuje decyzję. W razie potrzeby pojedę do Side jeszcze raz, ale już sama.

W klubie dziś wieczorem dla odmiany nie będzie musicalu, lecz pokaz mody. Klubowy sklep ze skórą zaprezentuje swoją ofertę. Modelkami będą wszystkie klubowe panie z kiteczkami na głowie, które będą miały jedyną w życiu możliwość, by poczuć się jak Heidi Klum i reszta towarzystwa. Przez parę sekund czuję się urażona, że mnie nikt nie zapytał, czy chciałabym pojawić się z innymi paniami na wybiegu. Nie to nie.

Większość ubrań nie jest w moim guście. Przy czterdziestu trzech stopniach w cieniu ciężko zachwycać się zimowymi płaszczami ze skóry z futrzanym oblamowaniem. Futra też nie robią na mnie większego wrażenia. Nie lubię być po prostu opluwana przez członków Towarzystwa Przyjaciół Zwierząt.

Właściciel butiku wspomina przy okazji, że jest oczywiście możliwość uszycia wybranej odzieży na miarę. Nawet bez futrzanych lamówek. Tylko ze skóry. Brzmi to już trochę lepiej, bardziej nęcąco nawet ze względu na cenę. Christoph się zgadza. Opornie, ale jednak. Decyduję się na czarną garsonkę ze spodniami z zamszu. Niedbała elegancja. Bardzo ładna rzecz. Cena nie jest jednak zbyt korzystna. Zawsze to sześćset euro. Ale za to szyte na miarę. I tak przyjemnie miękkie.

- Niech to będzie twój gwiazdkowy prezent - mówi Christoph i płaci.

Z powodu garsonki miałam już po przyjeździe do domu sporo wątpliwych przyjemności. Dokładnie mówiąc, włożyłam ją jeden, jedyny raz. Kiedy szliśmy do przyjaciół Christopa, Babette i Heinera. Parki, którą zna jeszcze z uniwerku. Babette zaprosiła nas na koktajl do ich nowego wspólnego mieszkania. Znudzona, przesiedziałam około trzech godzin na tapczanie. Na dosyć niewygodnym tapczanie *design*. Jeden z tych spłaszczonych, głębokich modeli, na których właściwie nie da się siedzieć, można jedynie przycupnąć. Gdy wstałam, żeby zapytać

Christoha, kiedy w końcu pójdziemy do domu, odkryłam nieprzyjemną niespodziankę. Nowa garsonka nie miała, niestety, trwałego koloru. Skóra pozostawiła wyraźne ślady na tapczanie. Pech chciał, że tapczan był biały, a moja garsonka, jak wiadomo, czarna.

Od tamtej pory Babette i Heiner nie dali znaku życia. Niezbyt wielka strata, skoro to tacy małostkowi ludzie - przecież w końcu nasze ubezpieczenie przejęło koszty czyszczenia. Niestety, tylko tapczanu, bo garsonki już nie objęło. Ta farbuję, pomimo trzykrotnej impregnacji. Do tego śmierdzi jak fabryka chemikaliów. Jeśli jeszcze kiedyś pojedę do Turcji, rzucę garsonkę właścicielowi butiku pod nogi.

- Mama, dostaniemy loda? - płacze Mark w piaskownicy.

Dostaną loda.

Sigrid, dzieci i ja spędzamy bardzo miłe popołudnie. W tym samym czasie przychodzi umówiony sprzedawca napojów i chowa je w piwnicy. Giovanni także się melduje.

- Kiedy mam dostarczyć jedzenie na party-niespodziankę? - dopytuje się.

Dobre pytanie! Muszę się postarać, żeby Christoph zniknął jutro, w dzień swojego święta, i pojawił się znowu, kiedy będą goście i jedzenie. Powiedziałam, że o dziewiętnastej będzie idealnie. Wszyscy wiedzą o tajemnicy i przyrzekli być punktualnie. Według mojego planu goście schowają się na pierwszym piętrze, a kiedy Christoph wróci do domu, będzie wielka „niespodzianka!” i odśpiewane przez wszystkich „sto lat”. Ale zrobi oczy!

Wieczór przed dniem urodzin przebiega normalnie. Kolacja w gronie rodziny. Dokładam starań, żeby nie szedł spać przed północą.

- Przecież masz zaraz urodziny - przypominam mu. - Szampan już się schłodził.

Ziewa.

- Andrea, jestem cholernie zmęczony. Możemy wypić coś rano - próbuje nie odbierać mi tej drobnej przyjemności.

Idę do kuchni, rzucam spojrzenie na moją listę i wciągam głęboko powietrze.

Chcę:

- więcej napięcia

- więcej seksu

- więcej uznania

- mieć szczuplejsze uda

- mieć fantastyczny nastrój

I to wszystko szybko, proszę. Bardzo szybko.

Dzisiejszego wieczoru może być zrealizowany tylko punkt piąty. Nic więcej. W powietrzu nie czuć nawet lekkiego powiewu seksu. W takim razie proszę chociaż o fantastyczny nastrój. Proponuję podać szampana do łóżka. Mój pragmatyk ociąga się.

- Będę musiał wstać umyć zęby - marudzi.

Proponuję też - co jest bardzo śmiało - pójść raz spać bez mycia zębów. Ale to będzie ekscytujące!

- No dobrze - daje się przekonać.

Wznosimy toast, daję mu obowiązkowego urodzinowego buziaka, ale mimo to Christoph wstaje umyć zęby. Byłoby pięknie, gdyby we wszystkim był tak dokładny.

- I? - wciągam go jeszcze w małą pogawędkę, zanim zapadnie w głęboki sen. - Co będziemy robić w twoim wielkim dniu?

- Po prostu nic - odpowiada. - Błogi spokój i nieróbstwo są dla mnie ostatnio najpiękniejszą perspektywą. Ach, tak! - wtedy przypomina mu się: - Rodzice chcą wpaść do nas na kawę po południu.

Moi teściowie. Rudi i Inge. Rudi i Inge są na sto procent najlepszymi teściami pod słońcem, chociaż uwielbiają „swojego chłopaczka, Christopha”. A mnie przyjęli z otwartym sercem. O Claudii i Marku nawet nie wspomnę. Claudia jest „naszą księżniczką”, a Mark „małym dziedzicem nazwiska”. Mogę liczyć na ich pomoc zawsze i wszędzie. Są rencistami i nie ma dla nich nic piękniejszego niż tylko bawić wnuki. Inge zrobiłaby dla nas wszystko. Gotowałyby, a nawet rzuciła swoje domowe gospodarstwo. Ale ja czułabym się niezręcznie, gdybym we wszystkich pracach domowych wyręczała się teściową. Poza tym rodzice Christopha nie są już najmłodszy. Próbuje więc nie przekraczać pewnych granic i za bardzo ich nie przeciążać. Nic nie powinno ich zmęczyć. Inge i Rudi zadeklarowali się, że zajmą się dziećmi w wieczór wielkiej urodzinowej imprezy. Dlatego przychodzą po południu na kawę. A potem, dobrowolnie - jakie to wyrafinowane! - wezmą dzieciaki do siebie, abyśmy spędzili z Christophem spokojny wieczór we dwoje. Claudia i Mark są absolutnie zadurzeni w swoich dziadkach. Rudi majsterkuje, pokazuje swoje narzędzia, uczy, jak nimi pracować, i zajmuje się z dziećmi ogrodem. Inge piecze, szyje i czyta na głos. Godzinami - jeśli tylko panicze tego zapragną.

Zadziwiająco jednak, że moich rodziców uwielbiają nieznacznie, ale zawsze trochę bardziej niż rodziców Christopha. Mimo że poświęcają wnukom mniej wysiłku i czasu. Moja mama nie jest z tych babć gotowych w każdej chwili pognać do wnusiów. Ma dosyć napięty har-

monogram zajęć i tylko wtedy, kiedy znajdzie się tam luka (co zdarza się bardzo rzadko), dzieci mogą łaskawie przyjść do niej i mojego ojca.

- Poczekaj, aż ty się zestarzejesz - odpowiada mi, słuchając moich wyrzutów, że zbyt mało czasu znajduje dla wnuków. - Andrea, wychowałam troje dzieci. Moje potrzeby zmieniania pełnych pieluch i wysłuchiwanie dziecięcych krzyków zostały raz na zawsze zaspokojone.

W głębi ducha mogę ją zrozumieć. Wydaje się jednak, że mojej mamie brakuje jakichkolwiek genów determinujących poświęcanie się dla innych. Przede wszystkim myśli o sobie samej, ale mówi, że najpierw myśli o ojcu. I oczywiście o jego słabym sercu, które na polu golfowym bywa narażone na nadmierny wysiłek, ponieważ mój ojciec nie stosuje się do żadnych reguł - i jak to on mawia - do wymysłów „jakichś palantów”. Na początku złościłam się albo raczej złościł mnie brak uczynności ze strony mojej mamy. Z czasem jednak doszłam do wniosku, że tak jest dobrze. Przekonałam się w końcu, że usłyszę od niej „tak”, kiedy będę potrzebowała jej do opieki nad maluchami, tylko wtedy gdy będzie miała rzeczywiście ochotę. Poza tym nie muszę być notorycznie wdzięczna i mieć wyrzutów sumienia. Moje dzieci lubią swoją babcię, chociaż jest dość surowa.

- W moim domu podlegamy moim regułom - to typowe dla mojej mamy zdanie.

I trudno uwierzyć, ale dzieci błyskawicznie się do tego stosują. Mama ma coś, co można nazwać naturalnym autorytetem. Powątpiewam, czy ja posiadam taki dar. Są dni, kiedy mam wrażenie, że moje dzieci nie traktują mnie poważnie. Może powinien to być nowy punkt na mojej liście.

Rudi i Inge są wtajemniczeni. Już wpada mi do głowy genialny pomysł, w jaki sposób mogłabym wygonić nieświadomego Christopha z domu.

Plan jest zapięty na ostatni guzik. Teraz właściwie nic nie może pójść źle - byłoby pięknie dla odmiany. Zasypiam z uczuciem spokoju i z wizją wspaniałej niespodzianki. Nie ma nic piękniejszego niż komuś ją sprawić.

No, może z wyjątkiem niespodzianek przygotowanych dla mnie.



## Dzień szósty

Największe zalety weekendu: okazja, by się wyspać i świadomość, że nic człowieka nie goni, nikt nigdzie nie musi być zawożony, a jeśli ktoś gdzieś wychodzi, to jedynie po świeże bułeczki. Prawdę powiedziawszy nie ktoś, lecz Christoph.

W każdym razie każdy dzień wolny od absorbujących biurowych zajęć i dziecięcej gimnastyki jest po prostu wspaniały.

To haniebne gnicie w łóżku i rozleniwienie, czas bez planu i celu sprawiają, że czuję się od razu o wiele młodsza. Trochę tak jak kiedyś. Jediną przeszkodą w błogim nieróbstwie są dzieci. Tylko niektóre przed wejściem w okres nastoletni mają tendencję do długiego spania. Claudia i Mark do nich nie należą. Claudia wytrzymałaby ewentualnie do dziewiątej, ale jej brat zawsze się zatroszczy, by prawie nigdy się to nie zdarzyło. Gdy się budzi, nie widzi powodu, dla którego ktoś inny ma spać nadal. Królewicz ma bowiem potrzebę rozmawiania, którą stara się zaspokoić najpierw w towarzystwie swojej siostry. Kiedy jest dobry dzień i dzieci prowadzą konwersację między sobą (a takie dni zdarzają się nadzwyczaj rzadko), Christoph i ja możemy się wyspać. Najczęściej jednak Mark budzi najpierw siostrę, a gdy ona nie ma nastroju do zabawy, zabiera się natychmiast do swoich rodziców. Trudno go wtedy zignorować. Ciągnie i napiera, szczebiocze i denerwuje tak długo, aż ktoś wreszcie przygotuje mu jedzenie.

Mark niezwłocznie po przebudzeniu i wyjściu z łóżka potrzebuje pożywienia, tak jakby przez całą noc pracował w kamieniołomie. Jeśli od razu nie dostanie czegoś, co mógłby szybko pochłonąć, potrafi być bardzo nieprzyjemny.

Urodziny Christopha są właśnie tym rzadkim dniem, kiedy możemy nieprzerwanie spać do dziewiątej. Udaje mi się nawet wstać przed Markiem, nakryć do stołu i pójść po bułeczki. Na piechotę.

W kuchni zerknęłam jeszcze raz na listę i tam przykuł moją uwagę punkt „szczuplejsze uda” - dlatego właśnie na piechotę! Claudia uroczyście wręcza tacie własnoręcznie namalowaną laurkę i wszyscy razem śpiewamy *Happy birthday*. Tak, dokładnie tak, wyobrażałam sobie swoje życie. Małą rodzinę, szczęśliwą i beztroską, stanowiącą całkowitą jedność. Wyglądamy jak z reklamy margaryny „Rama”.

Na miejscu Christopha już dawno byłabym zła. W końcu ciągle jeszcze nie dałam mu żadnego prezentu. Pod tym względem jest trochę mniej roszczeniowy niż ja. „Mam wszystko, czego mi potrzeba” - mawia chętnie, jeśli ktoś go zapyta, co chciałby dostać. Ja potrafiłabym w

parę sekund sporządzić listę życzeń na wiele stron. Christoph cieszy się z bonu na fotel - a przynajmniej tak wygląda. Po śniadaniu chciałby trochę pobiegać. Jogging w największym spokoju. Co te dwie rzeczy mają ze sobą wspólnego, pozostaje dla mnie wielką zagadką. Spokój i jogging? Ale proszę - każdy wypoczywa, jak chce. Każdy powinien umieć wykazać tyle tolerancji. Dla mnie wypoczynek to leżenie na tapczanie i czytanie książki. Albo leżenie na tapczanie i drzemka.

W sumie dobrze się składa, że Christoph wychodzi na godzinkę z domu. Muszę jeszcze raz koniecznie zadzwonić do teściów i omówić cały plan. Nie chcę, żeby któreś z nich niechcący się wygadało.

- Jesteśmy zwarci i gotowi, Andrea - zapewnia mnie teściowa. - Wszystko jasne jak słońce, skarbie. Aha! Upiekłam jeszcze trzy ciasta. Jedno na dzisiejsze popołudnie, a dwa na zabawę.

Doskonale.

Pogoda dopisuje. Chyba rzeczywiście moglibyśmy bawić się w ogrodzie. Jak przyjemnie! Przy garden party problem sprzątanania nie jest aż tak deprymujący. Wprawdzie nigdy nie udaje mi się zachować idealnego porządku, ale nie umiem podejść do zabawy w domu zupełnie beztrosko. Potrafię przewidzieć katastrofy na parę sekund, zanim się rzeczywiście wydarzą. Albo raczej je przeczuwam. Łatwiej jest przeżyć sałatkę kartoflaną na trawniku niż na sofie. Z czerwonym winem rzecz ma się podobnie. Brzmi to może jak czepianie się szczegółów i z pewnością tym rzeczywiście jest. Ale jeśli mam potem sprzątać tę ciapkaninę, to uważam, że moja małostkowość jest usprawiedliwiona. Poza tym powstrzymuję się od wszelkiego rodzaju uwag, jeśli zauważę, że coś powędruje poza talerz. Jak wszystkie dobre panie domu mówię zawsze w takich wypadkach: „Nic nie szkodzi”. W rzeczywistości oczywiście, że szkodzi! I to bardzo! Przede wszystkim kosztuje dużo pracy. Tylko dlatego że jakiś głuptak nie potrafił utrzymać prosto kieliszka. Ostatni raz był nim pewien neurochirurg. Jeśli również podczas pracy nie potrafi opanować drżenia rąk, to nie dopuściłabym go do swojego mózgu. Przez ten diabelski nawyk pucowania człowiek sam sobie staje na drodze, bo przecież nie może być pełnych rozmachu, dzikich imprez bez potłuczonego szkła lub zrzuconych na podłogę popielniczek. Albo bez sałatki kartoflanej na sofie. Obyczajne zachowanie rzadko ma coś wspólnego ze słowem „dziki”. Ani w seksie, ani na imprezie. Prawdziwy dylemat. Bardzo chciałabym dziko, ale możliwie bez szkód.

Wiem, że ma to coś wspólnego z powiedzeniem „umyj mnie, ale nie zmocz”.

Christoph wraca z joggingu radosny i rozpromieniony. Osiągnął najlepszy czas na swoim stałym odcinku. Po raz pierwszy przebiegł dwanaście kilometrów w ciągu jednej godziny. Jestem prawie tak podekscytowana, jakbym sama biegła. Gratuluję mu wylewnie, chociaż zupełnie mi to wisi, ile czasu potrzebuje na dwanaście kilometrów, ale wiem przecież, jak bardzo się z tego cieszy. Cieszę się więc razem z nim. No, jestem przecież dobrą, kochaną żonką.

Kiedy Christoph bierze prysznic, doprowadzam jeszcze do porządku toaletę dla gości. Może mało w tym sensu przed zabawą, ale moja mama zwykła pięknie mawiać:

- Toaleta jest wizytówką domu.

Ponieważ dzisiejszego wieczoru wpadnie tu do nas paru kolegów Christopha i jednym z tematów ich rozmów będzie na pewno moja nieszczęsna jazda na gapę tramwajem, nie chciałabym zostać dodatkowo okrzyknięta niedbaluchem.

Inge i Rudi przychodzą jak zwykle trzy kwadranse przed czasem.

- Nigdy nie wiadomo, jaki będzie ruch na drodze - oznajmia przy takich okazjach mój teść Rudi.

Gryzę się w język i nie wspominam, że w sobotę po południu nie ma ruchu prawie wcale, bo nikt nie dojeżdża do pracy. Inge trzyma w ręku ciasto, mruga do mnie i przekazuje je jubilatowi.

- Tylko jedno? - bez cienia zmieszania pyta swoją mamę mój mąż, rozpieszczony jednak.

W jego głosie czuć nutę obrazy. Nie dostaje jednak reprimendy od dobrej Inge - niewdzięczny synalek - ta zagryza tylko wargi i głaszcze swojego chłopaczka po policzku.

- Nie miałam zbyt wiele czasu, ale popatrz, to przecież tort serowy z bitą śmietaną, twój ulubiony.

Aż się dziwię, że Christoph nie tupie nogą, tak głupio patrzy.

- O, nie ma ciasta z kruszonką, co to za urodziny bez ciasta z kruszonką - nie może odżalować.

Można by pomyśleć, że obchodzi piąte urodziny albo że jest uzależniony od ciastka z kruszonką. Inge, a widzę to po jej zmieszanej twarzy, skłonna jest wszystko wypaplać, szczypię ją więc porozumiewawczo i szybko wtrącam:

- Twoja mama miała problemy. Zdrowotne - mówię zdecydowanym głosem i oczami pokazuję na podbrzusze.

Natychmiast się uspokaja. O te rzeczy żaden mężczyzna nigdy nie zapyta.

Jest bardzo miło. Inge i Rudi opowiadają o swoich planach urlopowych - chcą jechać samochodem kempingowym do Schwarzwaldu i zabrać ze sobą dzieci. Ich prezent dla Christoph'a to nowe buty do joggingu. Jest również bon na inne buty do biegania na dłuższe dystanse, z prędkościomierzem i krokomierzem.

- Takie buty trzeba przymierzyć - wyjaśnia mój teść, dlaczego przynosi bon, a nie od razu buty.

Christoph jest zachwycony, a ja markotnieję. Buty z prędkościomierzem. Absolutnie dekadenski bajer! Po godzinę pogawędek o tym i owym Inge zdobywa się na odwagę i wspomina moją wpadkę z tramwajem.

- Andrea, muszę ci wyznać, że nie mogliśmy dojść do siebie z powodu tej historii.

No, przynajmniej nie padły słowa: „Coś ty narobiła!” albo „Jak mogłaś?”.

- W związku z tym przynieśliśmy ci coś - mówi ostrożnie dalej.

Patrzy na mnie, odwlekając koniec wypowiedzi, i robi przy tym duże oczy. Tak jakby czekała na moje pozwolenie, by mówić dalej.

- Inge, powiedz już wreszcie - daję jej zielone światło.

- Pomyśleliśmy więc sobie, że coś takiego nie powinno się więcej zdarzyć, i kupiliśmy ci bilet miesięczny na tramwaj.

Wspaniale. Rzadko tak cieszyłam się z jakiegoś prezentu. I to właśnie wtedy, kiedy przyrzekłam sobie przez najbliższych kilka lat nie wsiadać do tramwaju. W każdym razie nie dobrowolnie. Jeśli chodzi o tramwaje, na początku tego tygodnia dostałam pewnego rodzaju fobii. Ale Andrea, nie denerwuj się, Rudi i Inge na pewno nie mieli nic złego na myśli! Zaraz wezmą ze sobą dzieci i zostawią dwa ciasta. Zdobywam się nawet na podziękowanie.

Tymczasem zrobiła się prawie siedemnasta, zaczynam się już lekko denerwować. Najpóźniej za dwie godziny goście staną na dywanie w przedpokoju. Tymczasem Christoph siedzi zupełnie rozluźniony przy stole i pałaszuje czwarty kawałek tortu serowego z bitą śmietaną. A gdzie zamówiony telefon? Nerwowo kręcę się na krześle. To nie może być prawda. Bez telefonu wszystko spali na panewce i nici z niespodzianki.

- Czy poszlibyśmy dziś wieczorem coś zjeść? Tylko my dwoje? - pyta Christoph.

- No, może - próbuję miło zareagować na propozycję, w końcu to ja przeważnie dopominam się o romantyczne wypadki we dwoje do restauracji. - Nie wiem... to niby dobry pomysł, ale co zrobimy z dziećmi?

Wszystko wisi na włosku, Andrea! - myślę sobie, a tymczasem Christoph nagabuje już swoich rodziców:

- Czy moglibyście wziąć dzisiaj do siebie Marka i Claudię, żebyśmy spokojnie wyszli z Andrea?

Widzę bezradność w oczach Inge i Rudiego. Jeszcze nie wszystko stracone. I tak mieli zabrać dzieci do siebie. Christoph jest zaskoczony, że rodzice nie krzyczą od razu „tak” i „hurra”, ale ja wiem, na co oni czekają. Na jasne wskazówki albo polecenie z mojej strony.

- To byłoby bardzo miłe z waszej strony - mówię więc.

- Oczywiście, chętnie je zabierzemy - odpowiada Inge z ulgą.

- Świetnie! - mówi Christoph. - Zarezerwowałem już stół u Giovanniego.

Jeszcze i to. Miejmy nadzieję, że Giovanni nie stracił głowy i trzymał buzię na kłódkę.

- Na którą godzinę? - chcę wiedzieć.

- Na wpół do ósmej, żebyś mogła wcześniej obejrzeć swoją *Ulicę Lipową* - mówi Christoph i się śmieje. Jaki piękny pomysł! Właściwie wolałabym to niż chatę pełną ludzi. Ale już definitywnie za późno. Nie za bardzo wypada powiesić na drzwiach kartki: „Party odwołane - wolimy jednak zjeść bez was”.

Podczas gdy rozmyślam nad wybrnięciem z opresji, dzwoni telefon. Wreszcie.

- Podejdz ty, Christoph, pewnie ktoś z życzeniami - mówię.

Christoph podnosi grzecznie słuchawkę. Szczerzy zęby.

- Tak, dzień dobry, panie doktorze Langner. Miło, że pan dzwoni. - Chwilę milczy, a sekundę potem twarz mu się chmurzy. - Ale teraz naprawdę nie jest na to dobra pora. - Słyszę, jak mówi: - Właściwie mam już pewne plany.

Kiedy mówi pan doktor Langner, Christoph pociera wolną ręką czoło.

- Doktorze Langner, dzisiaj, w sobotę, naprawdę nie widzę możliwości.

Brzmi to, co prawda, bardzo bohatersko, ale nie jest zgodne z moimi planami. Sądziłam, że po telefonie Langnera, mój mąż skoczy jak oparzony, zapakuje akta i popędzi do biura. Jak można się rozczarować! Jeśli się nie ugnie (co właściwie należałoby uznać za cud i niewiarygodny postęp na linii praca-dom), wtedy będę miała problem. Langner był moim asem w rękawie. Myślałam, że jeśli zadzwoni, Christoph stanie na baczność prosty jak struna.

- Jeśli inaczej się nie da, zrobię tak. Ale dzisiaj mi to w ogóle nie pasuje - odniosłam wrażenie, że Christoph już się poddał. - Dobrze, w takim razie do zobaczenia - żegna się z Langnerem nieszczerze przyjemnym tonem.

Jest naprawdę rozjuszony.

- Nie może być! - odkłada słuchawkę i grzmi: - Nie uwierzycie! Myślałem, że Langner, ten z kancelarii, szef, dzwoni do mnie, żeby złożyć mi życzenia. Pudło! Nie stać go było nawet na marne „wszystkiego najlepszego”. Ten stary pryk prawdopodobnie nie wie, że jego pracowite mrówki też miewają urodziny. Zadzwoił do mnie, żeby ściągnąć mnie do biura. Z powodu jednego, właściwie całkiem bzdurnego, procesu w poniedziałek. Jemu się chyba w głowie przewraca.

Christoph robi sobie przerwę na złapanie oddechu.

- I nie mogłeś powiedzieć „nie”? - pytam oburzona.

- Próbowałem, Andrea, ale stary tak się upierał. Nawet kiedy powiedziałem, że dzisiaj nie widzę możliwości. Wiesz, co mi odpowiedział? „Ja w takim razie też nie widzę paru możliwości, o których rozmawialiśmy dziś w południe”. Przecież to szantaż! - Christoph natychmiast znajduje poparcie u Rudiego i Inge.

- Rzeczywiście, to nieładnie ze strony twojego szefa, ale Christoph, czasami trzeba zjeść ten pasztet, no nie?

Ja z kolei ubolewam nad jego losem, chwalam jego ducha walki i mówię:

- Nic się nie martw. Nie pozwolimy sobie zepsuć tego wieczoru. Jedź spokojnie do biura, a ja zatelefonuję do Giovanniego i przełożę rezerwację na ósmą. To będzie bezpieczna pora.

Christoph kiwa głową, wyraźnie zadowolony z mojej wyrozumiałości.

- Naprawdę, bardzo mi przykro, Andrea, nie mam na to najmniejszej ochoty, zostałem przyparty do muru. Stary potrafi być cholernie uparty.

Wiedziałałam, że Langnerowi uda się wyciągnąć Christoph'a z domu. Kiedy go o to poprosiłam, zaraz się zgodził.

- Nie ma problemu, pani Schnidt, on pojedzie do kancelarii. Może pani na mnie polegać. Łatwo zajmę go na jakieś dwie, trzy godziny.

A potem zaśmiał się groźnie. Oto człowiek słowa. Christoph pakuje aktówkę i mruczy pod nosem:

- Najpierw nie ma ciasta z kruszonką, a teraz jeszcze to. Piękne urodziny, naprawdę wspaniałe! - żegna się z dziećmi i rodzicami.

Dostaję wielkiego buziaka i obietnicę, że pod żadnym pozorem nie zostanie dłużej niż do siódmej.

- Nie jestem niewolnikiem - cedzi jeszcze.

- Ale ty potrafisz bajerować! - chwali mnie mój teść. - Fantastycznie zagrałaś, Andrea. Nic się nie kapnął. Absolutnie nic.

Tylko to się liczy. Za dziewięćdziesiąt minut goście przekroczą próg domu. Jestem bardzo ciekawa, jakim sposobem uda się Langnerowi być tu przed Christophem.

Rudi i Inge łapią dzieci i mówią:

- Odbierzcie je sobie, jak będziecie chcieli mieć je z powrotem.

Życzą nam też dobrej zabawy. Zanim za pół godziny Giovanni pojawi się z bufetem, zostało mi trochę czasu, żeby się wystroić odpowiednio do okazji.

Podkręcam lokówką moje włosy typu spaghetti, psikam na nie obficie lakierem, pracując na własną dziurę ozonową, i mam nadzieję, że te wspaniałości utrzymają się do momentu pojawienia się gości. Na dzisiejszą imprezę maluję także kreskę na powiece i jestem zadowolona z ogólnego rezultatu. W mojej nowej sukience koloru turkusowego, małej ażurowej narzutce i sandałach na bardzo wysokim obcasie wyglądam całkiem nieźle. Nie będę się więcej zamećzać i robić na niedościgłą superkobietę. Sama dla siebie jestem miarą. Naturalnie, mogłabym od pasa w dół zrzucić parę kilo, ale za całość dałabym sobie piątkę z minusem - co niewątpliwie świadczy o tym, że popadam w samouwielbienie. Z drugiej strony nie patrzę na siebie bardziej krytycznie, niż trzeba. Mam dwoje dzieci i nie jestem już najmłodsza. A przecież wszystko to wlicza się, oczywiście, do oceny.

Jeszcze przed Giovannim przybywa Heike z Monachium. Moja Heike, która ze względów zawodowych przeprowadziła się do stolicy Bawarii. Czy Heike nie mówiła, że kogoś przyprowadzi? Heike, najbardziej wybredna lesbijka na całym szerokim świecie.

- A gdzie reszta twojego towarzystwa? - pytam od razu przy powitaniu.

Heike wręcza mi paczuszkę.

- Zajączka wybrałam z katalogu, ale teraz zdobyłam dla ciebie naprawdę ekstra zabawkę! Absolutnie szalowego delfinka! - mówi, wciskając mi coś bardzo porządnie zapakowanego. - A starego zajączka zabiorę z powrotem. Sprzedawczyni zapewniała mnie, że mogę go oddać do sklepu.

- Pytałam o osobę towarzyszącą. Nie miałaś kogoś przyprowadzić? - teraz jestem już troszkę rozczarowana.

Nie, żebym nie cieszyła się z delfinka na baterie, ale nowa miłość u boku Heike ucieszyłaby mnie bardziej.

- Przyjdzie później, o siódmej. Chciałam trochę z tobą pogadać sam na sam.

Heike śmieje się, a ja mówię tylko:

- Opowiadaj, chcę wszystko wiedzieć.

W kuchni przy kieliszeczku szampana Heike zdaje mi relację z poznania swojej nowej panny.

- Znam ją dopiero od dwóch tygodni. Ma na imię Lea. I jest... co ja mam ci, Andrea, mówić, sama zobaczysz. Wygląda tak, że powala z nóg. I jest taka zdolna. I sprytna. I niesamowicie całuje!

Mój Boże, Heike jest zadurzona! Po same uszy! U tak wielkiej sceptyczki jak ona to naprawdę coś znaczy.

- Gdzie ją poznałaś? Chcę usłyszeć wszystko z detalami, obojętnie jak bardzo miałyby to być wyuzdane! - domagam się więcej.

- Na zakupach - mówi krótko Heike. - Ona ma sklep i doradzała mi.

Heike i właścicielka butiku! Zadziwiające, ponieważ Heike niezbyt wyznaje się na modzie - reprezentuje raczej typ sportowej elegancji. Dżinsy, jakaś ładna bluzka i sportowe buty.

- Ty i jakaś ciotka z butiku? - pytam zdumiona.

- A kto tu mówi o butiku? - odpowiada Heike. - Prowadzi sex-shop dla kobiet, w którym kupowałam właśnie małego, różowego napaleńca od garażu. Obsłużyła mnie niezwykle uprzejmie. Była bardzo słodka, chociaż początkowo myślała, że napaleniec jest dla mnie. Czyli myślała, że jestem hetero. Ja od razu powiedziałam, że vibrator przeznaczony jest na prezent. Ale Lea wyznała mi potem, że wszystkie, które kupują vibratory, mówią, że mają zamiar je sprezentować. Kobieta nigdy nie przyznałaby „on jest dla mnie”. I dlatego było dla niej jasne, że jestem hetero.

O kurczaki, ale skomplikowane!

- I jak to się potem wyjaśniło? - dopytuję.

- Ja to po prostu powiedziałam - śmieje się Heike. - Powiedziałam wprost, że zajaczek na mnie nie działa. Ani żywy, ani martwy. Fallus mnie nie bawi. A potem zobaczyłam coś w jej twarzy. Jakby się rozpromieniła. I zapytała mnie, czy nie napiłabym się kawy. I kiedy razem ją sobie popijałyśmy, przyznała mi się, że ona także gustuje w kobietach.

- Mów dalej! - poganiam ją. - Nie mamy zbyt wiele czasu, więc przejdź wreszcie do sedna! Najpóźniej za małą godzinkę przyjdą goście.



- Już dobrze - uspokaja mnie Heike. - Zapytałam potem, czy poszłaby ze mną coś zjeść. Poszła. I nie tylko zjeść. Od tamtej pory jesteśmy razem. Lea jest wspaniała. I taka wykształcona!

Zanim moja przyjaciółka znowu rozplynie się w zachwytach, muszę ją powstrzymać, ponieważ dzwoni telefon. To Christoph.

- Andrea, mam już dosyć. Langner zbzikował. Położył mi przed nosem dawno przygotowane akta. Wczoraj piał nad nimi z zachwytu, a tymczasem mam za zadanie przygotować nowe uzasadnienie w oparciu o wyrok sądu najwyższego. Nie wyjdę stąd pewnie przez następnych parę godzin. A stary przyk wyjechał sobie na weekend! Myślę, że zostawię to gównu i siądę do tego jutro. Przecież on się nie dowie, kiedy będę nad tym pracować. Wracam za dwadzieścia minut.

Wielki Boże! Nie może być! Christoph przyjedzie przed gośćmi! Szybko, Schmidt, wymyśl coś!

- Skarbie, skończ to lepiej. Dzieci są u rodziców, a do Giovanniego możemy pójść o każdej porze. Specjalnie zadzwoniłam. Nie ma najmniejszego problemu, jeśli potrzebujesz jeszcze godzinę lub dwie. Naprawdę. Nie chcesz przecież, żeby Langner się denerwował.

Mam nadzieję, że połknie haczyk i choć raz w życiu mnie posłucha.

- Upadłaś na głowę czy coś ci się stało? - Christoph coś wywęszył. - Czy Langner odpalił ci jakąś sumkę za ten wyraz solidarności? Po czyjej właściwie jesteś stronie? Zawsze mówisz, że nie powinienem się dawać - mój małżonek zaczyna się wkurzać.

Szybko działam:

- Nie, bzdura, naturalnie, że Langner jest dupkiem, strasznym wyzyskiwaczem i idiotą, ale nic ci nie da, jeśli pojedziesz tam jutro raz jeszcze. Wiesz, że najlepiej nie odkładać niczego na następny dzień.

- No tak - burczy niezadowolony Christoph - jak uważasz. Godzinę jeszcze wytrzymam, ale potem wracam do domu. Gdzieś musi być granica. Nie jestem idiotą na służbie, któremu w każdej chwili można podsunąć pod nos akta. Przecież mam dzisiaj urodziny, Andrea.

- Wiem, skarbie - odpowiadam takim tonem, jakbym rozmawiała z czterolatkiem, który zbił sobie kolano. - Chodzi przecież o wydajność, bo sprawa sama w sobie jest naturalnie strasznym świństwem. Ale nie chcę rezygnować z ciebie także jutro. Lepiej, jak teraz jeszcze godzinę popracujesz, a potem zrobimy sobie cudowny urodzinowy wieczór. I piękną noc - mówię, a w moim głosie można wyczuć obietnicę.

O ludzie, dałam z siebie wszystko i wydaje mi się, że poskutkowało. Przekonało go słowo „wydajność”.

- Z pewnością tak będzie wydajniej - wzdycha Christoph i dodaje jeszcze: - W takim razie będę najpóźniej za godzinę. Na razie!

Byłabym szczęśliwsza, gdyby przekonała go myśl o obiecująco zapowiadającej się nocy. No, ale najważniejsze, że się udało! Mój Boże, o mały włos!

Pojawia się Giovanni z pomocnikami i bufetem.

- Przygotowaliśmy wspaniałości, signora Andrea. I nic nie zdradziłem mężowi. Zadzwonił, żeby zarezerwować stolik na dzisiejszy wieczór. Powiedziałem - nie ma problemu. Proszę przyjść z czarującą małżonką. Będzie mi bardzo miło.

Chcę zapłacić rachunek, ale Giovanni daje mi znak ręką.

- Gdy jutro przyjadę po naczynia, wtedy rachunek. Bufet przygotowujemy w kuchni, żeby Christoph nie zauważył go od razu po wejściu do domu. Jak w prawie wszystkich domkach szeregowych, z przedpokoju widać od razu wyjście do ogrodu i fragment salonu.

Kwadrans przed siódmą zaczyna się. Goście wmaszerowują do domu i w tym samym czasie zaczyna mżyć. To tyle na temat garden party. Doktor Langner przychodzi jako jeden z pierwszych.

- Cha, cha! - śmieje się groźnie na powitanie. - Był nieźle wkurzony ten pani mąż, cha, cha!

Zdaje się, że zadanie Christophowi zupełnie niepotrzebnej roboty sprawiło mu troszkę przyjemności, bo ciągle się tym podnieca. Dostaje jednak ode mnie kieliszek szampana - w końcu wypełnił swoją misję i chyba nie zaszkodzi, jeśli będę na dobrej stopie z szefem swojego męża. Moja siostra od razu wchodzi w orbitę Langnera. Uwielbia mężczyzn, którzy mają coś do powiedzenia, tym bardziej więc wydaje się niezrozumiałe, dlaczego jest z Kurtem. Chociaż nie sądzę, że Kurt nie ma nic do powiedzenia, ale przecież ważny jest sens, poziom wypowiedzi. Małżonka doktora Langnera, z wynikiem handicap 17\* w grze w golfa, stoi znudzona w naszym salonie i lustruje kąt po kącie, tak jakby chciała zapamiętać każdy szczegół. Zanim zacznie szukać kurzu i nieporządku, napuszczam na nią moją mamę. Golf jest zawsze wdzięcznym tematem wśród tego rodzaju kobiet.

\* Liczba określająca poziom umiejętności gracza w golfa.

Wszystko idzie, jak trzeba. Trzy po siódmej wszyscy zaproszeni goście są już w domu. Nawet najwięksi spóźnialscy, którzy pojawiają się zwykle godzinę później. To był niezły pomysł, żeby wydać gościom dokładne polecenia.

Ostatnią osobą, która dzwoni do drzwi, jest Lea, zdobycz Heike. Do pioruna, co za kobieta! Ona powinna nosić ze sobą broń. Nie tylko ja jestem tego zdania - przynajmniej połowa męskiej części gości stoi z lekko rozdziawionymi ustami. Lea jest wysoka, jakieś metr osiemdziesiąt wzrostu. Nosi dżinsową mini, eksponując niemal nieskończenie długie, nieprawdopodobnie zgrabne nogi. Do tego ma na sobie zupełnie zwyczajny, choć ciasny i mały, T-shirt. Czuję, że wzbiera we mnie zazdrość. Jakie to musi być wspaniałe, iść przez życie na takich nogach! Tak po prostu włożyć na siebie mikrą spódniczkę albo dżinsy w rozmiarze 27. Same nogi można jeszcze znieść, ale jeśli cała reszta wygląda równie idealnie, trudno to przełknąć. Naturalne blond włosy układające się we wspaniałe fale, duże, pięknie rzeźbione usta i klasyczny, prosty nos. Idealnej wielkości nos, który budzi zazdrość każdej napotkanej kobiety. I jej zielone oczy. Ona nie jest ładna, ona jest po prostu piękna. I prawie bez makijażu. Niewiarygodne! Gdyby nie była nową dziewczyną Heike, musiałabym ją znienawidzić. Ciężko zaakceptować doskonałość innych. Gdybym sama była idealna, jakoś łatwiej bym to zniosła, ale niestety mnie to nie grozi. Heike już sunie w kierunku Lei, przybiera niedwuznaczną pozę i demonstracyjnie ją całuje. W usta, rozumie się. Langnerowi o mało nie wypada z ręki kieliszek. Mój brat Stefan, znów solo, patrzy rozczarowany. Mimo całej mojej miłości do brata nie mogę nie zauważyć, że to i tak nie jego liga. Mężczyźni to marni obserwatorzy i zazwyczaj kiepsko przeliczają swoje siły na zamiary. Dowodzą tego chociażby liczne przykłady z prasy bulwarowej, gdzie szpetne karzelki pozują z urzekająco pięknymi kobietami. Wszystkich Stefanów tego świata odsuwa na bok fakt, że mężczyźni-karzelki czy inne potwory nie podbijają kobiet swoim nieodpartym urokiem, lecz raczej zasobnym portfelem. A mój wiecznie studiujący brat nie może się taką zaletą pochwalić. Lea nie zaszczyciła spojrzeniem nawet jednego z facetów. Od razu widać, że ma kompletnego bzika na punkcie Heike. Ta natomiast zachowuje się prawie jak jeden z tych starych, bogatych mężczyzn, którzy chętnie obnoszą się ze swoją zdobyczą. Kładzie Lei rękę na biodrze, aby jednoznacznie podkreślić, do kogo należy ta piękna perła.

Kwadrans po siódmej zapędzam całą zgraję (około trzydziestu pięciu osób) na pierwsze piętro.

- Ukryjcie się w pokojach dzieciennych - wołam.

Langner akurat przymierzał się, żeby opowiedzieć mojej sąsiadce Anicie, jak udało mu się dołożyć Christophowi, jednak posłusznie drapie się po schodach na piętro. Wydaje się, że impreza-niespodzianka bardzo mu się podoba. Mam nadzieję, że Anita będzie trzymała buzię na kłódkę i nie opowie Langnerowi historii z wibratorem. Mojej mamie gdzieś tam w pośpiechu udaje się jeszcze szepnąć mi do ucha:

- Mam nadzieję, że posprzątałaś na górze.

Tak, teraz wszystko gotowe na przybycie mojego męża. Przymocowuję jeszcze urodzinową girlandę, sprzątam parę szampanówek i cierpliwie czekam, ale już po trzech minutach uchodzi ze mnie cała cierpliwość. Pokoje na górze są raczej mało przestronne i wątpię, czy goście będą mieli ochotę pobawić się jakiś czas lalkami Barbie. Poza tym musi im być tam piekielnie ciasno. Mam nadzieję, że nie wleżą do naszej sypialni. Nie marzy mi się wcale inspekcja łazienki. Znam siebie i wiem - każdy chętnie rzuca okiem na szafę łazienkową. Ufam, że goście będą mniej ciekawscy niż ja.

Po pięciu minutach dzwoni Christoph.

- Skarbie, obawiam się, że musisz odwołać rezerwację u Giovanniego. Nie widzę końca. To jest po prostu robota głupiego. Pal sześć urodziny! Na pewno potrzebuję jeszcze około trzech godzin. To nie takie proste. - Wzdycha.

Ja też. Jak to się skończy? Czy mam wszystkich gości wysłać do koszar? Impreza-niespodzianka bez tego, dla którego jest przeznaczona, nie ma zbyt wielkiego sensu.

- Kochanie, tak się cieszyłam - próbuję najpierw w delikatny sposób.

- Ja też - odpowiada - ale przecież sama najpierw powiedziałaś, żeby dziś załatwić to, co się da, i nie przekładać na jutro. A jeśli Langner pojawi się jeszcze raz, a to cholerstwo nie będzie gotowe, wtedy już na pewno oberwę. Nie chcę bury.

Czy mam teraz wszystko zdradzić? Że Langner nie pojawi się na sto procent, ponieważ gawędzi sobie z Anitą w pokoju dziecięcym? Nie, tak szybko się nie poddam.

- Ach, Christoph, w domu nie ma nic do jedzenia - jęczę w słuchawkę.

- Nie chciałaś schudnąć parę kilo? - pyta mnie mało szarmancko.

- Nie dzisiaj! - mówię i jestem zła.

Głupia uwaga. Na temat wagi generalnie zawsze słyszy się niewłaściwe komentarze. Na pytanie „Czy uważasz, że jestem za gruba?” odpowiedź „tak” jest oczywistym powodem do rozvodu. Sama dobrze wiem, które strefy ciała nie są dokładnie takie, jakie być powinny. Ale mimo to każda kobieta chce, żeby ukochany tego jednak nie zauważał. Nawet gdy ma się

świadomość, że całe ciało uznać można właściwie za jedną wielką strefę problemową, nie potrzeba nikogo, kto by to jeszcze wytykał. Ale teraz bez dyskusji na tematy zasadnicze, Schnidt - przywołuję się do porządku.

- Co z ciebie za podlizuch? Pozwól Langnerowi być Langnerem i wracaj do domu. Kto ma dzisiaj urodziny, ty czy ten pan niewolników? - rozpalam w nim jeszcze (miejmy nadzieję) drzemiący gniew.

- Hej, Andrea! - jest zaskoczony. - Niedawno mówiłaś coś zupełnie innego. Ale dobrze. W razie czego pojedę tam dziś w nocy jeszcze raz. Będę za dziesięć minut.

Dziesięć minut, przecież to śmieszne. Od kiedy Christoph dysponuje *concorde*'m? Ale proszę, najważniejsze, że jest już w drodze.

- Obiecujesz, że zaraz będziesz? - upewniam się raz jeszcze.

- Już mnie tu nie ma - śmieje się i odkłada słuchawkę.

Idę na górę na pierwsze piętro i powiadamiam wszystkich:

- Tak więc będzie za piętnaście minut. Kiedy usłyszycie samochód, proszę o absolutną ciszę. Na moją komendę zejdzicie na dół. Wtedy ja zawołam „niespodzianka”.

Wszyscy potakują głowami i wydają się być w wyśmienitych humorach. Może z wyjątkiem pani Langner. Ona wygląda tak, jakby miała za parę sekund umrzeć z nudów, ale tak długo jak jest wyjątkiem, nie obchodzi mnie to! Kto wie, co się działo u nich albo u innych moich gości w domu, zanim przyszli tutaj? Prawdopodobnie pani Langner powiedziała do męża: Mógłbyś pójść sam, co ja mam wspólnego z twoimi pracownikami? A on mógł odpowiedzieć: Gdyby nie moi pracownicy, ty, moja droga, nie prowadziłaś tak wygodnego życia. Zbieraj się szybko i włóż na siebie coś odpowiedniego. Nie chcę stracić na opinii swoich pracowników. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby bycie żoną doktora Langnera należało do przyjemności, dlatego wybaczam jej nawet mufloniastą twarz.

Nie mogę dojrzeć Heike. Ani jej *beauty-queen* Lei. Pytam mojego brata. Dobrze trafiłam, cały czas miał je na oku.

- Poszły na samą górę, do twojej sypialni. Heike chciała pokazać Lei coś związanego z zawodem. Ta Lea to naprawdę bomba. Myślisz, że ona jest bi?

Nie mam pojęcia, ale mówię „nie”, choćby dlatego, aby utrzymać Stefana w ryzach, i odczuwam zadowolenie, że on nie wie, czym zawodowo zajmuje się Lea. Wtedy poszedłby za nią do sypialni. Czego one dwie tam szukają? Mam nadzieję, że nie tego, o czym myślę. Może Heike ma zamiar pokazać jej zajęczka? W końcu Lea jest fachowcem. Ale skąd ona mogłaby

wiedzieć, gdzie jest zajaczek? Czy ja aby tego nie powiedziałam? Nie, na pewno nie. Wtedy teoria z zajaczkami nie byłaby słuszna. Czy mam ochotę sprawdzić, co one dwie robią tam na górze? Ochotę owszem, ale brak mi na to czasu. Powinnam być na dole, kiedy Christoph wróci do domu. Proszę moją przyjaciółkę Sabine, aby dyskretnie wyciągnęła obie z sypialni.

Sabine jest w złym humorze z powodu Mischi-Kielbasy. Jej chłopak, lekarz asystent i mój były kolega z klasy - syn rzeźnika, który zawsze miał przy sobie bułeczkę z wieprzkiem - zostawił ją. Nigdy nie podejrzewałam, że Mischi-Kielbasa byłby w stanie kiedykolwiek opuścić kobietę. Na klasowych potańcówkach żadna nie zatańczyła z nim jednego tańca. On był jakby nieobecny. Myślałam, że pograży się w dożywotniej wdzięczności, skoro wreszcie jakimś cudem udało mu się złapać takie złoto jak Sabine. A tu pudło. Świat płaci niewdzięcznością. Sabine jest tak nieszczęśliwa, że snuje się z cierpiętniczą miną z kąta w kąt. Ona naprawdę kochała tego faceta.

- Nie docenialiście go. Z nikim nie miałam lepszego seksu - zwierzyła mi się kiedyś.

W tym przypadku wykazałabym się raczej sceptycyzmem, ale Sabine ma naprawdę spory materiał porównawczy. Mischi-Kielbasa bardzo klasycznie i jakże trywialnie zakochał się w pielęgniarce.

- Ma więcej zrozumienia dla mojej pracy - powiedział Sabine, kiedy ją opuszczał.

Bardzo to niesprawiedliwe, ponieważ Sabine jest wierną fanką serialu o lekarzach. Przy najmniej pięćdziesiąt procent jej początkowych fascynacji koncentrowało się na fakcie, że ten czy tamten nosi biały kitel. Dzisiaj chciałabym jeszcze raz napuścić Sabine na Jörna, przyjaciela Christoph'a. On naprawdę nie jest zły. Wysoki, przystojny, a już na pewno o klasę lepszy od tego Mischi-Kielbasy. Przy tym niepozbowiony dobrych manier. To już coś!

- Jak ci się podoba przyjaciółka Heike? - pytam ją szybko.

- No tak, bardzo ładna, ale zero czaru.

Co proszę? Czy ja się nie przesłyszałam? Zero czaru? Co w takim razie nazwałaby czarem?

Powoli zaczynam się denerwować. A jeśli Christophowi nie spodoba się niespodzianka? Za późno. Znow idę na dół do salonu i wtedy słyszę samochód.

- Uwaga! - wołam jeszcze do góry. - Już jest!

Stoję w korytarzu i kiedy Christoph wchodzi do domu, biorę go w objęcia.

- Najpierw muszę się czegoś napić - grzmi. - Mam potąd tego patafiana Langnera.

Idzie w kierunku kuchni. Ratunku, tam jest bufet!

- Usiądź sobie na sofie - mówię - i nie krzycz tak.

Tego patafiana Langner na pewno usłyszał. Ale okay, „patafian” jeszcze ujdzie.

- Przyniosę ci coś do picia.

- Dobrze - mruczy.

Nic go nie dziwi, poddaje się swojemu losowi. Większość mężczyzn daje się chętnie obsługiwać; przyzwyczajają się do tego nadzwyczaj szybko. Idę do kuchni i zamykam za sobą drzwi, aby Christoph nie odkrył bufetu. Fatalny błąd. Zamknięte drzwi sygnalizują, że musi krzyczeć, abym mogła go zrozumieć.

- Mówię ci, Andrea, gwizdzę na tego starego pryka Langnera. Nie pozwolę sobie na to. Sam jest głupi jak noga stołowa i komenderuje całym towarzystwem w kancelarii, ten zadufany w sobie bufon.

Przy „bufonie” jestem z powrotem w salonie.

- Uspokój się zaraz, dotychczas uważałeś, że doktor Langner jest wyjątkowo sympatyczny, to był przecież twój wzór - mówię parę miłych słów pod adresem Langnera, dobrze wiedząc, że tam na pierwszym piętrze słychać każde słowo.

Taka to uroda domków szeregowych.

- A ty coś wypijaś, czy może się czegoś naćpałaś? Zawsze przecież mówiłaś, że Langner jest... - zaczyna reagować na moje komplementarskie uwagi. Nie pozwalam mu mówić dalej. Zbyt dobrze pamiętam, jak tytułowałam Langnera. Już teraz zapadłabym się najchętniej pod ziemię, a pierwsze piętro domu wystrzeliła w kosmos. Oto stałam się świadkiem, jak mój mąż za pomocą paru zdań katapultował się w przestrzeń poza karierę. Jeszcze dwa, trzy zdania i od jutra będę żoną bezrobotnego. Nie będziemy więcej w stanie spłacać hipoteki i wylądujemy na socjalnym marginesie z głodowym ubezpieczeniem typu Hartz IV\*. I właściwie to ja jestem temu winna. No bo kto zaprosił Langnera? Ja. Teraz nie pozostaje nic innego, jak podejść do sprawy ofensywnie. Daję Christophowi do ręki piwo, żywię nadzieję, że Langner źle słyszy, i wołam głośno:

- Niespodzianka!

\* Minimalne ubezpieczenie socjalne i zasiłek dla bezrobotnych.

Rozlega się tupanie i łomot, tak jakby po naszych schodach zbiegało stado wołów. Christoph jest oszołomiony. Czy z radości, czy z przerażenia, trudno stwierdzić. Kiedy w salonie pojawia się Langner, wtedy już wiem: z przerażenia.

- Andrea, powiedz, że to nie jest prawda, powiedz, że mam halucynacje.

Zanim mogę odpowiedzieć, wszyscy śpiewają *Happy Birthday!*, a ja wołam:

- Bufet jest otwarty!

Jedzenie zawsze wprowadza dobry nastrój.

Christoph i ja nie możemy niestety tak do końca dobrze się bawić. On nie wie, jak powinien się zachować, więc nie zachowuje się wobec Langnera w ogóle albo lepiej powiedziawszy, utrzymuje dystans. Ja też jestem trochę zbita z tropu. Wszystko w końcu z mojej winy. Chciałam zyskać uznanie, a tymczasem w tej historii otrzymam rolę kobiety która osobiście przyczyniła się do wyrzucenia swojego męża z pracy. I to jeszcze na takim trudnym rynku prawników. Klapa to mało powiedziane. Jednak party jest bardzo udane, Langner ze swoją małżonką wychodzą po dobrej godzinie. Jego pożegnanie jest pełne aluzji.

- Czeka nas jeszcze rozmowa. Ale nie tutaj i nie dzisiaj. Zadzwońię.

Jego słowa brzmią tak, jakby chciał powiedzieć: „Niech pan teraz zostanie w domu, wyślemy panu papiery”. Jego żona tylko się uśmiecha. Po wyjściu Langnera zaczyna się.

- Na górze można było zrozumieć każde słowo - syczy Sabine - a żona tego Langnera patrzyła tak, mówię ci, jakby chciała zaraz wszystkich pożreć. Horror! A potem wciąż szczyrzyła zęby. Po nim samym nie dało się nic poznać. My wszyscy na to w ogóle nie reagowaliśmy. Jakby nigdy nic. - Robi małą przerwę. - Myślisz, że dostaniesz pracę, jeśli Christoph straciłby...?

Sabine nie ma śmiałości dokończyć pytania. Ta to potrafi dodać komuś odwagi! Brawo!

Na szczęście jest alkohol. Wlewamy w siebie spore ilości, w bufecie Giovanniego szerzymy spustoszenie, a około wpół do trzeciej nad ranem piękna Lea tańczy na stole.

- Te dwie poszły na górę do sypialni chyba się zabawić, kiedy my w pokojach dziecięcych wyczekiwaliśmy Christopha, ściśnięci jak sardynki - skarży jeszcze Sabine, a w jej głosie da się słyszeć nutę zazdrości, gdy mierzy wzrokiem Leę.

Nie wydaje się, żeby pomiędzy nią a Jörnem miało coś zaiskrzyć. Sabine uważa go za nudziarza. I to mówi kobieta, która była z Mischi-Kiełbasą!

Impreza robi się naprawdę zabójcza. Ostatni goście wychodzą około czwartej. Jesteśmy zdecydowanie zbyt podchmieleni, żeby sprzątać. Christoph nie czuje się nawet na siłach rozpakować prezentów. Ja na jego miejscu musiałabym otworzyć wszystkie urodzinowe paczki, zanim poszłabym spać. Nie potrafiłabym powściągnąć ciekawości.



Nie jestem w stanie zrobić sobie demakijażu - według pism kobiecych, śmiertelny grzech. W ciągu paru sekund obydwójce zapadamy w głęboki sen - Christoph, niedługo bezrobotny, i ja, winowajczyni.

## Dzień siódmy

Otwieram oczy. Budzik wskazuje dwunastą trzydzieści.

O mój Boże, co się dzieje z moją głową?

Już nigdy nie wezmę do ust ani kropli alkoholu! Chyba nie dam rady nawet wstać. Kiedy próbuję się podnieść, przed moimi oczami przesuwiają się w zwolnionym tempie obrazy z wczorajszego wieczora. Jejku, jejku! Czy to ja o wpół do czwartej chciałam grać w rozbieranego pokera? Czy to ja powiedziałam Jörnowi, że już może zacząć się rozbierać?

Najchętniej schowałabym się pod kołdrę i już tam została. Na zawsze.

A tak w ogóle, gdzie jest Christoph? Pragmatyczny z niego człowiek, więc zupełnie prawdopodobne, że siedzi teraz w salonie i czyta oferty pracy. Brakuje mi odwagi zejść na dół. Mam nadzieję, że nie za bardzo się na mnie złości. W końcu najważniejsza jest zawsze dobra intencja. I to się liczy. Czy to ja, czy on powiedział „patafian” i „głupi jak noga stołowa”?

Najpierw idę do łazienki. Dobry Boże! Moja twarz przypomina ryjek szopa pracza. Chorowitego szopa pracza. Błada, z czarnymi obwódkami od tuszu dookoła oczu. Odczuwam teraz ulgę, że jestem mężatką. Nie do pomyślenia przecież spotkać się w takim stanie z kolesiem na jedną noc. Na Christophie takie widoki nie robią większego wrażenia. Na przestrzeni lat widział mnie już w najróżniejszym stanie - czasem nawet wyglądałam zdecydowanie gorzej niż dziś rano. Wlokę się w kierunku kuchni, dziękuję w duchu moim teściom, że opiekują się dziećmi - jeszcze ich by mi teraz brakowało! - i robię sobie kawę. Bez kawy klarowna myśl nie jest możliwa. Łykam dwie aspiryny. Gdzie mój mąż? Jak okiem sięgnąć, ani śladu po nim. Na dodatek nie ma też śladu wczorajszej szampańskiej imprezy. Zmywarka włączona, pokój odkurzony (chyba nawet przetarty na mokro) i wszystko zdaje się w idealnym porządku. Medal za pracowitość. Prezenty leżą poukładane na stoliku przy tapczanie, który nie jest chyba nawet przypalony papierosami. Gdyby mój mąż uciekł z jakąś laską, co wyjaśniałoby jego nieobecność, przedtem nie wysprzątałby przecież salonu. Dziwne.

Po kawie czuję się już trochę bardziej jak człowiek. Od lat tyle nie wypięłam. I obiecuję sobie, że miną lata, zanim znów wypiję takie ilości alkoholu.

Dzwoni telefon. To Heike. Pyta, czy spodobała mi się Lea. Chwalę wytrawny smak Heike, a ona jeszcze raz, przez kwadrans, rozpływa się w zachwytach nad intelektem Lei. Takie nogi, a do tego jeszcze tak błyskotliwy umysł - Bóg nie jest sprawiedliwy.

Potem dzwoni Sabine. Słyszę euforię w jej głosie. Opowiada, że Jörn nie jest jednak takim nudziarzem, jak myślała. Poza tym ma fantastyczne ciało, dzięki któremu potrafi robić wiele wspaniałych rzeczy. Ach tak!

- Odwiózł mnie do domu, a ja nie mogłam zrobić nic innego, jak tylko zaproponować mu coś do picia - próbuje wyjaśnić sytuację.

- A potem godzinami rozmawialiście - mówię zupełnie niewinnie.

- Nie, raczej nie. Kiedy mówił, wydawał mi się niezbyt interesujący. Na imprezie nagadaliśmy się wystarczająco. Wyjaśnił mi tylko, dlaczego jestem bardziej seksowna od Lei, a potem zaczął mnie całować.

Bardziej seksowna od Lei. Jörn zawsze odznaczał się sprytem i z pewnością od razu zauważył, kto na imprezie był dla Sabine konkurencją numer jeden, a poza tym u Lei tak czy siak nic by nie wskórał. Stary, szczwany lis.

- I jak? - chcę wszystko wiedzieć.

- Bomba! - mówi Sabine i mruczy coś jeszcze o hojnym wyposażeniu przez naturę, o czym dawno już wiedziałam, bo Christoph wspomniał o tym przy jakiejś okazji.

Nazwał to „rzeczą, która może przyprawić o kompleksy”. Po tym, jak zobaczyłam nogi Lei, wiem już, co miał na myśli.

Pałaszuję ostatni kawałek ciasta z kruszonką i kładę się na sofie. Co będzie, jeśli Christoph wyleci z kancelarii? Może znalazłabym coś w jakiegokolwiek redakcji? Albo w biurze? Potrafię szybko pisać na komputerze, telefonować też umiem, archiwizacja może nie jest moją namiętnością, ale znam się poniekąd i na tym. Myślę, że uda mi się ogarnąć całość, a Christoph, jak widać dookoła, posiadał już umiejętności gospodarza domu.

Przed rozpoczęciem poszukiwań mojego męża, dzwonię do teściów.

- Maluchy mają się bardzo dobrze - komunikuje Inge, a potem mówi: - Byłam u was dzisiaj rano i trochę posprzątałam. Ależ to wyglądało! Naświnione, że hej! Christoph musiał wyjść, więc ja zabrałam się do sprzątnięcia. Chłopak nawet trochę mi pomógł.

To tyle na temat gospodarza domu. Zadzwoił do mamusi, żeby mu pomogła. Ależ kompromitacja! W dodatku nie tylko dla niego, ale i dla mnie. Leżę w łóżku i smacznie śpię, gdy tymczasem moja teściowa haruje na dole jak sprzątaczką.

- A dlaczego mnie nie obudziliście? Sama mogłam to zrobić! - okazuję skruchę.

- Dobrze, że sobie pospałaś po wczorajszym, a ja mam przecież czas. Wszystko w porządku, Andrea.

Nic nie jest w porządku.

- A tak w ogóle, to gdzie Christoph? - pytam jego matkę.

- Ach, biedak! Jego szef, ten Langner, zadzwonił i wezwał go do biura. Zaraz więc pojechał. Myślę, że naprawdę miał pietra.

Coraz gorzej. Kiedy ja sobie leżę w łóżku, moja teściowa sprząta mi mieszkanie, a mąż musi się stawić na poranny apel do „patafiana”.

- Inge, w każdym razie wielkie dzięki, ale to naprawdę nie było konieczne. Przecież ja sama potrafię sprzątać śmieci po zabawie.

- Wiem, Andrea, wiem. Ale ja chciałam tylko pomóc. Nie miej mi tego za złe.

Inge to dusza człowiek i najbardziej bezinteresowna osoba, jaką znam. Uzgadniamy, że Christoph i ja odbierzemy dzieci po południu. Inge podkreśla jeszcze raz, że wszystko zrobiła w dobrej wierze i że mogłaby wesprzeć nas również finansowo, jeśli w kancelarii poszłoby bardzo źle, choć ma nadzieję, że tak się nie stanie.

Przynajmniej wiem, gdzie utknął mój mąż. Zawsze to coś. Chociaż byłoby mi dużo przyjemniej, gdyby akurat ten czas poświęcił na przykład na jogging. Biorę prysznic, ubieram się, a zaraz potem pojawia się Giovanni.

- Przychodzę odebrać naczynia, signora Andrea.

Plącę za jedzeniem i daję porządny napiwek. Nienawidzę ludzi, którzy skąpią na napiwki. W poszukiwaniu portfela otwieram także szufladę, w której leży moja lista. Lista z „więcej napięcia, więcej seksu, więcej uznania” i tak dalej. Ale co widzę? Coś tu się zmieniło!

Gdy tylko Giovanni znika w drzwiach, wyciągam kartkę z szuflady. Ktoś tu coś nabażgrolił. Oczywiście, że tak! Tak bywa, kiedy mężczyźni wchodzą do kuchni. Wszystko w życiu ma swoje dwie strony. Mam nadzieję, że nie była to Inge, która niechcący trafiła na mój depozyt.

Po piśmie mogę jednoznacznie stwierdzić, że to jednak Christoph.

Chcę:

- więcej napięcia

*DOSTANIESZ:*

*W NASTĘPNYM TYGODNIU W ŚRODĘ - I TO BEZ JAZDY TRAMWAJEM!*

- więcej seksu

*DZIŚ O 20.30, MIEJSCE SPOTKANIA:*

*SYPIALNIA, BEZ ZAJĄCZKA I DELFINKA!!!*

- więcej uznania

*JESTEŚ NAJLEPSZA, NAJPIĘKNIEJSZA, NAJSPRYTNIEJSZA, NAJBARDZIEJ DOWCIPNA, CUDOWNIE SPONTANICZNA I BARDZO CIĘ KOCHAMI*

- szczuplejsze uda

*UWIELBIAM TWOJE UDA TAKIE JAKIE SĄ!*

- fantastyczny nastrój

*PATRZ NA DOLE*

I to wszystko szybko, proszę. Bardzo szybko.

*PODRÓŻ POŚLUBNA - ODLOT. ŚRODA 13.30, LH, KIERUNEK KARAIBY, DZIECI ZOSTANĄ Z MOIMI RODZICAMI - WSZYSTKO ZORGANIZOWANE, PAKUJ SWOJE BIKINI!*

Podróż poślubna! Wreszcie! Mogłabym zawyć ze szczęścia. Mój prawie (albo jeszcze nie, ale na pewno zaraz) bezrobotny mąż bukuje podróż poślubną! Jak w reklamie Bacardi będziemy wygrzewać nasze ciała na gorącym piasku, trzymać się za rączkę przy romantycznych zachodach słońca i wyznawać sobie miłość. Żadnych akt, żadnej gimnastyki dziecięcej - tylko my dwoje i mnóstwo czasu!

Nawet jeszcze lepiej: on uwielbia moje uda! Co za mężczyzna! Mam jedną, dwie łożki w oczach i już myślę, czy nie powinnam kupić sobie do mojego starego bikini (tak na wszelki wypadek) jakiejś fajnej zwiewnej chusty plażowej. A do tego dwie, trzy letnie sukienki.

Skąd on zna tę historię z delfinkiem i zajączkiem napaleńcem? Heike nie powinna dostawać nic do picia, inaczej zapomina się i nie można liczyć na jej dyskrecję. Ale po przeczytaniu dopisków na tej liście jestem skłonna jej wybaczyć. Jakie to wszystko słodkie!

Szkoda, że nie mogę teraz do niego zadzwonić, by mu to powiedzieć, ale przerywanie spotkania z doktorem Langnerem, wobec niekomfortowej sytuacji pt. „głupi jak noga stołowa”, nie byłoby wskazane.

Zamiast tego dzwonię jeszcze szybko do Sabine i opowiadam jej o wszystkim. Ona też jest pod dużym wrażeniem.

- Podróż poślubna? Ależ fantastycznie! I jeszcze na Karaiby! No, już najwyższy czas. Jesteście bliżej srebrnych godów niż miesiąca miodowego - rzuca cię na moją radość.

Ale tylko troszkę. Jak to zwykle Sabine - ciut przesadza. Wtedy byłam w ciąży, nie myślałam o Karaibach. Potem Mark był zbyt mały, a ja nie chciałam oddawać rodzicom pod opiekę niemowlęcia. I tym sposobem któregoś pięknego dnia, w kolejnym legginsowym stroju, zapominasz, że nie było ci dane przeżyć miesiąca miodowego i że zostało po nim tylko wspomnienie.

Lecimy w środę. Jeszcze tylko dwa i pół dnia. Szukam mojej walizki i zaczynam przebierać w ubraniach. Muszę wszystko dokładnie przemyśleć. W tej materii jestem zupełnie inna niż Christoph. Ten, zazwyczaj krótko przed odlotem, wrzuca do walizki dwa T-shirty, kąpielówki i dżinsy i dziwi się rozmiarom mojego bagażu. Tym razem udowodnię mu, jak fachowo potrafią pakować się kobiety.

Po około godzinie, w której przerzucam rzeczy i segreguję je, rozkładając po całej sypialni, słyszę Christopha. Zbiegam po schodach i rzucam mu się w ramiona.

- Nic nie mów - szepczę błagalnie, ponieważ nie chcę słyszeć złych wiadomości. - Kocham cię i można powiedzieć, że jestem prawie gotowa do podróży. Wszystko inne się ułoży! Każdy problem da się jakoś rozwiązać! - zaczynam go pocieszać.

- Miejmy nadzieję, Andrea - mówi i patrzy na mnie poważnie. - Omówmy spokojnie wszystko w salonie.

- Czy potrzebuję do tego alkoholu? - pytam ostrożnie.

- Tak - odpowiada. - Prawdopodobnie tak.

Brzmi mało obiecująco.

- Teraz opowiadaj. - Chcę wszystko wiedzieć. Mogę zdzierżyć złe wiadomości, a przynajmniej tak mi się wydaje. A poza tym mamy czas, żeby omówić wszystko podczas podróży poślubnej.

- A więc - zaczyna Christoph - dziś rano dosyć szybko się obudziłem. Zadzwoiłem najpierw do mamy i wspomniałem jej przy okazji, jak wygląda dom.

Tę oględną uwagę mogę sobie doskonale wyobrazić. „Mamusi, przyjedź szybko, żyję jak w oborze, moja żona smacznie śpi, a ja nie wiem, gdzie są ścierki, żeby zacząć to wszystko ogarniać”. - Jestem miła i powstrzymuję się od komentarza. Ogólny nastrój rozmowy nie skłania raczej do ironicznych uwag.

- Wiem, że Inge tu była, zdążyłam jej już podziękować. Rozmawialiśmy przez telefon - wtrącam i dodaję: - Mów dalej.

- No i kiedy tak szukałem ścierek do sprzątania, natknąłem się na twoją karteczkę w szufladzie.

Gdyby częściej łapał za ściereę, wiedziałby, gdzie je można znaleźć, no, ale cóż. Pomimo to daję mu niespodziewanego buziaka.

- Nasz miesiąc miodowy jest już od dawna zabukowany. Zauważyłem, że nie jesteś w najlepszej formie, i mogę cię poniekąd zrozumieć. Pomyślałem sobie więc, że jeśli urwiemy się we dwoje, to byłoby coś.

- Tak! - wzdycham. - To naprawdę bosko. Bajeczny pomysł! Cieszę się jak wariatka!

- Hm... - mruczy Christoph i opowiada dalej: - Potem zadzwonił telefon. To był Langner.

- I co powiedział? - zdobywam się na małe pytanko.

- „Niech pan będzie tak uprzejmy i przyjedzie szybko do biura, muszę z panem dziś porozmawiać, wszystko sobie przemyślałem”. I mówię ci, Andrea, jak tylko tak powiedział, wiedziałem, że to jest moje pięć minut.

- Mówże wreszcie, masz jeszcze pracę?! - ośmielam się zadać decydujące pytanie. Po co tu owijać w bawełnę.

- Taak... - jąka się. - Właściwie to nie. Nie, już nie mam.

Szlag by trafił! Cholera jasna! A niech to! Do tej pory ludziłam się jeszcze, ale teraz najgorszy scenariusz został wypowiedziany głośno. Nie chcę płakać, w żadnym wypadku, to przecież ja muszę teraz dodać mu odwagi, ale nie potrafię inaczej. Głaszczę go po twarzy i powtarzam zalewając się łzami: „Jakoś damy sobie radę. Jesteś tak zdolny, na pewno szybko znajdziesz coś nowego, a ja przecież też mogę iść do pracy. Nawet bardzo chętnie. Nie martw się”. Przeżywam taki szok, że więcej nie jestem w stanie z siebie wydusić. Ależ ten wstręciuch Langner ma twarde serce. Może się przecież domyślać, w jakiej sytuacji znalazła się nasza rodzina. Jak on mógł wypowiedzieć Christophowi pracę? Tylko dlatego, że dowiedział się prawdy? Mam go w nosie. Okropny facet! To jest diabelnie niesprawiedliwe. Przecież sam sprowokował taką reakcję przez swoje wezwania do kancelarii.

- Jak się czujesz? - pytam mojego męża.

- Właściwie dobrze, nie chciałem niczego innego.

Jak mam to niby rozumieć? Czy taki był jego zamiar? Czy wiedział, że Langner siedzi na pierwszym piętrze? Czy Christoph chciał go obrazić? W takim wypadku nie wykazałby się ani rozsądkiem, ani odpowiedzialnością.

- Zadzwoń do niego i spróbuję uratować to, co się jeszcze da - pokazuję mu gotowość do działania i udowadniam tym samym, że dla męża mogę się nawet poniżyć.

- Powoli, Andrea - powstrzymuje mnie Christoph. - Pobieźnie opowiem ci przebieg rozmowy.

Kiwam głową. Tak, lepiej poczekać z takimi rozmowami, aż minie pierwsza złość.

- Przychodzę do kancelarii, a Langner siedzi na swoim wypasionym skórzanym fotelu i kiwa na mnie ręką. Od razu chciałem go przeproszać, ale on zaczął: „Niech pan da spokój, to wszystko prawda. Jestem głupi jak noga stołowa. Komenderuję wszystkimi dookoła. Moja żona też tak mówi. Poza nią nikt nie ma odwagi powiedzieć mi tego w twarz. Podobała mi się pana szczerość, i to, że na zabawie nie próbował pan „patafianowi” (w tym miejscu zaśmiał się głośno), czyli mnie, wejść w tyłek. Niech więc pan teraz też da spokój. Człowiek o takiej pozycji jak ja otoczony jest ludźmi, którzy nie mają odwagi czeokolwiek powiedzieć. Tylko mi poddańczo przytakują. Jestem zadowolony, jeśli ktoś otworzy wreszcie usta. Może mi pan obiecać, że nie będzie się pan powstrzymywał od krytyki? Może bardziej rzeczowej, ale jednak?”.

- Jaki to nagły zwrot, Christoph - jestem kompletnie zdezorientowana.

- Słuchaj dalej, Andrea - przerywa mi Christoph. - Najpierw byłem zdziwiony, ale powiedziałem: „To zależy...”. Langner wyszczerzył zęby i zapytał, od czego to zależy. Ja, już trochę ośmielony, dodałem: „Od mojej pozycji tutaj w kancelarii. Drobnemu urzędnikowi i pacholce szefa trudno zdobyć się na taką otwartość”. „Słuszna uwaga - powiedział tylko. Całą noc o tym myślałem. Postanowiłem, że zostanie pan moim współnikiem. Tak, abyśmy w przyszłości mogli komunikować się ze sobą jak równy z równym”.

Wow, niesamowite!! Mówisz raz o szefie „patafian” i od razu stajesz się partnerem. Nie może być! To na pewno nie jest napisane w żadnym poradniku dla chcących zrobić karierę.

- Hurra!! - krzyczę i skaczę przez cały salon. - To szaleństwo, niewiarygodne, fantastyczne! Jesteś bohaterem! - chwalam swojego chłopca.

- Poczekać no, Andrea. - Christoph hamuje mój spontaniczny taniec radości. - Langner powiedział coś jeszcze. A mianowicie, że ma zamiar wyjechać na dwa miesiące. Razem z żoną będą podróżować z plecakami po Ameryce Łacińskiej. Jakieś ich marzenie z młodości. Wyjeżdżają w przyszłą sobotę. A to wszystko przemyślał dzisiaj w nocy, po imprezie. Mówię ci, jak mi się wyzalił. Że haruje jak dziki osioł, że tkwi w monotonnym kieracie, a cierpi na tym jego małżeństwo. Chce jeszcze raz poczuć się młodo. Od razu po rozmowie zarezerwował lot.

To wszystko stanowi dosyć niezwykłą historię, ale coś mi świta, że dobra wiadomość przynosi ze sobą także i złą. Poza tym stwierdził przed paroma minutami, że już nie ma swojej pracy i tym samym doprowadził mnie do płaczu. Bardzo dowcipne!

- Dlaczego powiedziałeś, że nie masz już pracy? Co to znaczy? Uważasz, że to zabawne?  
- wpadam w złość.

Tak, jeśli stoję na pewnym gruncie, mogę być trochę bardziej ostra.

- Bo też nie mam już swojej pracy. Od końca następnego tygodnia nie będę już zwykłym pracownikiem, ale partnerem - chichocze mój mąż.

Naprawdę śmieszne. Jakie to wykrętne i chytne. I co właściwie znaczy, od końca przyszłego tygodnia? Wtedy jesteśmy przecież na Karaibach. Jak więc mam to rozumieć?

- A co z naszym miodowym miesiącem? - zadaje logiczne pytanie.

- No tak, Andrea, to jest właśnie ten mały haczyk. Teraz nic z tego nie wyjdzie. Langner liczy na mnie. Kiedy go nie będzie, ja nie mogę wszystkiego rzucić.

Na darmo się pakowałam! Na darmo się cieszyłam! A Langner, ten stary lis, będzie przemierzał ze swoją gderliwą kozą Amerykę Południową.

- No a podróż? Bilety? Przecież już zarezerwowane? - próbuję jednak ratować, co się da.  
- Jeśli ktoś tak długo czekał, aby znaleźć partnera do spółki, to z powodu tygodnia czy dwóch świat się nie zawali.

Christoph wysuwa podobny argument:

- Jeśli ktoś, w tym wypadku my, tak długo czekał na miesiąc miodowy, Andrea, to co się stanie, jeśli pojedziemy za dwa, trzy lata? Taka szansa może się już nie powtórzyć. Langner mnie lubi.

Za dwa, trzy lata!?

- Ale bilety! - jestem nieugięta, bo wiem, że Christoph nie należy do ludzi, którzy chętnie coś darują, a na anulowanie rezerwacji jest za późno.

- Jedź ty - śmieje się Christoph. - Zabierz Sabine i pobawcie się. Ja nie będę miał czasu. Zaraz muszę znów pojechać do biura. Muszę coś przygotować.

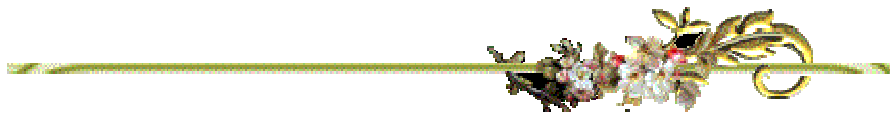
Mam pojechać z Sabine na miesiąc miodowy? Czy świeżo upieczony pan partner w spółce ma nierówno pod sufitem!? Mam z Sabine przewracać się na białym piasku i trzymać ją romantycznie za rączkę? Albo lepiej od razu pojadę z moim delfinkiem i z nim będę oglądać zachody słońca?



Już wiem! Może pan Barts miałby czas? Ten facet z elektrowni, z fantastycznie rzeźbioną pupą. Na białym piaseczku wyglądałby z pewnością bardzo apetycznie.

Jesteśmy więc ciągle w punkcie wyjścia.

Szlag by trafił!



L R